Roman Tichowski
upaty.

ROMAN TUSZOWSKI

UPAŁY

POWIEŚĆ

WARSZAWA — 1935

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12,
w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z o. o.

I.

Wymijając bryczką błotniste koleiny, pan Wacław nie tracił z oczu samotnej chłopskiej zagrody. Sterczała wśród przeoranych pól dość bezceremonjalnie, sama jedna na całej płaszczyźnie, jakgdyby anektując pod swoją władzę i pieczę setki okalających ją morgów. Ceglane mury zabudowań, dachy gontem kryte, sad, cembrowana studnia nadawały jej kulturalnego nalotu i mówiły o jakiej takiej zamożności. Skrawek Europy w gnuśnem hrubieszowskiem błocie! Błoto to lepnie do kół z wytrwałością, godną lepszej sprawy. Natarczywie czepia się butów, najstaranniej smarowanych dziegciem. Wchłania w siebie wszystko, co się tylko zetknie z jego powierzchnią. Niema dna i nikt nie widział kresu jego zachłanności. Parę razy do roku leniwa, urodzajna ziemia wyrzuca z siebie te męty, jakby chcąc ulżyć swym wnętrzom, przeciążonym pracą rodzenia — i odpoczywa, nie niepokojona przez nikogo. Wśród pól nic się już wówczas nie dzieje. Ziarna kiełkują powoli, ciągnąc lepkie soki, czekając wiosny, aby

się bujniej rozkrzewić. Przyjść ma wkrótce letarg zimowy — los wszystkich ozimin.

Człowiek jest też oziminą. I jeśli może go coś wytrącić z jesiennej apatji, która nim zawłada, jak ziemią szaruga i słota — to chyba tylko jakaś wielka namiętność. Wprawdzie w roztropnem kierowaniu końmi, w troskliwem wymijaniu bezdennych bajur, trudnoby się dopatrzeć śladów czegoś, co z namiętnością graniczy. Możnaby raczej przypuszczać, że namiętność — jeśli była kiedykolwiek — stała się już nawykiem. Pan Wacław zresztą wyglądał na człowieka zrównoważonego, a błotnista droga, powolne, ruchy koni, leniwe chybotanie bryczki i tępy plusk zamykającego się za kołami błota, nie kontrastowały zbytnio z jego osobą. Była ona doskonałem uzupełnieniem peizażu. Otulona w rudą burkę, zbryzganą obficie końskiemi kopytami, nie wnosiła z sobą żadnej niedyskretnej plamy. Harmonizowała bez zarzutu z jesiennem otoczeniem.

Krok za krokiem zbliżał się do celu. Była to droga krwawa i cierniowa, a przedewszystkiem błotnista. Miała pozostać taką aż do końca, aż po krąg widnokręgu — i dalej. Z rezygnacją wjechał wgłąb przepaścistej kałuży, rozlanej przed samą zagrodą, i wstrzymał w niej konie. Dla jakichś niewiadomych względów, nie chciał zajeżdżać w podwórze.

A tam działy się rzeczy codziennego, gospodarskiego trybu. Przerzucano w stodole jakieś

snopy — pszenne zapewne lub żytnie, spuszczano paszę z górki nad oborą, obijał się ktoś po chlewie. Był ruch powszedni, spokojny i niegorączkowy. Nie śpieszył się nikt, bo nie było do czego, bo wszystko tkwiło blisko, w zasięgu pracowitych ramion.

Pan Wacław przez dłuższą chwilę wypatrywał czujnie. Konie spoczęły przez ten czas na odprężonych nogach, a woda w kałuży zasklepła nieruchomo. Nie zauważono widocznie jego przybycia, albo nie chciano o niem wiedzieć. Czas wlecze się powoli jesienią — może dlatego, że wszyscy go mają tyle. Każde oczekiwanie przeciąga się w nieskończoność, za widnokrąg, jak jesienna zamglona szaruga. A do cnót pana Wacława należała widocznie cierpliwość.

Wreszcie jednak zaczęło się coś dziać w tym dniu jesiennym. Przez podwórze przeszła młoda kobieta, kierując się w stronę mieszkalnego domu. Rzuciła wzrokiem ku drodze, gdzie stała bryczka, i znikła w drzwiach, które zamknęła za sobą. Pan Wacław czekał ciągle. Nie zmienił pozycji nawet wtedy, gdy wyszła ku niemu za bramę powolnym, ciężko obutym krokiem. Głowę tylko obrócił w jej stronę.

— Mąż jest? — zapytał powoli, jakby nie oczekując rychłej odpowiedzi.

Ale ta przyszła znacznie prędzej, niżby można się było spodziewać, sądząc po mgle, przez którą z trudem musiały przedzierać się słowa.

— A gdzieżby się podział? — odparła pytaniem na pytanie, nie chcąc widocznie afirmatywnym tonem przerywać wątku nawiązanej rozmowy.

Wsparła o bramę swą drobną postać, poprawiając na głowie chustkę, zawiązaną z tyłu na węzeł.

— Jest w stodole, grzebie się w zbożu — informowała dokładniej. — Przywiózł już dzisiaj drzewa, pracuje od rana samego — mówiła z cieniem uznania w głosie, jakby oczekując na życzliwą należną aprobatę.

Ale aprobata pana Wacława nie wyraziła się w słowach. Zastąpiło ją dłuższe milczenie.

— Jadę do miasta — rzekł. — Nie wziąłem furmana, bo konie i tak mają co ciągnąć. Nie wiem, czy za dwie godziny zajadę po takiem błocie.

Pan Wacław nie wybrał najkrótszej drogi do miasta. Nie śpieszył się najwidoczniej i mógł pozwolić sobie na nałożenie paru kilometrów, aby tylko zamienić tych słów kilka. Miały zapewne dla niego znaczenie dużo większe, niżby to wynikało z ich powierzchownej treści. Zawierały niezawodnie treść podwójną i — oboje musieli ją rozumieć.

Gościniec różni się tem od zwykłej polnej drogi, że jest szerszy, pojemniejszy, zawiera więcej błota i kryjących się pod kałużami wyboi. Jest pełen niespodzianek, jak niespokojny nurt rzeki i chowa w sobie zasadzki, skąd niezawsze można

się wydobyć szczęśliwie. Pan Wacław odczuwał go, jako rzecz niepotrzebną, szkodliwą, która kilometry przeciąga w nieskończoność, wijąc się zawile i bezmyślnie. Czyż nie prościej byłoby brnąć naprzełaj ku miastu, przecinać pola, skracać zagony, kierować konie z bryczką wprost ku horyzontom?

Ale gościniec potrafi narzucić swą obecność i towarzyszy przez cały czas drogi, nie pozwalając nikomu wyłamać się ze swych uścisków. Ma chlubną ambicję dostarczania każdego aż do celu jego podróży, chce dowieść, że prowadzi zewsząd do każdego miejsca na ziemi, choćby droga, jaką obiera, była najzawilszą pod słońcem zagadką. Wacław, jak i inni, musiał poddać się narzuconej troskliwości gościńca, ulec jego błotnistym pieszczotom i pozwolić towarzyszyć swej bryczce aż do miejsca, gdzie został oddany w opiekę wyboistej szosie.

Tu turkot o kamienie zagłusza wszystko — nawet myśli, które pozostają gdzieś ztyłu, na gościńcu. Ciało biernie poddaje się torturom, pozostając w stanie ciężkiego snu bez marzeń. Szosa trzęsie ludzką powłoką bez opamiętania. Chce na tej przestrzeni, gdzie włada tyrańsko i niepodzielnie, wytrząść z niej wszystkie namiętności, wyłuskać wszelkie grzechy, zmusić do mimowolnej skruchy i pokuty. Pan Wacław wjeżdżał do miasta wyzbyty wszelkiej pychy, z pełną świadomością własnej nicości. Konie pozostawił w zajeździe,

a sam ruszył w ulice, które nie plączą się wcale, nie krzyżują, lecz prowadzą wszystkie na rynek — do jednego wielkiego węzła. Tu zawiązują się i rozwiązują wszystkie zawilsze kwestje życia całego powiatu. Jest tu starostwo, rejent, urząd podatkowy. Prawo i administracja, fiskus i biurokracja patronują wszelkiemu istnieniu — wszędzie znajdując okazję do stosowania swych ustaw i paragrafów. W ich gąszczu pan Wacław jeszcze lepiej zrozumiał swą nicość, czuł ją jako fakt materjalny i z tęsknotą śledził samego siebie, czy oby wreszcie nie zmalał do tak nieuchwytnych rozmiarów, gdzie dekrety, nowele i paragrafy nie miałyby już zastosowania. Ale w tej maszynerji jest miejsce dla najmniejszych nawet mikrobów, a pomniejszające samopoczucie pana Wacława nie wpłynęło bynajmniej na sąd o nim miarodajnych czynników. Okazało się, że miano o nim wręcz odmienną opinję, niż on o sobie samym. I oto pan Wacław poczuł, że rozrasta się do wcale pokaźnych rozmiarów istoty, zajmującej niemało miejsca na tym świecie i do której można zastosować wszystkie paragrafy wszystkich naraz ustaw i rozporządzeń. Uginał się pod tym ciężarem przez dzień cały, biegając z urzędu do urzędu przez wąskie korytarze, ocierając się o biurka, zasłane papierami, wszędzie sadzany grzecznie na krzesła okrągłe i dokładnie dostosowane do przeciętnych rozmiarów talji przeciętnego interesenta.

Pracowity dzień kończył się długim, jesien-

nym wieczorem. Wykorzystać go należało na drogę powrotną i na załatwienie spraw bardziej osobistych. Niezawodnie właśnie te sprawy skłoniły pana Wacława do nałożenia tych samych znowu trzech kilometrów i do zboczenia na polną drogę, która go doprowadziła do tej samej chłopskiej zagrody.

Sprawy osobiste i intymne, często odciągają podróżnych od szerokiego gościńca. Często sprawiają, że ostatnie paręset kroków robi się po grzęzkiej i lepkiej roli, przesadzając pociemku napotkane rowy. Często też prowadzą pod płot, gdzie niekiedy trzeba czekać długo, nim się załatwi sprawę osobistą a intymną. Takim właśnie był wypadek pana Wacława. Przewidując wszelkie ewentualności, wdział długie buty z cholewami i zaopatrzył się w dyskretną latarkę. A teraz, wsparty o sterczące żerdzie, nadsłuchuje odgłosów, dochodzących od strony zagrody.

Nigdy niema doskonałej ciszy, zwłaszcza, gdy nerwy pozostają w napięciu, a wyobraźnię zaostrza oczekiwanie. Szmery i odgłosy kiełkują z ziemi, rodzą się w powietrzu wśród mgieł, dochodzą z dalekich zakątków, przedzierżgnąwszy się w dźwięki, jakgdyby osobiście nas dotyczące, wołające niekiedy po imieniu. Pan Wacław słyszał kilkakrotnie ostrożne kroki po błocie, zbliżające się z tamtej strony płota — bo takich kroków czekał właśnie. Ale nie były one rzeczywistością i żadne z nich nie zmaterjalizowały się w szarą

postać Hanki. Wypłynęła zupełnie niespodziame z ciemności, nie uprzedziwszy swego przybycia żadnym szelestem.

Zlewała się całkowicie z mrokiem i tylko jej twarz bielała jaśniejszą plamą. A na plamie tej zakreślone były oczy, brwi i usta, zestrojone w regularnym rysunku. Podeszła do płotu i przylgnęła doń piersiami, ręce przerzuciwszy na stronę pana Wacława. Pan Wacław zrobił to samo — i okazało się, że dzielił ich tylko sam płot chróściany, najeżony badylami gałęzi. — Jak go usunąć? Jak pozbyć się tej zapory? — Była to jedna z tych, jakie rzeczywistość stawia między dwoje kochanków — ogromna w tej chwili, jak rzeczywistość sama. Wydał się im wyższy, szerszy, nieprzystępniejszy niż wszystko, co dotąd przebyli i usunęli z pomiędzy siebie. Mrok mąci zazwyczaj proporcje, które we mgle nabierają form, nie odpowiadających istotnemu stanowi rzeczy. Pan Wacław mógł łatwo przesadzić płot i znaleźć się obok Hanki — ale nie zaraz wykrył tę możliwość. Hanka była w stanie zrobić to samo, zakasawszy nieco spódnicy — lecz może nie chciała tego rozwiązania, bo czekała tylko biernie, wspierając się całem ciałem o tę materjalną zaporę.

Pan Wacław zaczął od sedna sprawy.

— Musisz wrócić do Wadowic — rzekł. — Konie przyślę, spakujesz kufer któregoś dnia i pocichutku stąd wyjedziesz. Mikołaj nic tu nie ma

do gadania — a jeśli będzie przeciwny, nastrasz go, że sam tu przyjadę i zrobię z nim porządek. Nie będzie się napewno upierał — jest za mądry. A ty mu wytłumacz, że będzie tak najlepiej dla niego i dla ciebie.

Srożył się trochę, na ile w szepcie mogło być stanowczości i groźby. Hanka nie wierzyła w tę udaną srogość, której w istocie nie było — ale z tem, co mówił, musiała się liczyć. Zaczęła rozważać — jak to będzie wyglądał jej wyjazd do Wadowic i co z niego wyniknąć może? Mąciło się jej w głowie od tego postanowienia, gdzie wcale nie miała udziału, ale odrazu przyjęła je jako fakt, którego uniknąć nie zdoła.

— Czy mam się zabierać ze wszystkiem? — spytała lękliwie, chcąc przeniknąć do dna decyzji, narzuconej jej tak bezwzględnie.

— Jakbyś wyjeżdżała na zawsze — szepnął pan Wacław z za płota, nadając swemu szeptowi wszelkie pozory stanowczości. — Jakbyś nie miała tu wrócić.

— Niby dlaczego? — przelękła się Hanka. — Pozwoli mi chyba pan dziedzic zajrzeć czasem do mojej obory?

— Zobaczymy. Zależeć będzie od tego, jak się Mikołaj zachowa.

O Mikołaja była spokojna. Może trochę się spoczątku pokrzywi, ale i na tem poprzestanie.— Mikołaj nie ma tu nic do gadania — powtarzała w myśli sentencję pana Wacława i zaraz poczęła

się kłopotać, co zabierać z sobą, a co zostawić, jeśli ma stąd wyjeżdżać na tak długo, dopóki dziedzicowi nie spodoba się odesłać jej spowrotem.

— Będziesz miała lepszą u mnie oborę — rzekł pan Wacław, a Hance zaśmiały się oczy w ciemności na myśl o dworskich czerwonych krowach.

— We wszystkiem ci będzie lepiej — ciągnął łagodniej — Nie pożałujesz. Oddam ci klucze od mleczarni — potrafisz się chyba tem zająć.

— Czemu nie — odparła już weselej, bo już jej stanęły przed oczami krowie zady, wystrojone w dwa rzędy po prawej i lewej ręce, wymachujące ogonami leniwie, od niechcenia. Ona zaś idzie sobie środkiem, stąpając po miękkiej słomie, czystej bo świeżo nasłanej, i dogląda dojarek, tulących głowy do krowich spasionych brzuchów. Zapach ciepłego mleka drażni jej powonienie. Czuje ciężar kluczy przy pasie. Już czuje się gospodynią na całem pańskiem gospodarstwie.

Ale tymczasem pan Wacław umyślił sięgnąć po coś realniejszego, czego wyobraźnią nie potrzebował wywoływać, bo dzielił go od tego tylko wątły płot chróściany, spleciony z cienkich gałązek. W tej chwili przestał być zaporą nie do przebycia. Przeszkadzał jeszcze rękom sięgnąć do hanczynej bluzki — ale już nie na długo. Wkrótce wystarczyło jedno sprężenie ciała, by przedostać się na drugą stronę. A po tej drugiej stała Hanka, zafrasowana, ale uległa, jak zawsze.

II.

Romans pana Wacława zaczął się jednego z dni powszednich i cały nie miał nic ze świątecznej gali. Zrodził się niepostrzeżenie, jak wszystko, co z ziemi wyrasta, ale i krzewił się równie niepowstrzymanie. Wezbrało w nim coś w ciągu lat, a teraz, znalazłszy ujście, przerwało wszelkie tamy. Ujściem tem była Hanka, drobna, niepozorna dziewczyna z zapracowanemi rękami. Widły, grabie i poczerniałe palce były jej narzędziami pracy. Za narzędzie kobiecości ujść mogły co najwyżej wyraziste, stalowe oczy i wysokie dziewczęce piersi.

Musiała władać tem narzędziem z całą nieprzeniknioną sztuką podświadomej zalotności, jeśli pan Wacław znalazł w jej powabach dość skarbów, by stracić dla nich głowę. Inaczej bowiem niepodobna określić stanu pana Wacława w parę miesięcy potem, gdy zrobił jedno z większych odkryć swego życia. Odkryciem tem był fakt, że Hanka wogóle istnieje. Przedtem ginęła w tłumie dworskiej czeladzi, wychodzącej co ranek na podwórze,

a imię jej nie przemawiało doń niczem z opstrzonej listy płac, przedstawianej mu z końcem miesiąca. Widywał ją, ale nie dostrzegał, słyszał może już kiedy jej głos, lecz nie uświadamiał sobie tego. I dopiero pewna chwila, jaką przeżył na piętrowym śpichrzu, sprawiła, że widział wszędzie ją jedną, a na jej imię natykał się w każdym powiewie wiatru.

Młynkowano wówczas zboże i przerzucano szuflami na sypkie złociste kupy. Zboże spływa jak piasek z metalowym szelestem, a jeśli jest dobrze zebrane i suche, bez trudu zanurzyć w niem można rękę aż po łokieć. Czuje się wówczas ciepło lipcowego słońca, w którem dojrzewało. Pan Wacław piął się właśnie na najwyższe piętro śpichlerza. Nad głową poprzez deski dudniły mu z rozmachem kręcone młynki, a kurz przenikał pod powieki. Światła było mało, jeszcze mniej powietrza. Ciemną głębię wypełniał stuk ciężkich butów i posuwiste drapanie szufli o źle heblowaną podłogę.

Pan Wacław wstępował na schody władczym krokiem, którego nie miał od przyrodzenia. Wyrobił go sobie sczasem, gdy doszedł do przekonania, że rządzić należy nie tylko mózgiem i głosem, ale i każdym ruchem ciała. Miał przed sobą dwadzieścia mniej więcej stopni — i czekało go tyleż mniej więcej władczych stąpnięć. Ale już w połowie drogi — gdzieś przy dziesiątym stopniu — zetknął się z drobną postacią dziewczyny, tulącej się do muru, aby tylko mógł przejść, nie ocierając

się o nią. Był to dowód respektu, który go bynajmniej nie zażenował. Dowodem ciekawości zato były szare oczy, patrzące nań z pod kolorowej chustki. Chustka, zawiązana z tyłu, nosiła jakiś deseń wyszukanie banalny. Serdak, wycięty okrągło koło szyi, odsłaniał trochę ogorzałego ciała. Uśmiech, towarzyszący oczom, był dyskretnie wyzywający. Pan Wacław szybko uchwycił to wszystko, jak na migawkę aparatu. Przeszedł władczo, nie zwolniwszy kroku i nie obejrzawszy się za siebie.

— Quels yeux — przemknęło mu przez mózg krótkim refleksem. O kobietach myślał zawsze po francusku. Dodawało to pikanterji i myślom i kobietom. Ale już na górze zaczął się zastanawiać nad tem przygodnem spotkaniem. — Poco schodziła na dół? Co kryje się pod obwisłym serdakiem? Jakie ma nogi — nogi w szerokich cholewach? — Wydały mu się już na tyle ważne te pytania, że poświęcił im chwilę rozmyślań.

Tymczasem kręcone młynki nabrały rozpędu pod roztargnionem spojrzeniem dziedzica. Przy każdym z nich jest miejsce dla trzech dziewcząt. Jedna sypie zboże, druga odgarnia pośląd i celne ziarno, trzecia obraca korbą, pochylając się w takt obrotów. Przy jednym młynku stały dwie dziewczyny — tu więc niewątpliwie było miejsce tej, którą spotkał na schodach. Zainteresował się nim bliżej — młynkowano pszenicę. Taką była ranna dyspozycja. Magazynowy informował z na-

leżnym szacunkiem, że nie starczyło już robotnic, by puścić trzeci młynek. Wykroczenie przeciw dyspozycji, za które on nie odpowiada. Rządca zabrał mu troje czeladzi, żeby podwieźć słomy pod oborę. Ale nie opóźni to w niczem odstawy. Na jutro rano gotowy będzie wagon zboża wedle z góry danych dyrektyw.

Pan Wacław aprobował wszystko milczeniem. Były to tylko szczegóły — a w tej chwili jedynie Hanka przestawała być dla niego szczegółem. Dopiero teraz przypomniał sobie jej imię. Hanek było kilka wśród czeladzi. Dla odróżnienia nazywano ją Hanką od Brodacza. Był to jej szwagier, mąż siostry, służący za fornala we dworze. Chodziła od niego na posyłkę — tak nazywają czeladź, którą każdy ordynarjusz utrzymywać musi za osobną dopłatą w naturze. Nikt nie znał jej prawdziwego nazwiska.

Czekał na powrót dziewczyny. Młynek obracał się i bez niej, a zboże sypało się i bez jej współudziału. Ale mimo to niecierpliwiła pana Wacława nieobecność jednej robotnicy. — Rażące zaniedbywanie obowiązków, niedopuszczalna samowola. Przy młynku jest miejsce dla trzech dziewcząt i tylko wówczas praca może być pełnowartościowa. Nikt na nikogo nie czeka, zboże sypie się nieprzerwanie i wszystko zdąża wedle uświęconego szablonu. Szablon należy cenić, szablon jest skondensowanem doświadczeniem. Zainterpelo-

wałby natychmiast magazyniera, gdyby szło o inną dziewczynę. — Dokąd poszła? Z czyjego polecenia? Kto na to jej pozwolił? — I magazynier, zlekka zakłopotany, musiałby tłumaczyć, że nie można przecież bez przerwy trzymać dziewczyn na śpichrzu, że życie ma swoje prawa, a niektóre z nich stają się w pewnych chwilach niezwykle natarczywe i naglące. Towarzyszyłby temu dyskretny ale znaczący uśmiech — i panu Wacławowi wystarczyłoby wówczas to wyjaśnienie. Teraz zato gubił się w domysłach. I nagle natrafił w ich gąszczu na myśl przykrą i podejrzliwą. — A może cieszy się jakiemiś względami magazyniera ta dziewczyna? Może toleruje jej wykroczenia dla jakichś ukrytych powodów? Ukrytych? — gdzieżby! — musiał i pan Brzózka, magazynier, zauważyć jej stalowe oczy i dyskretny wyzywający uśmiech.

Pan Wacław postanowił doczekać się powrotu Hanki. Rzucał Brzózce jakieś zdawkowe pytania, jak gdyby interesować go miały mało znaczące szczegóły śpichrzowej gospodarki. Pan Brzózka poczuł się nieswojo. Uważał to za inspekcję. Tłumaczył, wyjaśniał, informował. — Wszystko było w najlepszym porządku. Pewne niedociągnięcia uzasadniał przeładowaniem śpichlerza, gdzie znalazło się naraz kilka wagonów zboża. Brakuje przytem czeladzi ze względu na siewy i sprząt buraków nasiennych. Ale to okres przejściowy. Za parę tygodni doprowadzi śpichlerz do

stanu idealnej czystości. — Jednego pyłku nie znajdzie w nim pan dziedzic.

Gorliwość swą posunął tak daleko, że gdy Hanka powróciła wreszcie na swoje miejsce przy młynku, obdarzył ją kilku cierpkiemi słowami. — Na przyszłość stanowczo wyprasza sobie tak długie spacery. Można to załatwiać dużo prędzej, nie opóźniając roboty. Jeden spacer przed przerwą obiadową każdej wystarczyć musi — niech to sobie zapamiętają raz na zawsze. Resztę odłożyć na potem — po tarabanie. — Hanka patrzyła na Brzózkę roześmianemi oczami. Nie bardzo w jego gniew wierzyła. Tłumaczyła sobie wszystko obecnością dziedzica. — Spacery będą jak i przedtem — bo jakżeby bez spacerów? Każdej chce się łyknąć trochę powietrza i otrząsnąć z tego zaduchu. — W turkot młynków wmięszały się nawet hamowane chichoty i urywane słowa. To dziewczęta komentowały między sobą wystąpienie pana Brzózki. Niezbyt się lękają młodych magazynierów dziewczyny ze śpichrza.

Pochwycony w lot uśmiech Hanki i nienaturalność gróźb, rzucanych na dziewczęta, mogły być tylko potwierdzeniem podejrzeń pana Wacława. — Niezawodnie mają między sobą jakieś konszachty. Trzeba to wyśledzić, zbadać, przeniknąć. — W każdym człowieku siedzi mały inkwizytor i minjaturowy Holmes. I najchętniej oddają się w służbę wielkiemu moralizatorowi, który obok nich zasiada, gdy tylko chodzi o cudze

przewinienia i sprawki. Pan Brzózka znalazł się nagle w orbicie spojrzeń przenikliwych i badawczych, choć dla niepoznaki utkwionych najczęściej w ziemię. Ruchy Hanki pod wzrokiem dziedzica nabrały prężności. Przechwytywał uśmiechy jakgdyby przypadkowe, jakgdyby nie przeznaczone dla nikogo.

Niewiele się dowiedział dnia tego, nie więcej dni następnych. Ale zainteresowanie Hanką wzrastało. Zaczął wnikać w najdrobniejsze detale gospodarcze. Chciał wiedzieć ciągle, gdzie jest i co robi ta dziewczyna. Obchodził po kolei pola, gdzie pracowano, jeśli nie znalazł jej przy żadnej robocie na folwarku. Nie było jej w oborze, w stodole, na śpichrzu — więc była zapewne przy siewniku, przy burakach lub przy nawozie. Albo może nie wyszła dziś do roboty, jest chora, coś zatrzymało ją w domu? Wracał do siebie dopiero po rozstrzygnięciu wątpliwości. Ale i wtedy ciągle go coś wypychało w pola.

— — — — — — — —

Ciągnął się długi szereg robotnic wpoprzek brózd i miedz, giął się poprzez pagórki i falistości pól i pełzł zwolna naprzód, nierówno, zygzakami, grymaśną, falistą linją. Posuwał się i wrzynał w głąb kartofliska. Przed nim leży łan szeroki i pusty, brunatny od zeschłej naci, a ztyłu już czarny i lepki, świeżo zruszony uderzeniami motyk, dźwigający na sobie ciężkie kopczyska kartofli. Wokoło nich ruch, jak przy mrowiskach. Co

chwila z szeregu wyrywają się babskie postacie i po dwie — po dwie — niosąc między sobą kosze kartofli, dążą w ich stronę. Wysypują zawartość i wracają równie ciężko, równie leniwie, jakgdyby kosze były wciąż jeszcze równie ciężkie i pełne. Szereg wije się, pełznie, rozwija. Spełzła po pochyłości, pnie się z trudem pod górę. Jest tam gdzieś i Hanka, zagubiona w tym babskim szeregu.

Pan Wacław wypatruje. Chce ją poznać po czerwonej chustce, którą dziś przywdziała dla uczczenia powszedniości tego dnia jesiennego. Mała szara postać, zakończona czerwonym przecinkiem — to ona — dojrzał, nie spuszcza jej z oczu. — Raz, dwa, trzy... — liczy — trzynasta od brzegu, rusza się żwawiej od innych. Pochyla się, wyprostowuje, i znowu pochyla przed siebie, jak cały szereg na prawo i lewo od niej. Tylko w jej ruchach dostrzega jakby znajome przegięcia. Błądzi spojrzeniem dalej, wzdłuż linji, jak po czytanej karcie. I znowu natrafia na przecinki takie same czerwone, na podobnych szarych tułowiach. Nie wie już gdzie jest Hanka. Nie rozprysła się przecież, jak kropla rtęci, rzucona na blat stołu. Musi wybierać, zdać się na wolę instynktu. Bada zdaleka czerwone przecinki i szare babskie tułowia, analizuje każdy ruch, każde poruszenie. Chce odgadnąć i nie chce się pomylić. Przyśpiesza kroku, brnie w czarnej zdeptanej ziemi, utyka na kupach porzuconej naci. Dociera wreszcie do prze-

wlekłej linji robotnic, która powoli uciekała od niego przed siebie. — Tak to wygląda w praktyce — uśmiecha się do swych myśli — sofizmat o żółwiu i Achillesie.

Stanął przed nim dozorca — melduje. — Sto pięćdziesiąt robotnic wiejskich, nie licząc dworskiej czeladzi. Za trzy dni zapomnimy o kartoflach. Zostaną tylko kopce do nakrycia na zimę. Ale z tem niema co się śpieszyć — zaparzyć się jeszcze mogą. — Pan Wacław wie sam o tem dobrze. Stary Kruk lubi przechwalać się znajomością rzeczy, dawać rady, których nikt nie słucha. On sam najchętniej zapytałby, gdzie jest Hanka, bo nie widzi jej nigdzie w pobliżu. Musi być na drugim końcu, gdzie kilka chust czerwienieje.

Idzie powoli w tamtą stronę, śledząc dla pozoru, czy nie zostają niezebrane kartofle za robotnicami. Zatrzymuje się co kilka kroków, rozgląda, rzuca spojrzenia wokoło, te rzeczowe, gospodarskie, spokojne, przed któremi nie powinno nic umknąć, nic się zataić. Tak przynajmniej z wierzchu wygląda. Ruch się robi lepszy pod tym wzrokiem, rządca konno nadbiega zdaleka, skrzynie żwawiej zajeżdżają przed kopce. Robotnice już się nie zatrzymują, nie gawędzą, nie oglądają za siebie. Idą równo, pochylone, motykami rozkopują krzaki i wytrząsają z nich kartofle, sękate i rosochate, a różowe jak noworodki.

Ale Hanki i tam niema. Pod żadną z czerwonych chust nie znalazł jej siwych oczu. Za-

wraca więc i idzie w stronę kopców, skąd dobiega głuchy szmer wypróżnianych skrzyń i koszy. Ciągle ten sam krok poważny i stateczny, nie zdradzający pośpiechu ani podniecenia. A wszystko to dla tych spojrzeń, które śledzą go zewsząd, obmacują, badają. Bo wewnątrz rodzi się już niepewność. — Może tu wcale jej niema — przy karoflach? Czyżby wzięto ją do innej roboty? Trudno rozpytywać rządcę i dozorców o jedną głupią dziewczynę. Wybałuszyliby oczy ze zdziwienia, skąd dziedzicowi przyszło zajmować się jedną czeladzią. — Czeladź — to ich królowanie. Ich dobra wola dać dziewczynie tę czy inną robotę, byle w myśl dyspozycji. Dla dziedzica mają istnieć tylko cyfry. Dziesięć czeladzi tu, sześć tam, jedna ówdzie. I o tę jedną niech nikt im głowy nie suszy, jeśli się liczby zgadzają. Nie ukrywa się, nie próżnuje, robi jak inne. A gdzie — to dziedzicowi nic do tego. — Potem by poszły domysły, plotki, przypuszczenia. I tem złośliwsze, że się im nie w swoje rzeczy wtrąca, na ręce patrzy, czeladzią nawet rozrządzić nie pozwala.

Toteż pan Wacław nikogo o nic nie pyta, tylko rozgląda się bacznie, czy aby jej gdzie nie dostrzeże. Jeśli jej tu nie znajdzie, pójdzie dalej, na inne pola, gdzie inną robotę robią inni ludzie. Zapędzi się może aż pod las, aż pod samą granicę, gdzie wożą nawóz i roztrząsają po roli, by ją raz jeszcze przeorać na zimę pod buraki.

Pan Wacław zrobił się spostrzegawczy, widzi

od pewnego czasu więcej, niż zazwyczaj. Czyżby dostrzegł kiedyś małą czerwoną plamę, która nagle wysunęła się z poza kopca? Nie z poza tego najbliżej, ani tamtego, już okrytego słomą, ale z poza jednego z dalszych, gdzie wciąż jeszcze zsypują kartofle. Rozżarzyła się odrazu ta plama na szarem tle ziemi i nieba i zagorzała czerwienią, jak czapka frygijska w pejzażu Corota. I nagle stała się ośrodkiem obrazu. Wszystko skupiło się koło niej, zbiegło w jednym czerwonym punkcie, zatoczyło koło niego, jak koło osi świata. Pan Wacław nie miał już wątpliwości — to Hanka.

Ale ona nic z tego nie dostrzega. Podgarnia kartofle płaską szuflą, a te staczają się na nowo pod jej nogi, posłuszne prawom ciążenia. Staczają się ciągle z głuchym szmerem, jakgdyby nigdy nie miało być końca tej robocie. Jednak kopiec nabiera kształtów za każdym ruchem jej ramion — szlachetnieje. Muska go szuflą chropawą i twardą, bo wyrobioną w prostem drewnie — ale zato w jej ręku jest miękkość i pieszczota.

O pieszczotach jeden pan Wacław myśli i chyba nikt oprócz niego. Sama Hanka nie ma do tego pretensji. Wie, że ręce ma szorstkie, stwardniałe — i często przygląda się im z zażenowaniem. Do pieszczoty się nie nadają — wie o tem — dobre są do wideł, do pielenia. Zresztą — kto jakich pieszczot pożąda.

Ze zdziwieniem przygląda się już nie rękom, lecz dziedzicowi. Najwyraźniej patrzy na nią i to

jakoś dziwnie. Inaczej niż na konie, fornali i na inne dziewczęta. Wcale jej to nie przeszkadza, nie krępuje — może sobie patrzeć do wieczora. Ma swoją robotę, którą jej wyznaczyli, i o niczem innem wiedzieć nie chce. Uchodzi za dobrą robotnicę i chce taką pozostać nawet pod okiem dziedzica.

Pan Wacław tymczasem krążył dokoła kopca i dokoła Hanki. Rozglądał się, wydawał dyspozycje, robił uwagi — wszystkie rzeczowe i mądre — wszystko dla niepoznaki. Odchodził na czas pewien w stronę robotnic, które już posunęły się dalej wgłąb kartofliska, ale kopiec przyciągał go znowu do siebie, jakby zsypywanie kartofli było najważniejszą czynnością w całem gospodarstwie. Hanka zaczęła coś rozumieć. Coraz częściej przechwytywała jego spojrzenia, nie odwracała już oczu i uśmiechała się niekiedy — to jakby do siebie, to jakby do innych. A gdy wreszcie czerwone słońce, czerwieńsze nawet od jej chustki, obsunęło się za widnokrąg, ruszyła z czeladzią ku czworakom, podtrzymując ramieniem chropawą drewnianą szuflę. Rękojeść szufli była śliska — wyślizgana jej własnemi dłońmi, i ciepła w miejscach chwytu — ciepłem własnego jej ciała. Czuła, że jest jej gorąco w środku, że coś się tam wewnątrz niej żarzy — ale to wszystko od tego, że pod spojrzeniem dziedzica żwawiej dziś pracowała, niż zwykle.

III.

Szaro było na świecie, gdy pewnego wczesnego rana wychodził pan Wacław na podwórze. Szaro i mglisto, bezbarwnie i monotonnie. Był listopad i miało się już ku mrozom. Orano jeszcze na gwałt zapóźnione pola, nim stężeją na kamień i zastygną. Fornale wyprowadzali konie i zaprzęgali do pługów. Ruch był jaki taki, choć trudno było ruszać się w tłustem błocie.

Czeladź stała szeregiem, wsparta na widłach niedbale — chłopcy i dziewczęta. Miała iść maszyna i w kotle rozpalano od rana. Wątły dymek unosił się z komina lokomobili, która syczała wszystkiemi wentylami. Stała gotowa pod parą.

Głos pana Brzózki grzmiał donośnie, siejąc rozkazy i rozporządzenia. Był to jego dzień — dzień jego panowania. Główne roboty odbywały się na podwórzu. Wszystko pozostać miało pod jego okiem aż do wieczora i od samego rana ujmował w swe ręce wszystkie sprężyny ruchu. To też ruchowi temu chciał dodać prężności i tempa. Przynaglał, podpędzał, piorunował.

Rozstawiono dziewczęta w stodole, z widłami do zapola i do podawania snopów na młócarnię, z linkami do odciągania słomy, z płachtami do odnoszenia plew. Dwie stały już na młócarni przy podawaczu, który, świadomy swej odpowiedzialnej roli, spoglądał z wysokości przez ochronne okulary na krzątających się w dole śmiertelników. Pan Wacław dojrzał Hankę, biegnącą z workami od śpichlerza. Będzie więc przy wadze odmierzać w półmetrowe porcje cieknącą strumieniem pszenicę.

Rozchybotało się koło, zawirował pas w wązkim korytarzyku między parówką i młócarnią, zastukały tryby w maszynie. Przeciągłym gwizdem rozpoczął się dzień roboczy.

Przy workach praca nie jest uciążliwa. Przypina się je do młócarni, która pluje ziarnem obficie, odpina, stawia na wagę, waży. Dla Hanki unieść pół metra zboża nie było rzeczą zbyt trudną. Nie sfatyguje się zbytnio w ciągu dnia tego. ciężej było innym dziewczynom w zapolu, przy słomie i plewach.

Pan Wacław był w stodole. Łykał kurz, krążący koło młócarni, wdychał go nozdrzami, wciągał przez pory. Ale oczy zajęte miał Hanką. Zwijała się, pomagając sobie kolanem przy odpinaniu worków i stawianiu ich na wadze, a jej drobne twarde dłonie silnie chwytały za szorstkie i szare płótno. — Czy nie za ciężko jej samej? — myślał

pan Wacław. — Może by dać jej dziewczynę do pomocy?

Potem jednak przyszło mu na myśl, że lepiej może będzie, jeśli zostanie sama. I tak lżejszą ma od innych robotę. — Lżejszą? — a więc Brzózka ma dla niej jakieś względy. — Niepodobało się to panu Wacławowi — ów wniosek, jaki wyciągnął z krótkiego rozumowania. Trzeba śledzić Brzózkę, jak się w stosunku do niej zachowuje. Ale lepiej niech zostanie sama. — Mówił mu to instynkt, — sam jeszcze nie wiedział, dlaczego tak miało być lepiej.

Przekonał się jednak wkrótce i zrozumiał. I to w chwili, gdy podszedł bliżej do wagi i stwierdził, że dzieli go od Hanki parę zaledwie kroków. Gdy pojął, że może do niej przemówić i nikt jego słów nie usłyszy. Gdy zbliżył się do maszyny i, podstawiwszy dłoń, nabrał w nią pełną garść ziarna, jakby chcąc zbadać jego suchość i wagę — a przytem otarł się prawie o jej ciało. Wiedział teraz, dlaczego lepiej, że jest sama.

Zagadnął — ile worków zważyła, czy niema czasem dziurawych, czy waga się nie zacina? A że mu odpowiadała śmiało i rezolutnie, pytał dalej. Krążył dokoła maszyny, zaglądał do parówki, plewnika i śpichlerza, do windy, wciągającej słomę na wierzch sterty — ale zawsze powracał w te okolice, gdzie czuł obecność Hanki, jej szorstkich rąk i oczu siwych, jak chmury.

Huczały cepy w maszynie, ze zgrzytem wcią-

gając snopy, plując słomą, plewami i ziarnem. Pan Brzózka kręcił się po stodole, był wszędzie, grzmiał wszędzie, nie ustawał w szczerej gorliwości. Pan Wacław mógł być zeń zadowolony. I byłby niezawodnie, gdyby Brzózka nie interesował się przesadnie workami, nie kręcił się zaczęsto koło wagi i zbyt gorliwie nie badał sypiącego się do worków ziarna. A przytem wszystkiem ocierał się prawie o Hankę, zagadywał ją o coś, coś jej tłumaczył. Pan Wacław głęboko był przeświadczony, że nie miało to żadnego związku z jej zajęciem, ani z funkcją magazyniera. Przekonanie to przeszło bardzo prędko w pewność i wówczas zaczął pan Wacław okazywać swe niezadowolenie. — Przedewszystkiem ziarna zostają w słomie, a więc cepy należałoby dokręcić. Czyjaż to rzecz pilnować tego, panie Brzózka? Kręci się pan, uwija, a takich pan rzeczy nie widzi. Proszę kazać nadaczowi szeroko rozgarniać snopy. Pozatem niech pan patrzy, co dzieje się ze słomą. Bałagan i bezhołowje! Dziewczyny dać sobie rady nie mogą. Niech pan im do pomocy weźmie ze dwie z zapola, bo tam znowu jest ich zadużo i gapią się tylko, nic nie robiąc. — Niema pojęcia ten Brzózka o organizowaniu pracy i o tyloryzmie.

Podziałało to na Brzózkę, jak czerwona płachta. Zdwoił siłę głosu, potroił energję ruchów i rozkazów. I zachodził przedewszystkiem w głowę, skąd taka nagła zmiana w dziedzicu? Do niedawna nie dbał o drobne te sprawy, w szczegóły nie

wtrącał się wcale i w ciągu dnia najwyżej parę razy pokazał się na podwórzu. Teraz sterczy kamieniem przy głupiej młócarni, jakby jego, Brzózki, wcale tu nie było, i czepia się byle czego, ciągle mu patrząc na ręce. Zaczął węszyć jakąś intrygę. Ktoś musi dziedzica źle usposabiać do niego. — Czyżby gumienny, Czuryło, a może rządca, pan Sielski?

Pan Wacław rad był trochę z zamieszania. Robota może przez to lepiej nie ruszyła — ale zato mógł podejść do worków i skontrolować funkcjonowanie wagi — przez nikogo nie podpatrzony. A nikt też nie słyszał, jak zagadnął Hankę, czy bardzo się przy ważeniu spracowała? — Skąd znowu? Ręce ma mocne, mogłaby ważyć dzień cały. Bardzo to dobra robota. Chciałaby — tu oczy spuściła, uśmiechając się ku rozsypanej na toku pszenicy — chciałaby, by ją tu jak najczęściej stawiali. — No, no, czego to się tej dziewczynie zachciewa — mówi pan Wacław. — Broń Boże — spochmurniała przy tem, podnosząc na niego oczy — nie chce niczego i robić będzie wszystko, co jej każą. Powiedziała to sobie ot tak, mimochodem. — A czy przyjdzie po robocie dziś wieczorem? — pyta pan Wacław. Drgnęła, zalewając go szarością swych źrenic. — Czy przyjdzie? Chyba nie. Będzie tak spracowana. A i ludzie mogą zobaczyć— będą gadali. — Rzuciła się do worków, które przez ten czas wypełniły się zbożem . Wciągnęła je na wagę, a pan Wacław przekręcił rączkę i stwierdził,

że jest w nich o kilka kilogramów zadużo. — Więc jakżeż będzie? — pyta już ciszej, bo ludzie bliżej kręcić się zaczynają. — Nawet nie wie, dokąd ma przyjść i poco? — Za stodołę, pod sterty ze słomą — mówi pan Wacław. — A poco? — mój Boże, nic przecież jej złego nie zrobi.

Potem już więcej z sobą nie mówili do wieczora. Pan Wacław jak gdyby przestał się interesować workami, wagą i ziarnem. Kręcił się po drugiej stronie młócarni, gdzie odciągano słomę i zgoniny, a ku Hance tylko spoglądał z odległości, którą powiększał kurz, wirujący w powietrzu. Godziny rozciągał zmierzch, gasił je i poszarzał. Przepadały gdzieś w stukocie maszyny, w tysiącznych obrotach jej trybów i kół, miażdżone przez cepy razem z kłosami i ziarnem, ale wciąż odradzające się szarem widmem nudy i oczekiwania. To oczekiwanie wypełniał pan Wacław wątpliwością. — Czy znajdzie ją pod stertami za stodołą, gdy zakradnie się tam dziś o zmierzchu, przez nikogo niepostrzeżony? Czy przyjdzie? — tak nie powiedziała. A niepostrzeżony być musi, nikt go nie może widzieć, nikt przyłapać na tem spotkaniu z dziewczyną. Użyje całej swej przebiegłości, wytęży całą pomysłowość. Nikt tam się zresztą nie kręci koło stert o tej porze. Chyba tylko przychodzą kraść słomę — ale ci umkną za pierwszym szelestem. Ci będą ostrożniejsi nawet od niego. Tych się nie lęka.

Poszedł zbadać teren swoich wyczynów

o zmierzchu. Stąpało się po świeżej słomie, rozrzuconej pod nogami. Stały sterty długie obok siebie, rozłożyste, szerokie. Dosyć było wśród nich cienia i bezpieczeństwa — a i o miękkie legowisko nie trudno, jeśli do tego przyjdzie. Najlepiej będzie przejść tędy, furtką koło szpaleru. Wracać można tą samą drogą, albo wybrać dłuższą, poza ogrodem. Hanka nadejdzie od czworaków i będzie musiała iść polem, jeśli nie chce, by ją zauważono. Albo uda, że idzie po słomę i wówczas przejdzie przez folwark. Kombinował sobie to wszystko, jak doświadczony strateg, odtwarzał różne sytuacje, dla każdej znajdując najodpowiedniejsze rozwiązanie. Tu może się skryć, jeśli go ktoś zaskoczy, tamtędy umknąć niepostrzeżenie. Zabezpieczał front i tyły, osłaniał boki.

Tymczasem zmierzch obsuwał się z chmur ku ziemi i groził deszczem. Domłacano stertę i w kotle zaprzestano już palić. Starczy pary na tych kilka minut. Główny pas opadł, klasnąwszy o klepisko, i zaczęto robić porządki. Zmiatano rozsypaną pszenicę miotłami, zsypywano do worków, zdejmowano pasy z młócarni. Pan Brzóska był wszędzie, a pan Wacław tkwił w miejscu, śledząc za Hanką, która co chwila nikła gdzieś w cieniach stodoły. Wreszcie drzwi zamknięto z łoskotem i zaryglowano chrzeszczącym przeciągle ryglem. Lokomobila dyszała jeszcze przez chwilę ostatkami pary w spiżowych płucach. Robiło się coraz ciszej i coraz ciemniej. Nikli powoli ludzie we mgle

i szarzyźnie wieczoru, a za nimi zniknął pan Wacław, idąc w stronę spichrza. Ostatnim dźwiękiem był brzęk kluczy w rękach pana Brzózki.

Potem już była tylko cisza, niebezpieczna, bo czujna na wszystkie szelesty. Cienie wyciągały się, bladły, zapadały pod ziemię, wsiąkały w drzewa i budynki. Mrok wyrównywał się i tężał w noc, pełną niewidzialnych kształtów, które się przeczuwało szóstym zmysłem — zmysłem odgadywania. Pan Wacław chodził przez pewien czas po podwórzu, zajrzał do obory, gdzie właśnie kończono wieczorny udój, do stajni, skąd buchały kłęby końskiego ciepła. Zajrzał do kancelarji i zrobił wieczorny zapis. — Tyle ludzi przy pługach i bronach, tyle przy młócarni, tyle z furami po drzewo. I konie też wciągnąć trzeba — tyle tu, tyle tam, tyle ówdzie. Omówiło się z panem Sielskim jutrzejszą dyspozycję. — Orka, ciągle orka,na podwórzu młócarnia i młynki. A i nawóz wywozić z obory, jeśli zbędzie koni i ludzi. — Dyspozycja — to wielka pieczęć, położona na bilansie dnia. Sumuje się cały wysiłek, ocenia wartość trudu, wystawia saldo na dzień następny. To gospodarczy rachunek sumienia, po którym przychodzi spokój i wypoczynek. Tak rozumieli ją pan Brzóska i pan Sielski. Odeszli, zadowoleni z siebie i z dziedzica, zrzuciwszy ciężar rządzenia ze swych ramion na przeciąg długiej listopadowej nocy.

Pan Wacław podniósł się wkrótce i wyszedł za nimi. Nie udał się prostą drogą ku stertom, lecz

kluczył między budynkami, między kuźnią, stodołą i spichlerzem. Nie spotkał nikogo z ludzi, żaden cień nie przysłonił mu źrenic, badających ciemność dokoła. Mrok wchłonął w siebie całą rzeczywistość, napęczniał niewidzialnemi kształtami, które cofnęły się wgłąb, w niewiadome. Ale dźwięki zato rozchodziły się szeroko, jak koła po wodzie, sięgały poprzez ciemność dalej i głębiej, niż pozwalała im na to słoneczna jasność dnia. Wibrowały długo i jękliwie na strunach, które noc dla nich przerzuca nad światem, aby niepokoiły sen żywych i umarłych. Dalekie odgłosy nadbiegały zewsząd lękliwie, jakby spłoszone, jakby poderwane z kryjówek, gdzie dotąd spały bezpiecznie — i zlatywały się wszystkie w mózgu pana Wacława, w nowem spokojnem legowisku. Stał chwilę oszołomiony. Nie rozróżniał ich źródła ni treści, nie badał przeznaczenia. Wchłaniał je wszystkie razem, zmięszane w odurzającym chaosie — anonimowe dźwięki dalekiej i bliskiej nocy.

Potem już szedł dalej, obok szpaleru, ku stertom. Nie dociekał, jak się zakończy ten wieczór. W tej chwili nie myślał o Hance, o tem czy ją zastanie tam, wśród zwałów słomy, czy się doczeka jej przyjścia. Wobec tej nocy ogromnej i nieogarnionej wydała mu się jak dźwięk, nadbiegający zdaleka, obojętny i przemijający. Zatracił poczucie realności własnej i własnych przeżyć. Szedł twarzą przed siebie w ciemność, która rozstępowała się przed nim, nie stawiając żadnego oporu, jakby i on

był cząstką nocy. Szelest własnych kroków dochodził go z głębi ziemi, z pod warstw, ciemniejszych od najgęstszego mroku, i odlatywał z chrzęstem niewidzialnych skrzydeł. Chłód — ciężki, drażniący chłód jesieni — wpełzał mu na ręce od dołu i przenikał pod koszulę do ramion.

Wielki cień stodoły usunął się przed nim na bok. Odgadł przed sobą regularne formy stert i drogę, po której iść trzeba było ku nim. Postąpił jeszcze kilka kroków po miękkiem, słomianem podszyciu i rozejrzał się, jakby mógł coś dojrzeć w ciemności. Jakaś blada plama drgnęła między stertami. Natężył słuch. Szelest słomy zawisł w powietrzu na chwilę — po nim drugi szelest — po nim trzeci. — Hanka — rzekł pan Wacław tak cicho, że zaledwie sam mógł usłyszeć to słowo. Ale usłyszał je jeszcze ktoś inny—to słowo, które było jej imieniem. Już wiedział, że go czeka, że zbliża się powoli ku niemu. że za chwilę będzie tuż przy nim — bardzo blisko.

Wystarczyło wyciągnąć rękę, by dotknąć jej serdaka. Pod szorstkiem pokryciem bluzki kryło się ciepłe ciało, spokojne i wyczekujące. Przesunął palcami po jej szyi, miękkiej i gładkiej, jak drogocenna materja. — Długo czekałaś? — zapytał powoli, mową ludzi, którzy są blisko celu. — Pan dziedzic kazał, więc przyszłam — mówi Hanka z pokorą, tą bronią słabych. — Widział cię kto? — pyta. — Czy ja wiem? A choćby widzieli, to co? — Lepiej, żeby nie widzieli — mówi pan Wac-

ław z naciskiem, jakby chcąc narzucić jej swoj punkt widzenia na tę sprawę. Lecz Hanka nie ulega. — Wstyd panu dziedzicowi, że się ze mną schodzi? — zapytuje, spuszczając głowę na dół, ku rękom, które już ją opasały. — To nie dlatego — mówi przekonywująco pan Wacław — nie dlatego chcę, żeby nas nikt nie widział. — No pewnie — jeśli ja się nie wstydzę, to dlaczego miałby pan dziedzic? — Oboje zapewniają siebie nawzajem o tem samem. Każde z nich może spojrzeć w oczy światu i przyznać się do tych chwil, spędzonych w ciemności wśród słomianych stert. Ale żadne tego nie uczyni dla tych samych powodów. Kłamią oboje. Hanka nie chce, by wiedziano, że uległa namowom d z i e d z i c a, pan Wacław — że namówił na to spotkanie p r o s t ą d z i e w c z y n ę z c z w o r a k ó w. Zbyt wielki dystans jest między nimi — nie chcą, aby wiedziano, że d y s t a n s t e n p r z e ł a m a l i.

Pozwala się całować Hanka po ustach, po szyi. Pozwala sięgać pod bluzkę. Jest tam szorstka płócienna koszula i można zagrzać ręce, które ostudził chłód nocy. Pozwala pytać i odpowiada. — Czy dobrze jej w Wadowicach? — Nigdy w życiu dobrze jej nie było, ale i tu nie gorzej, niż gdzieindziej. — Siostra i szwagier nie krzywdzą jej w domu? — Nie, są dobrzy. A krzywdzić siebie nie pozwoli. Zarazby uciekła. — Brzózka nie gania jej za bardzo przy robocie? — Brzózka? A co

on ma do niej? Robi, co jej każą, więc czegóż miałby się czepiać? — A może się jednak czepia, ot tak, jak ją samą na śpichrzu przyłapie? — Co też to dziedzicowi do głowy przychodzi? — mówi Hanka, wydyma wargi i uśmiecha się, a uśmiech ten poprzez mrok dociera do pana Wacława i pieści go, jak ciepłe dotknięcie. — Nie pozwala się zaczepiać nikomu, a Brzózka ją nic nie obchodzi. Widziała lepszych kawalerów. — Proszę, proszę — a czy można wiedzieć jakich? — A bo to ich mało na świecie? — odpowiada, uśmiechając się ciągle to do swych myśli, to do dziedzica, który jest taki ciekawy na te rzeczy.

Dowiedział się wiele pan Wacław ze słów, mówionych szeptem. że chciałaby się zgodzić do miasta na służbę, że może już od kwietnia odejdzie stąd zupełnie, że jeśli chce jej kupić sukienkę, to już niech będzie wełniana, bronzowa, bo taką właśnie mieć by chciała. Czy się kiedy już z kim kochała? — nie chce mówić, ale zapewnia, że nie ma narzeczonego. Wacek wprawdzie chodził do niej przez dwa miesiące, ale teraz poszedł do wojska i tylko listy pisze. — Dziedzic chce, żeby mu listy pokazać? Owszem, proszę — nic w nich niema złego.—A jak przyjedzie na urlop, będziesz się z nim całowała? — Nie, nigdy tego nie zrobi. Musi się szanować, bo jest tylko biedną dziewczyną.

Niże się ta rozmowa ze zdań krótkich, ze słów i półsłówek, z pytań, które zostają bez odpowiedzi, z odpowiedzi na niezadane pytania. Pan Wacław

chce wiedzieć jak najwięcej, Hanka chce, aby wiedział nie wszystko. Przemilcza pewne rzeczy, omija, pokrywa uśmiechem i pocałunkiem. Na miękkiem podszyciu ze słomy można stać długo, wspierając się o stertę zmęczonem ciałem, można przysiąść w jakiem zazębieniu, wysmykanem przez chciwe na słomę baby. I tak się wlecze czas, muskając z szelestem źdźbła suche i pomięte, przenikając w kości chłodem mdłym i wilgotnym.

Wreszcie szmer ciężki i posuwisty daje znać, że mija godzina tego pierwszego spotkania. Nadchodzi ktoś w ich stronę powoli i leniwie, włokąc ciężar swego ciała i mroku, który go opasał —niewiadomy, jak ciemność, jak noc nierozpoznawalny. Zbliża się do nich, laską wspierając kroki, przystając, wypatrując przed siebie. Hanka sunie chyłkiem pod stertą, spłoszona i szybka, a pan Wacław podnosi się, by stawić czoło niebezpieczeństwu. — Dokąd to, stróżu? — pyta, pierwszy zadając cios na oślep, ku nadchodzącej postaci. Stróż ściąga czapkę i mruczy usprawiedliwienia. — Wziął dziedzica za kogoś innego, w taką noc nie rozpoznasz nikogo. — Widzieliście co? — pyta jeszcze pan Wacław, jakby od niechcenia. — Niceście nie widzieli? — to dobrze. Uważać, żeby mi słomy nie rozciągali. A nie gadajcie za dużo, bo nikomu to na dobre nie wyszło.

Patrzy za nim stróż, wsparłszy się na dębowym kiju, a pan Wacław odchodzi, już nie tłumiąc kroków, nie wypatrując — pewnie stąpając po błocie, które ciemne jest i oślizgłe, jak noc.

IV.

Dni i tygodnie mijały dla pana Wacława na wyczekiwaniu wieczorów. Czekał nocy, bo go zbliżyła do rana, a dzień obiecywał nowe wieczorne godziny. Wlokło się to pasmo dreszczów, nadziei, spodziewań — to zapadając w noc, to wypływając na szarą jasność dnia. Byliśmy jeszcze w grudniu i dni malały, kurczyły się i prędko przypadały do ziemi płowym, bezdźwięcznym mrokiem. A w mroku tym szukał pan Wacław kogóżby — jeśli nie Hanki?

Lecz nie znajdywał jej zawsze. Coraz częściej robiła mu zawody, które spędzały sen z powiek. — Ludzie zaczynają mówić o niej i o dziedzicu — skarżyła się — zaczynają patrzeć na nią krzywo, wytykać palcami. Musi się oszczędzać, musi być ostrożna. — Prezenty brała od pana Wacława, choć nie zawsze chętnie. — Poco mi pan dziedzic to daje? — mówiła, leniwie wyciągając ręce. Ale brała — i sukienkę bronzową, i jakieś paciorki, i złożone we czworo papierki.

Pewnego razu, pewnego rana, które przyszło

po długiej i ociężałej nocy, zabrakło Hanki na podwórzu. Nie wyszła do roboty. Pan Wacław dostrzegł ten brak jednem spojrzeniem. — Zainterpelował — czemu tak mało dziś czeladzi? — Objaśniono go, że trzy dziewczyny zostały chore w domu — wśród nich i Hanka być musiała. Prace na folwarku straciły wszelkie znaczenie dla pana Wacława na przeciąg całego dnia. Pozostawił je nadzorowi pana Sielskiego i Brzózki, a sam zamknął się w swym gabinecie. Pokój przestał go dławić, mógł pozostać sam na sam z książkami, bo wiedział, że i Hanka zamknęła się w swej izdebce. Nikt na nią nie patrzy, nikt nie słyszy jej głosu — jest bezpieczna. Nie grożą jej mroczne zakamarki śpichlerza, ani dwuznaczna samotność w stajni i oborze. Odpoczywał przez ten dzień, wolny od Hanki i z niej płynących utrapień.

Odpoczywał jeszcze nazajutrz, odpoczywał przez kilka dni następnych. Spokój nie opuszczał go, bo Hanka — to źródło trosk i udręczeń — nie zjawiała się ciągle u roboty. W ciasnej izdebce pielęgnowała swe cierpienie prawdziwe czy zmyślone. Tak przynajmniej twierdzili pan Sielski, rządca, i Brzózka, magazynier. Codziennie słyszał z ich ust o jednej chorej czeladzi. Nie przeszkadzało to robotom — wożono nawóz, młócono. Hanka widać nie była tak na folwarku niezbędna.

Ale przy którejś dyspozycji wieczornej, na szósty czy siódmy dzień spokoju pana Wacława, rządca, pan Sielski, zaruszał w pewnej chwili pię-

knie utrzymanemi wąsami. Znaczyło to, że ma coś do powiedzenia, co może się dziedzicowi nie podobać. I oświadczył po chwili milczenia, że uciekła jedna dziewczyna z czeladzi. Zabrała kuferek i chyłkiem się gdzieś wyniosła. Mówią, że do Chełma na służbę — zresztą to wszystko jedno, nikt jej tam szukać nie będzie. Trzeba tylko zawołać Brodacza i zapowiedzieć, że musi sobie znaleźć inną dziewczynę na jej miejsce. Każdy fornal ma mieć dwoje posyłek i precedensów stwarzać nie należy. Inaczej — kartka zwolnienia na pierwszego. Jest to jego opinja i prosi, by dziedzic zechciał się do niej przychylić.

— Naturalnie, naturalnie, — pan Wacław był tego samego zdania. — W mózgu zaczęły mu kuć jakieś młoty, a ręce rozchybotały się drżeniem obcem, jakby nie z niego płynącem. — Zawołamy Brodacza zaraz jutro — przytakiwał panu Sielskiemu. — Nie może być inaczej. Musi szukać drugiej dziewczyny. — Mówił obojętnie, nie przywiązywał żadnego znaczenia do tego faktu. Nie ta — to będzie druga. — Ale kłamstwo — tchórzliwe kłamstwo — tryskało z każdego słowa, wydzierało mu się ze środka przez oczy, przez rozszerzone jamy orbit. Wiedział, że musi być t a, tylko t a — żadna jej nie zastąpi — bo wszystkie inne razem nie będą nigdy tą jedną. Kłamał, aby się pozbyć Sielskiego, jego króliczych wąsów i chrząkania, które dobywał z głębi brzucha, aby dodać znaczenia swej pękatej figurce. Kłamał także dla sie-

bie, bo czuł, że nie opanuje drżenia, jeśli go nie zdławi tem kłamstwem. Ale po wyjściu Sielskiego szum w mózgu wzmógł się i spotężniał. Drżenia rąk nie miał już przed kim ukrywać. Przed sobą samym? — poco? — czyż nie czuje pustki, której niczem zamaskować nie zdoła? Ręce mogą mu drżeć — na cóż mu dzisiaj potrzebne? Szum w mózgu nie zagłuszy jej głosu — bo i tak go już nie usłyszy. Krzywił usta uśmiechem bez treści, który był wielką zmarszczką bólu. Czekała go ciężka noc i jeszcze cięższy ranek.

Powziął wiele na raz decyzji, ale wykonał tylko jedną. Następnego dnia w południe stawił się przed nim Brodacz, zastraszony nie swojem przewinieniem. Nazwisko urągało jego twarzy, gdzie zmięszały się rysy mongolskie z krwią bezwłosego eunucha. Patrzył bardzo pokornie i na wszystko przystawał. — Dziewczyny nie wyganiał, sama uciekła. Ale zaraz poszuka sobie drugiej. — Nie, nie — mówi pan Wacław — niech tamtą sprowadzi spowrotem. Była pierwszą robotnicą z czeladzi. Posłuszna jest i chętna, więc folwark straciłby na zamianie. — Brodacz kręci głową, przestępuje z nogi na nogę. — Uparta jest i nieustępliwa, nie podejmie się jej namówić. Jak raz uciekła, to przecie nie poto, by wracać. Dawno ją już do miasta na służbę ciągnęło. — Czy źle jej było u was? — wpytuje się pan Wacław w domowe tajemnice. — Nikt jej nie krzywdził, dobrze miała — tłumaczy Brodacz. — Ale w chałupie ciasno — żona, dzieci

i chłopak na drugą czeladź. Najciężej z tym dwojgiem posyłek. Gdyby tak dziedzic pozwolił trzymać jedną, to lżejby mu było w domu. — Pan Wacław czuje, że mu rzucają przynętę. Jeszcze się nie łapie, wymija. — Zobaczymy, zobaczymy, pomówię o tem z panem rządcą. Sprowadźcie ją tylko spowrotem, to pogadamy o reszcie. — Kłania się Brodacz, wychodzi, ale widać, jak bardzo czuje się bezsilny — pomiędzy dziedzicem i Hanką.

Wówczas pan Wacław wyciąga drugą decyzję z arsenału nieprzespanej nocy — broń silniejszą, którą trzymał w rezerwie. Posyła po Szyję Goldberga. Szyja Goldberg stawia się na zawołanie. Szyja Goldberg jest do wszystkich interesów. Nosi się z europejska, w kusych spodeńkach z krawatem — ktoby tam chciał teraz chałatem błoto wycierać? To też psy tolerują jego obecność, on zaś osobiście czuje wielki szacunek dla samego pana dziedzica. — Jedyny to człowiek, z którym o Palestynie pogawędzić można. Szyja Goldberg był tam parę lat temu, ale nie wytrzymał miesiąca, bo puchła mu od gorąca wątroba. Nie wybiera się już tam więcej, ale zato wszystkich żydków wysyła, żeby mu z dziedzicem handlować nie przeszkadzali. — Ma jechać do Chełma, sprowadzić kupców na ryby. Jest to poważny interes — Szyja Goldberg zdaje sobie sprawę — więc starannie omawia z dziedzicem wszystkie wątpliwe szczegóły. — Ile metrów, ile beczek, jaka cena? — Ach, ta cena — to największy szkopuł! Szyja Goldberg

chciałby jak najlepiej, ale czy tamci zrozumieją jego intencje? Ci kupcy z Chełma — to wszystko takie łobuzy. Czyby nie lepiej w Zamościu popróbować? — O nie, dziedzic ma dosyć tych zamojskich — naciągnęli go w zeszłym roku na dobrych paręset złotych Chce w tym roku sprzedać do Chełma, chociaż to trochę dalej. — Szyja Goldberg zrobi, jak mu dziedzic każe — to nie jego interes, on tu jest tylko faktorem. Pojedzie zaraz jutro, żeby na szabas powrócić. — O szabasie mówi z przekąsem — jest żydkiem postępowym, który w wiele rzeczy nie wierzy. Ale żony dobrze pilnuje, bo żona — to nie przesąd. — Aha, jeszcze jedna sprawa — mówi dziedzic, wyciągając się wygodnie w fotelu. — Uciekła do Chełma jedna dziewczyna z czeladzi, zna ją pewnie — to ta od Brodacza. Porządna i pracowita, chciałby ją wziąść na pomoc do kucharza. Niech ją Szyja tam w Chełmie odnajdzie i namówi, żeby powróciła. — Szyja Goldberg podejmuje się wszystkiego — dziewczyna napewno powróci, jak jej dobrze przemówi do rozumu. Dziedzic może być spokojny — zrobione.

Szyja Goldberg odchodzi, zostawiając po sobie stęchłą woń małego miasteczka. Szczepi na niej pan Wacław swą nadzieję, jak bakterje na tłustej pożywce. Są chwile,, że rozrasta się i rozpiera go wewnątrz ta nadzieja, jak wielki gorący kamień, ale potem przychodzą inne, gdy maleje, kurczy się i znika, zostawiając mdłą, przezroczystą pust-

kę. — I wówczas w pustkę tą wstępuje wizja ulicy, zalanej wodą z rynsztoków. Dojrzewa i fermentuje ta woda, tężeje w gęstą oślizgłą skorupę pomiędzy piętrami murów. Domy się chylą nad nią, pokraczne, jak baby ciężarne, obdarte z tynków, jak z szat, które łachmanami zwisają ku ciemnym bajurom. Telepie niemi wiatr, strąca z nich brud i śmiecie — i znosi wszystko w tę wodę, gnijącą w niemym bezruchu. Na rogu świeci latarnia, mrugając jednem zezującem okiem w głąb ulicy, która blednie od tego blasku, sinieje, drga w jakichś skocznych konwulsjach. Cienie nieistniejących przedmiotów tańczą dokoła, podrygują w takt wiatru, miotającego niemi, jak wielkim tumanem kurzu. Jest tam wśród nich jakiś cień gęstszy, realniejszy, jakby cień ludzkiej postaci. Pluszcze się on w tem błocie i pustkowiu, potrąca o mrok, ziejący z okien domów, zahacza o brudne plamy światła, krążące jak ćmy po ścianach. I podrzucany przez wiatr z tumanem innych cieni, w szarpanym nierównym rytmie zbliża się pod latarnię. Tu nabiera już wyraźnie ludzkich konturów. Przestaje być cieniem, a staje się człowiekiem. Staje się małą kobietą w jaskrawej czerwonej chustce. Widzi pan Wacław, jak ręce — chropawe i twarde, które trzymał tak często w swej dłoni — poprawiają zwichrzone pod chustką włosy miękkim zalotnym ruchem. Widzi, jak drobna postać, szara i tak dobrze znajoma, wspiera się o słup latarni w niedbałem oczekiwaniu. Co znaczy

czerwona chustka na ciemnej pustej ulicy? Co znaczy wyczekiwanie w kręgu bladego światła? Dławi się pan Wacław odpowiedzią, otrząsa ze snu, który go zaskoczył na jawie.

Potem jawę wypełniał książkami. Wabiły go już dawno szeregiem ustawione tomy Prousta nieznaną treścią szczelnie opstrzonych kartek. Rozcinał stronice z lubością, dotykając welinowego papieru i nietkniętych białych okładek. Rozplątywał te długie zawiłe zdania, których miarowa kadencja przywracała spokój jego tętnom. Przedzierał się przez gąszcz snów i marzeń, docierał do rzeczywistości, pulsującej codzienną namiętną powszedniością. Współczuł ze Swannem i jakżeż go dobrze rozumiał. Przeżywał tęsknotę za Albertyną razem ze swoją własną. I czuł, że łatwiej jest znieść dwie, niż jedną, choćby ta druga była nawet cudzą tęsknotą.

W parę dni Szyja Goldberg był już spowrotem. Chełmscy kupcy zjawili się z beczkami na wozach. Targowali się swarliwie, zapłacili i odjechali. Szyja Goldberg był rad z interesu — pan Wacław nie zajmował się nim wiele. Dziewczynę w Chełmie odnalazł, rozmawiał z nią i namawiał. Ale nic konkretnego nie mógł dziedzicowi powiedzieć. — Napewno wróci — któżby nie uległ jego kwiecistej wymowie? — Brodacz poszedł szukać drugiej czeladzi — nie chciał widać dostać kartki zwolnienia na pierwszego. A pan Wacław zamknął się z Proustem u siebie i rzadko wychodził na podwórze. Grudzień kończył się bezśnieżny i mglisty, wlokąc dni po ostrej, najeżonej grudzie.

V.

Gdyby nie nagły powrót Hanki pan Wacław odzyskałby niezadługo swoisty mu spokój ducha— i takby się zakończyła cała sprawa — zapomnieniem, które jest końcem wszystkiego. Teraz jednak zaczęło się wszystko od nowa. Spotkał ją pewnego dnia idącą do studni z pełnemi wiadrami wody na koromysłach. Uśmiechnęła się do niego — nikt ich nie widział — i przystanęła, stawiając wiadra na ziemi. Pan Wacław patrzył na nią z niemym niepokojem. — Tak, wróciła i będzie znowu chodzić do roboty. A dziś wieczorem zaczeka na niego przy stertach.

Pan Wacław poczuł, że to z czem się pożegnał, co zaczęło odchodzić już gdzieś w głąb, skąd się czerpie garściami wspomnienia, odżyło w nim na nowo i zatętniło w pulsach. Ogarnął go znowu niepokój, wróciła świadomość, że jeszcze będzie musiał włóczyć się ciągle wieczorami, zakradać pod sterty, wyczekiwać godzinami na chłodzie. I wiedział, że nie obroni się przed tą pokusą, która go opuściła na chwilę — na długą chwilę me-

lancholijnego spokoju. żal mu było książek, do których czuł, że nie prędko powróci. żal mu było tych cudzych przeżyć, które będzie musiał porzucić dla swych własnych — brutalniejszych, bo rzeczywistych. Jakby z wyrzutem patrzył za odchodzącą Hanką.

— Poco wróciła? poco go znowu dręczy? — myślał, idąc wieczorem po dobrze znajomej i wydeptanej ścieżce. — Siedziałby teraz w cieple, w miękkich objęciach fotelu, przy świetle, które nie męczy, ani nie każe wpatrywać się w gęstą odludną ciemność. Myślałby może o niej — napewnoby o niej myślał — i czyżby to nie powinno jej wystarczyć, jeśli zaczęło wystarczać już jemu?

— Więc wróciłaś? — rzekł z pewnem zdziwieniem, jakby z wymówką której ona może nie odczuła, choć nie wiedziała zrazu, czy zbliżyć się ma i przytulić, jak przed miesiącem. — I poco było to wszystko? — czuł, że musi zgromić jej postępowanie przynajmniej ze stanowiska dziedzica, jeśli nie kochanka. — Co ci do głowy strzeliło tak nagle? — Trudno było jej przytoczyć jakieś motywy. Ograniczyła się do tych codziennych i prozaicznych, o których wiedział już od Brodacza. — W domu ciasno, jedno o drugie potrąca, gdy się tylko ruszy. Chciała w mieście szukać czegoś lepszego. — A czy jaką służbę znalazłaś? — pyta pan Wacław, czując, że nie na długo utrzyma się w roli inkwizytora i chcąc uprzedzić słabość, już mu się rozlewającą po żyłach. — Pewnie wiesz teraz, że

w mieście jeszcze trudniej o zajęcie. — Ale gdzie tam! — Hanka nabiera pewności siebie. — W mieście lepiej każdemu. Znalazła służbę u doktora. Pani dobra, płacili nieźle, roboty nie miała dużo. — Pan Wacław zdziwił się tem kłamstwem, czy tą prawdą tak do kłamstwa podobną. — Więc czemu wróciłaś? — zapytuje i czeka na odpowiedź, w której spodziewa się jakiejś rewelacji, gdzie może i o sobie usłyszy. I rzeczywiście głos Hanki cichnie, drga jakby jakiemś przeżyciem. — Przecież pan dziedzic posyłał Szyję po mnie — mówi. — Dobrze mi było, lecz nie mogłam w mieście wysiedzieć. — Aha, tęsknota za wsią, za ziemią, choćby nawet cudzą — myśli pan Wacław, nie chcąc jeszcze łączyć swej osoby z tym powrotem. — Ciasno jej było w mieście, ciągnęło do wolnych przestrzeni tę stepową naturę — tłumaczy sobie, jak może, choć wie, jak dobrze kino gasi wszystkie wiejskie tęsknoty — kino co tydzień w niedzielę. — Pan dziedzic posyłał po mnie i kazał wracać — mówi dalej Hanka. — Tęskno mi się zrobiło, gdy tego Żyda ujrzałam. Myślałam, że się pan dziedzic pogniewa, jeśli nie wrócę. Będę chodzić do roboty, jak przedtem. Brodacz nie ma jeszcze dziewczyny, więc jeśli pan dziedzic się zgodzi, wszystko będzie po dawnemu. — Wszystko? — pyta pan Wacław — czy wszystko? — O tak, tak — zapewnia Hanka i tylko o jedno prosi, by pozwolił Brodaczowi od kwietnia trzymać jedną czeladź, bo jest im za ciasno w chałupie. — Pan Wacław zgadza się —

bo cóż ma robić? Myśli z przykrością o przejściu, jakie będzie miał z panem Sielskim na ten temat. Ale to jest rzecz dalsza, której może zdoła uniknąć. Tu musi jakoś wynagrodzić uczucie tej biednej dziewczyny. Ogarnia go rozczulenie — jest łagodnego serca — i pochlebia to jego męskiej próżności. — A więc winien jest sobie samemu — myśli — sam sobie to ściągnął na głowę. Zresztą przeżycia potrzebne są przecież każdemu — nie tylko te cudze, książkowe. — Decyduje się żyć rzeczywistością, dopóki nie stanie się za uciążliwa, dopóki ma koloryt sentymentu i nie narzuca mu zbyt brutalnych rozstrzygnięć. Mówi Hance jakieś słodkie słowa, pociesza ją i tuli. — Wszystko będzie dobrze, wszystko da się zrobić, jeśli tylko będzie rozsądna i głupstwa drugiego nie zrobi. Dobrze, że powróciła — chciał tego. — Hanka cieszy się ze słów dziedzica. Boi się tylko, co rządca na to powie i jak ją Brzózka przywita, gdy jutro wyjdzie do roboty. Napewno kląć będzie i piorunować — Ale to wszystko będzie jutro, a teraz są razem pod osłoną stert, gdzie nikt ich dojrzeć nie może. Patrzeć mogą na siebie, bo szary blask bije od śniegu i wydziera ich nocnym ciemnościom.

Ten blask rozciągał się i na resztę dni zimowych, nie wnosząc żadnych jaskrawych świateł ani do pejzażu, ani do przeżyć Hanki i pana Wacława. Zima lekka była tego roku. Wiatry szły od wschodu i północy, ale jakieś łagodne i powściągliwe, jakby już niosąc w sobie bliski zarodek wiosny.

Sniegu było mało, gruda świeciła wszędzie, jeżąc się czarnemi grzbietami. Mgły opadały na ziemię, często mżył deszcz.

Kłopoty i troski pana Wacława krążyły wszystkie dokoła Hanki. Oplątywały ją niewidzialną siecią, która — mimo swych form niematerjalnych — paczyła jednak prawdziwe kontury rzeczywistości. I z poza tej tkanki trosk i udręczeń wyglądała jakoś tajemniczo, rozdwajając się na dwie tak różne istoty. Była w niej prosta naiwna dziewczyna, którą widział codziennie przy robocie i wieczorami w cieniach zmierzchu. By ją ujrzeć, wystarczało wyjść na podwórze, lub podkraść się ukradkiem pod sterty. Ale była w niej jeszcze kobieta o cynicznym wyzywającym uśmiechu, o rozpalonych namiętnością oczach, o ruchach wyuzdanej bachantki — i tej nie oglądał nigdy, choć pewny był jej istnienia. — Istniała, napewno istniała — tylko nie dla niego. — Wychodził często w nocy na jej poszukiwanie. Otello i Swann brali go pod ręce — i szli razem. Stawali pod pniami ogołoconych lip, które zgęszczały mrok nocy, i niewidoczni wsłuchiwali się w odgłosy, dochodzące z czworaków i podwórza. Wiatr nadlatywał górą i miotał się wśród nagich gałęzi, jak ptak zaplątany w sieci. Dołem płynęła cisza, sącząc się z zamarzniętej ziemi przejmującym chłodem. Wspierali się ciężko o pnie szerokich lip — trzy ofiary własnych urojeń — i chwytali łapczywie dźwięki, nadsyłane im przez niespokojną noc. Widzieli jakieś postacie, krążą-

ce bezdźwięcznie między budynkami. Słyszeli ciche szepty i nawoływania, a każdy z nich rozpoznawał ten głos najbardziej znajomy, którego tak bał się usłyszeć. Przykuci do ziemi i do korzeni drzew trwali w niemej kontemplacji własnego cierpienia. Brakło im sił, by urojenia zamienić w rzeczywistość, by wydrzeć prawdę tym nocnym zbłąkanym zjawom. Pan Wacław wracał sam, myszkując wśród szarych budynków — i jakżeż często natrafiał na cień Scagnarella! Lecz na Hankę nie natrafił nigdy — na tę drugą z rumieńcem bachantki.

Potem, gdy ją widział z rana przy robocie, nie miała w sobie już nic z poszukiwanej zjawy. Była tylko tą jedną, jaką oglądał zawsze przy świetle dnia i jaką słyszał wśród wieczornego zmierzchu. Tracił wówczas wiarę w jej dwoistość. Dzień nie sprzyjał igraszkom wyobraźni. Czasem jednak jakiś szczegół, jakieś słowo, podsłuchane przypadkiem, rozbudzały w nim nocną nieufność. — Raz— było to na śpichlerzu i Hanka stała przy młynku, kręcąc powoli korbą. Rozmawiała głośno z Kasią Bojczukówną — głośno, bo trzeba przekrzyczeć zgrzyt młynka. Pan Wacław uwijał się po śpichlerzu, niby to przeglądając kupy zwalonego zboża, ale właściwie wyławiając w powietrzu oderwane słowa i zdania, jak ryby w gęstym, zamulonym stawie. Preparował je potem po swojemu, odtwarzał, jak pismo klinowe na asyryjskich cegiełkach, i tuczył swą wyobraźnię coraz nowemi obrazami, jakie mógł tylko poskładać z tych mówionych heroglifów.

A jeśli dostrzegał w nich tylko lukę, brak jakiegoś ogniwa w łańcuchu, który mu rwał się przez to i wymykał — wypełniał puste miejsca produktami podejrzliwej fantazji. I cykl się wówczas zamykał w całość zaokrągloną i pełną. Zamykał się dokoła pana Wacława, jak pajęcza sieć dokoła bezbronnej ofiary. Pan Wacław wirował z nim razem w przestrzeni, odrywał się od świata i jego trzech wymiarów, torturowany widmem szeregu ciemnych znaków, które zestawił w wielki i złowieszczy rebus. Rozwiązaniem była zawsze Hanka — i rozwiązanie to przyprawiało go o dreszcz zgrozy.

Dziewczyny mówiły głośno, ale urywanie. Często nie kończyły zaczętego zdania lub słowa — praca przy młynku nie sprzyja potoczystej rozmowie. To zboża trzeba dosypać, to poślad odgarnąć łopatą. To też pan Wacław biedził się ze swym rebusem. — Ciemno było wczoraj wieczorem — mówi Kasia — i psy czegoś silnie szczekały. — A bo to nie włóczą się pod oknami chłopaki? — odpowiada Hanka. — Co nocy ich zawsze słyszę.— (Pan Wacław nastawia ucha, zbliża się lisim krokiem). — Ty musi sen masz letki, — że spać ci chłopaki nie dają. — Pewnie, że letki — jeszczem nie stara baba, żeby na śmierć zasypiać. — Ho, ho — śmieje się Kasia. — Wiem o tem, żeś nie stara, a i inni też o tem wiedzą. (— Jacy inni?— jacy inni? — pyta pan Wacław i już wstawia do rebusu własne pokraczne znaki). — Dziewczyny obie się śmieją — jedna odgarnia poślad, druga

naciska korbę, zmieniwszy rękę, bo już jej jedna omdlała. — Przychodziła wczoraj Rycajka pożyczyć sobie soli — zaczyna znowu Kasia. — I u nas też była, ale jej nasi nie dali, bo nigdy uczciwie nie odda — odpowiada Hanka i robi poważną minę, potępiając nieuczciwość sąsiadki. — Wiecznie im czegoś brakuje, takie żebraki. — A bo to oni jedne? Ty masz serce miętkie, ale nie dla każdego — mówi z przekąsem Kasia i widać, jak Hanka nie rada jest z tej uwagi. — (Pan Wacław czuje dreszcz na wzmiankę o miękkiem sercu — to takie bardzo dwuznaczne — i uzupełnia rebus nowym groźnym heroglifem). — Mikołaj zbił wczoraj swoją babę, bo mu machorki nie przyniosła — zaczyna tym razem Hanka, wsypawszy w młynek miarkę złocistej pszenicy. — Słyszałam, jak się wydzierała. — Kiedy to było? — pyta Kasia. — U nas nic o tem nie wiedzą — dziwi się, że tak po sąsiedzku, a nie doszła ich ta nowina.— Nasi akurat światło zgasili — była już chyba dziesiąta. — To ja już wtedy spałam — odzywa się z ulgą Kasia, że przecież nie z własnej winy przegapiła taką sesnację. — U wszystkich już było pogaszone — ciągnie dalej Hanka, naciskając z rozmachem korbę. — Jakem wyszła na dwór, świeciło się tylko u Brzózki. — Ty zawsze widzisz, jak się u Brzózki świeci — mówi Kasia i zanosi się od śmiechu zadzierając w tył głowę i szczerząc niepiękne zęby. — Brzózka? A cóż tu znowu Brzózka? I światło — dawał może znaki? — ma-

jaczy pan Wacław, przeczuwając w swym rebusie jakieś potworne rozwiązanie. — Na dwór wychodzi w nocy — i poco? Może była u niego? — Wielki, bolesny ciężar gniecie mu wnętrzności na myśl o Brzózce i Hance, zamkniętych w małym, samotnym pokoiku. Chodzi po śpichrzu nerwowo, wdziera się na piętro, gdzie zastaje Brzózkę przy czyszczeniu nasiennych buraków, i bada jego twarz, czy nie znajdzie na niej jakich nocnych śladów. I rzeczywiście — Brzózka jest dzisiaj wyjątkowo senny. Robi mu jakieś uwagi podniesionym głosem, schodzi na dół, gromi dziewczyny, że za mało przemłynkowały zboża — aż patrzą na niego, zdziwione tym nagłym wybuchem. — Rebus dzisiejszy miał bardzo bolesne rozwiązanie.

To też wieczorem przy stertach gnębił Hankę podstępnemi pytaniami. Chce ją omotać, zaskoczyć, przycisnąć mocno do muru. Hanka broni się naiwną nieświadomością. — O co dziedzicowi chodzi? Brzózka? — ona nic nie wie o Brzózce. Łaje ją tylko od czasu tej jej ucieczki do Chełma. Rządca też krzywi się na nią. A teraz to nawet sam dziedzic... — Na płacz się jej zbiera — żałuje, że wróciła, tak wszyscy się na nią sprzysięgli. Jest bardzo nieszczęśliwa i nie wytrzyma długo. — Pan Wacław ochłonął nieco, pociesza ją, zmieniwszy ton z inkwizytorskiego na liryczny. Wycofuje się z roli Otella i Swanna. Nie zna stanów zapalnych — nawet w zazdrości. Stygnie od wiatru, który zawiewa pod sterty, i od hańczynych perswazyj, naiwnych i rozbrajających.

VI.

Pan Wacław niekiedy miewał genjalne pomysły. Ot, taki jeden — wypsnie mu się nagle z pomiędzy zwojów mózgowych — nic nie znaczący, mały, pokraczny embrjon, galaretowata komórka, płaz, ryba, najprymitywniejszy pierwotniak. Nie zwraca nań nawet uwagi — taki jest mdły i mizerny — gniecie go niecierpliwie nogą po kilka razy dziennie, by mu okazać całą swą bezgraniczną pogardę. — Niech wala się w kurzu i odpadkach jego dojrzałych i prawdziwych myśli! — Ale cudaczny ten noworodek — mięsisty, z chrząstkami zamiast kości — pnie się ambitnie w górę po swoje miejsce w cieniu czy słońcu — zależnie od pory roku. Nabiera kręgów i żeber, formuje swój stos pacierzowy i wkrótce może się legitymować kształtnie rozwiniętym kośćcem, pretendując do awansu już na wyższego kręgowca. Z przypadkowego pomysłu stał się uformowaną myślą, koncepcją o wykończonych kształtach. A taką już gardzić nie można — choćby przez szacunek dla samego siebie. Trzeba ją rozważyć i przeanalizować, zba-

dać jej wartość teoretyczną, zmierzyć praktyczne walory. Zazwyczaj nosił się pan Wacław przez dni kilka ze swemi pomysłami, nim zdołał je należycie ocenić i uznać za genjalne.

Tak było i w tym wypadku. Już od dłuższego czasu widział, że Hanka z Kasią zawsze trzymają się razem. Jakby niema umowa zapadła między niemi a Brzózką. Posyłał je wszędzie we dwie — do młynka, do podawania słomy, do doju. Nigdy ich nie rozłączał, jakby zrosły się w jego mózgu w parę sióstr sjamskich, połączonych wspólnością jakiegoś organu. Rozdzielisz je — a klapną obie bezwładne i bezużyteczne, znowu połączysz — a odzyskają życie i zdolność do pracy. Wreszcie i one uwierzyły, że rozłączyć ich jest niepodobieństwem, jaskrawą niedorzecznością — że wolą losów i przeznaczenia jest, aby trwały wciąż razem, zjednoczone i nierozdzielne. Pogodziły się z tem, zżyły. Za gwałt i niesprawiedliwość uważałyby odmienne postępowanie Brzózki.

To był zalążek genjalnej myśli pana Wacława — niejako zewnętrzny jej bodziec. Dalszem ogniwem były skargi Hanki, że ludzie za dużo już mówią o niej i o dziedzicu, domyślają się wieczornych schadzek. W domu też krzywią się coraz częściej na nią, dopytują, dokąd to wychodzi o zmroku. Znajduje zawsze jakieś tłumaczenie — ale podejrzliwość wzrasta. Należałoby znaleźć pozory, preteksty. Naprzykład: — sprzątanie w pokoiku Brzózki. — Ale pan Wacław zakrzy-

czał ją zjadliwym, złowieszczym szeptem. — Zabrania, stanowczo zabrania, by kiedykolwiek przestąpiła próg tego pokoju. Niech nawet o tem nie myśli. Musi wybierać — albo on, albo Brzózka. Już dawno czuł, że jest coś między nimi — a teraz nabiera pewności. Zawsze widział, że Brzózka ma dla niej jakieś względy, wyróżnia ją i z pomiędzy innych wynosi. Ale teraz przenika całą intrygę i gotów przepędzić Brzózkę na cztery wiatry. — Hanka ugięła się pod tym paroksyzmem zazdrości. Przelękła się, nie wie, jak zatamować wybuch. — Więc chodzisz do niego sprzątać wieczorami? — pyta, ściskając ją gwałtownie za rękę, i myśli o tym pokoiku, jak o klatce najgorszych tortur, który dla niej mógł być miejscem rozkoszy. — Hanka szorstko się odsunęła od niego. — Musi chodzić, jeśli jej każe. Może i ją przepędzić razem z Brzózką — zaczyna grozić. Pójdzie sobie, jeśli dziedzic będzie dla niej taki niedobry. Jest niewinna — Brzózka jej nawet nie dotknął. Coś się dziedzicowi przywidziało, albo jakiegoś gadania się nasłuchał. — Przeszła na drugą stronę sterty, jakby już chcąc iść do domu — ale przystanęła, ciekawa skutków tej demonstracji. — A mózg pana Wacława zaczął teraz pracować burzliwie, gorączkowo, jakby pod naciskiem jakiejś niewidzialnej siły, która przepłynęła mu gwałtownym strumieniem od stóp do głowy. — Musi się śpieszyć, musi coś postanowić — od decyzji tej zależy tak wiele. — Pobudza swój proces

myślenia do genjalnego wysiłku, podnieca go, judzi, podpędza, wyłapuje przesłanki, buduje wnioski, zestawia sylogizmy — i wreszcie chwyta coś w tym tumanie logicznego tumultu, co rozpala mu się nagle wśród ciemności, jak wielka jasność w pierwszy dzień stworzenia. Biegnie z tą jasnością ku Hance, jak Prometeusz z płomieniem ognia w ręku. Zatrzymuje ją, chwyta za serdak i mówi: — Wiem już, jak będzie. Będziecie chodzić we dwie — ty z Kasią. — Hanka nie odrazu pojmuje, więc wykłada jej obszernie i przekonywująco, że ponieważ tak wszędzie są nierozdzielne, tak zawsze pracują razem, tak zżyły się i zjednoczyły — mogą także w dwie przychodzić tu pod sterty, albo w inne miejsce, jakie im wskaże — bo przecież Kasia jej nie wyda i do śmierci zachowa tajemnicę. Bierze to zresztą na siebie, by tajemnicy dochowała. Nietrudno przemówić do rozsądku takiej dziewczynie, jak Kasia. Są zresztą inne sposoby, których użyje — i Hanka o nic nie potrzebuje się troszczyć. Następnym razem niech już we dwie przychodzą. — Hanka się zastanawia, medytuje, rozsądza pro i contra — i wreszcie dochodzi do wniosku, że pomysł wcale nie najgorszy. — Jeśli pan dziedzic da Kasi jaki prezent od czasu do czasu, to będzie chodzić i napewno się nie wygada. — Pan Wacław śmieje się, rad ze swego pomysłu i domyślności Hanki. — Prezenty, pewnie, że prezenty. Prezentami dużo zrobić można. A w ten sposób odwróci się podejrzli-

wość ludzi, bo zawsze będzie mogła powiedzieć, że chodziły gdzieś we dwie z Kasią. Nie prędko się domyślą, że i Kasia jest w to zamieszana. — Rozchodzą się pogodzeni, czując wielką ulgę, jak po powzięciu doniosłej i zbawczej decyzji.

I odtąd pan Wacław, podkradając się wieczorami pod sterty, dążąc ku debrze, zarośniętej chaszczami, ku zwartej grupie lip, która jak wielki czarny snop sterczała wśród gołego pola — widział już zdala dwa szare cienie, czekające na niego w ciemności. Albo, czekając gdzieś w ukryciu, widział, jak cienie te zbliżają się w jego stronę — dwa cienie podobne wzrostem, jednakowe bezbarwną szarością, takie same w powolnych i powściągliwych ruchach. Nigdy nie mógł zgadnąć odrazu, który z nich należy do Hanki, a który jest tylko Kasią. I gdy wysuwał się z ukrycia, idąc naprzeciw tych cieni, jeden z nich oddalał się powoli, nucąc jakąś niepewną melodję. Usuwał się gdzieś na bok, wsiąkał w ciemność — a zostawała tylko Hanka, nieruchoma i wyczekująca.

Zdaleka nadchodziła już wiosna — szła jeszcze gdzieś górą, z wiatrami i ciągle zmienną pogodą, zaledwie muskając ziemię nieoczekiwanem ciepłem. Ale wszystko przygotowywało się już powoli na tę wielką przemianę. Pan Wacław po wiośnie spodziewał się bardzo wiele. Ciekaw był, jak wypadną jego przeżycia na tle nowego pejzażu. Brodził dotychczas w śniegu — jakżeż wyglądać będzie jego miłość wśród kwiatów? Czy nie przyćmią

jej i nie zagłuszą? — snuł sentymentalne refleksje. Zrozumiał w tym roku, że życie składa się z szeregu tęsknot za wiosną. że zima jest poto, by ją przetrwać — a wiosna poto, by ją osiągnąć i przeżyć.

Widocznie i na śpichlerzu odczuwano podobnie te przedwiosenne nastroje, bo melodje piosenek stawały się coraz bardziej przeciągłe i liryczne, a słowa usuwały wszelką wątpliwość co do emocjonalnego charakteru tych wokalnych wystąpień. Z całą szczerością wypowiadały to, co melodja podsuwała tylko domyślności pana Wacława.

Hej, wiosna, wiosna ludzi rozwesela,
A ja, młodziusieńka, nie mam przyjaciela

śpiewały dziewczyny — i dzień, w którym pan Wacław usłyszał te słowa, wydał mu się ostatnim dniem odchodzącej zimy. Następnego dnia wyłowił z turkotu młynków dalszy ciąg tej samej piosenki, drżący uczuciem wiecznego rozczarowania:

Miałeś mi, Janku, na kobiercu przysiąc,
A teraz odjeżdżasz za kilka mil tysiąc.

A Janek — symbol wszystkich tęsknot dziewczęcych ze śpichrza — odpowiadał tym samym głosem, równie przeciągle, równie melancholijnie, powolnym rytmem tej samej melodji.

Odjeżdżam, odjeżdżam i żegnam się z tobą,
Pamiętaj, dziewczyno, jak my żyli z sobą.

I wówczas dziewczęta rzucały światu ciężkie oskar-

żenie, szukając winnych tej rozłąki, i grożąc karą Niebios, które powinny się opiekować ich miłością:

Oj, żyliśmy se jak gołębie w parze,
A kto nas rozłączył, niech go Pan Bóg
skarze.
Rozłączyli nas nasze przyjaciele —
Pokaraj ich, Boże, na duszy, na ciele.

Dziesięć tysięcy ludzkich pokoleń skarżyło się w tych słowach i tą melodją przez usta dziewcząt, na które przyszła kolej czuć to, co od początków stworzenia było liryką życia. Drugie dziesięć tysięcy skarżyć się jeszcze będzie w przyszłości innym może językiem i inną melodją, ale zapewne równie melancholijnie. Bo tęsknota dziewcząt ze śpichrza jest wieczna i Janek zawsze odjeżdżać będzie, a tak rzadko wracać. Zagarnęła ta melodja pana Wacława w krąg swych lirycznych wzruszeń i w kręgu tym pozostał długo — na cały czas wiosennych fermentów. Nawet nie starał się wydobyć z niego, gdyż były dlań nowe i nieoczekiwane. Bawił się tą nowością, delektował, przeżywał ją, jak wytrawny smakosz.

VII.

Troski pana Wacława wzbierały, jak wiosenne wody, i płynęły jednem mętnem i zamulonem korytem. A stawały się coraz różnorodniejsze. Pokoik pana Brzózki przestał być jedyną klatką jego tortur. Gdy pewnego dnia Hanka nie wyszła do roboty, powiedziano mu, że zatrzymał ją u siebie pan Sielski dla jakiegoś wielkiego przedświątecznego sprzątania. A pan Sielski nie był anachoretą, ani Katonem, ani nawet przykładnym mężem. Pomadował wąsy i w obecności dziewcząt nabierał jakiegoś krzykliwego, sztucznego wigoru. Twarz mu wtedy czerwieniała nienaturalnym karminem, a oczy wysuwały się z orbit, jakby miały mu spłynąć po policzkach. Pan Wacław przechwytywał czasem jego rybie, mętne jak szkło spojrzenie, którem łechtał gołe łydki podkasanych dziewcząt. A łydek tych przybywało z każdym dniem, w miarę jak świat posuwał się wgłąb wiosny. To też wzrok pana Sielskiego nabierał coraz więcej bezbarwnej, szklanej patyny, a gorączkowa czerwień na stałe przylgnęła do jego policzków. Drażniło

pana Wacława, gdy wzrok ten spływał na Hankę, gdy mazał się po niej lubieżnym wilgotnym dotykiem. Miał wrażenie, że Sielski rozbiera ją z serdaka, bluzki i koszuli, patrząc tak na nią, że przenika spojrzeniem aż do ciepłej skóry, ześlizguje się wzdłuż bioder i ud, by znieruchomieć wreszcie, jak kropla ściekającego tłuszczu, na kształtnych i naprężonych łydkach. Odbywał z nim razem tę wędrówkę z góry na dół po ciele Hanki — i kresem jej były nagie stopy i błotem poczerniałe palce.

Tak więc dnia tego przybyła mu nowa tortura, a miejscem jej stał się domek pana Sielskiego. Pod tym dachem, opstrzonym nowemi gontami, ze ścianami o wątpliwej zeszłorocznej bieli, w tych niskich pokojach z belkowanym pułapem, którego dosięgnąć można było ręką, wśród mebli, wypinających na świat swą tanią, pretensjonalną banalność — uwijała się Hanka niewiedzieć poco, robiąc niewiedzieć co, usuwając niewiedzieć jakie brudy. Świadomość, że nie może kontrolować jej ruchów, że zamknięto ją w innym małym światku, do którego niema dostępu, że wypełnia cudze polecenia, odpowiada na pytania, których on nie słyszy, jednem słowem, że odcięto ją od niego na cały długi dzień od rana do zmierzchu — świadomość ta wprawiała go w rozdrażnienie i wywołała gniew na sprawcę tej nowej udręki. Pan Sielski musiał wcześnie odczuć niezadowolenie dziedzica, ale może nie odrazu zrozumiał jego przyczynę. Lecz wyjaśnienie nie kazało długo na siebie czekać. Pan

Wacław zbyt usilnie wypytywał o czeladź, która nie wyszła dziś do roboty. — Roboty przecież jest tyle — młocka, młynkowanie zboża na siew, czyszczenie nasienia buraków cukrowych. A tu jedna czeladź chora, druga poszła na jarmark, trzecią gdzieś ktoś wziął do roboty, która nie ma nic wspólnego z folwarkiem. — Była to wyraźna aluzja, więc pan Sielski, widząc, że nie udało się przemycić nieobecności Hanki, zauważył z godną i obrażoną miną, że — przeciwnie — jego osoba i jego dom mają z folwarkiem bardzo wiele wspólnego, dał do zrozumienia, że uważa siebie za ośrodek, mózg i głowę folwarku, za najważniejszą jego sprężynę, i że zupełnie naturalną jest rzeczą użycie jednej folwarcznej czeladzi do obsłużenia tak ważnej części całego mechanizmu. — Dziwi się, bardzo się dziwi — ciągnął z naciskiem — że dziedzic wypomina mu tę błahostkę. Nie zastrzegał sobie tego w umowie, bo uważał to za rzecz tak drobną, nie zasługującą nawet na wzmiankę, za rzecz uświęconą zwyczajem. — Pan Wacław słuchał tych wywodów nieco zaambarasowany i przyznawał w duchu rację panu Sielskiemu. Ale jak mu wytłumaczyć, że nie chodzi tu o fakt wzięcia czeladzi do sprzątania w rządcówce, lecz o fakt wzięcia Hanki — właśnie Hanki? — Niech bierze sobie dziesięć innych dziewczyn, niech robi z niemi, co mu się żywnie podoba, byle tylko Hanki nie ruszał — oto, co powtarzał sobie po cichu, nie wiedząc, jak to głośno wyrazić.

Pan Sielski nadymał się tymczasem tłumionym gniewem, puchł od urażonej godności, jakby miał za chwilę kopnąć ziemię nogą i unieść się w powietrze, poruszane chłodnym porannym wietrzykiem. Przytem wąsy drgały mu niespokojnie — stały się ostre, kłujące, agresywne, potniały pomadą, kleiły się jakimś podejrzanym, wątpliwym kosmetykiem. A krwista czerwień twarzy nabierała pod wewnętrznem ciśnieniem fioletowych nalotów i lśniła, jakby pokryta werniksem, od potów irytacji. — Jak tu takiej rozjuszonej bryle mięsa tłumaczyć, o co rzecz idzie? — Pan Wacław nie próbował tego nawet. Obserwował wytężoną pracę wydętego brzucha, która świadczyła o gwałtownym rytmie hamowanego gniewu i zagrażała co chwila wszystkim szwom napiętej kamizelki. Widział opuchłe ręce, targające kluskowatemi palcami łańcuszek od zegarka, i krótkie nogi w obcisłych glancowanych cholewach, drepczące na miejscu podnieconym, urywanym taktem. Sam zarażał się tą irytacją — ale ta drążyła go wewnątrz, nie wydostając się na wierzch żadnym niekontrolowanym przejawem. Odmierzył kilka słów o nerwach, o nadmiernej ekscytacji, podsunął myśl wypicia szklanki wody i pozostawił pana Sielskiego, tańczącego jeszcze ciągle nerwowo w krótkich podrygach.

Następnego dnia Hanka była już u roboty. Pan Sielski musiał sam zrozumieć, o co szło dziedzicowi, albo trafną myśl podsunął mu pan Brzóz-

ka, bo wziął do siebie inną jakąś dziewczynę i przekonał się, że tym razem pan Wacław nie spostrzegł nawet tego. Ale nie ukoiło to niepokojów pana Wacława. Zachodził w głowę, czemu jednak na trzydzieści czeladzi wybór pana Sielskiego padł na Hankę, dlaczego o n a w ł a ś n i e, a nie inna, była potrzebna rządcy do jakiegoś tam sprzątania? — I czy do sprzątania tylko? — dręczyło go jątrzące pytanie. Co się działo za temi ścianami o zeszłorocznej białości, pod tym dachem, opstrzonym plamami nowych gontów, w tych małych niskich pokoikach, dokąd przeniknąć nie był w stanie? Sielski tego dnia kilka razy zachodził do domu i mniej przebywał na folwarku, niż zwykle. Może dlatego, że go ponosiła jeszcze irytacja, a może — dla i n n y c h powodów? I tu, w wyobraźni pana Wacława, tylko Hanka mogła być tym i n n y m powodem. Odtwarzał sobie najprzeróżniejsze sceny, odmieniał je i deklinował, jak jaki łaciński czasownik, komponował najdrastyczniejsze warjacje na ciągle ten sam temat: — Hanka w objęciach Sielskiego, w lepkich, obleśnych objęciach. Widział, jak się do niej podkrada, jak czeka na dogodny moment, gdy nikogo nie będzie w pokoju, jak chwyta ją, przyciska do wypiętego brzucha, sadza na krótkich kolanach. A Hanka nie broniłaby się nawet tym pieszczotom, bo i jemu przecież nie stawiała nigdy oporu. Nużyło go to wszystko, jak ciężkie halucynacje, a gdy po kilku dniach wyczerpał już

wreszcie i zmęczył swą wyobraźnię tą nieostrożną i rozwiązłą grą, dowiedział się, że żona Sielskiego wyjechała i nie było jej w domu w ten krytyczny dzień, kiedy Hanka bawiła się sprzątaniem u rządcy, a rządca miał bawić się Hanką. Wówczas fala gorączki zalała go na nowo, a halucynacje wezbrały ze zdwojoną siłą. Ta nowa okoliczność była decydująca, potwierdzała ostatecznie wszystkie na raz jego przypuszczenia i każdą fantazję zamieniała w dogmat. Hanka w objęciach Sielskiego stała się realniejszą od samego istnienia Hanki. Hanka i Sielski — to może dwa przywidzenia, dwa widma, wywołane wyobraźnią, wałęsające się przed jego oczami za sprawą jakichś gorączkowych omamień. Ale to, co działo się poza zasięgiem jego wzroku za bielonemi ścianami, co nie zostało potwierdzone żadnym szeptem, żadnym szmerem ani odgłosem, co zrodziło się w nim samym, ciche i milczące, — było równie realne i żywe, jak ból, który szarpał go wewnątrz i nękał.

Tak było przez dni kilka. Potem nieoglądane sceny z za bielonych ścian zamazywały się jakoś i bladły, gubiły tę najbardziej piekącą drobiazgowość w detalach, przechodziły w bardziej ogólnikowe i postrzępione obrazy, już tylko słabo związane z czasem, z miejscem, a nawet z osobami. Stawały się powoli abstrakcjami, symbolizowały pewien stan rzeczy, lecz przestały go odtwarzać— i to było wielką ulgą dla pana Wacława. Kojąca praca czasu niszczyła zdobycze wyobraźni, która w walce z nim okazywała się stroną słabszą, skazaną na zagładę.

VIII.

Tymczasem zaczynano wyglądać już w pole, czy rola nie obsiąkła z wiosennej wilgoci i jak prędko da się wyjść z pługami. Przechodziły deszcze, spłukując mętne zimowe osady. Łąki stały pod wodą, a pola zieleniały, wprawdzie jeszcze martwą, przemarzłą zielenią, ale chciwe już powietrza i słońca. Pan Wacław wychodził teraz daleko poza folwark i obserwował niszczącą pracę wiosny. Śnieg topniał i zapadał po wąwozach, spływając z ledwie dosłyszalnym szelestem w głąb, jak gdyby gdzieś pod ziemię. A ta rosła od nadmiaru wilgoci, pęczniała, jak w dzieży wymieszane ciasto. Narastała błotem gęstem i oślizgłem, które przez czas zimowego spoczynku nabrało na nowo soków i kleistości. Pulsowała wewnętrznym oddechem, gotując się do wielkiego skoku — do nagłego wybuchu zieloności i życia.

Właśnie któregoś dnia zaczęto wysadzać drogę czereśniami. Prowadziła daleko w pole — wąska, prosta, napięta, jak wyciągnięty sznur. Jednym susem przerzucała się z pola w las i tam

grzęzła, wplątana pomiędzy drzewa i krzaki. Pan Wacław chciał wyrównać jej kontury, odrysować ją i wykończyć i w tym celu przygotowano jeszcze z jesieni dwa długie szeregi dołów. Wymarzły w ciągu zimy, nałykały się chłodu i wilgoci, a teraz kładziono im w gardła pęki pomiętych korzeni i zasypywano obsiąkniętą ziemią. Pan Wacław pilnował tej roboty z nabożnem przejęciem. Czuł, że współdziała z przyrodą, wspiera ją i uszlachetnia, że wolą swą i rozkazem przeinacza naturalny bieg rzeczy ziemskich. — Oto rosnąć będą wyciągniętym dwurzędem wiotkie i okrągłe czereśnie, zielenieć będą, kwitnąć i owocować — w miejscu przeznaczonem może na pastwę głogom i tarninom.

Utarło się już od pewnego czasu, że Hanka była przy tej zawsze robocie, którą sam dziedzic chciał tego dnia pokierować. Gdy więc kazał wyznaczyć Brzózce kilkoro czeladzi do wysadzania czereśni — Hanka tu się także znalazła. Płaską łopatą zagarniała bryły ziemi i ciskała je wdół, na korzenie cienkich, bezlistnych drzewek, które drgały za każdym razem, jakby w spazmach trwożliwej gorączki. Pan Wacław pilnował, by zachowano linję szlachetną i prostą, a ciężkie buty ogrodnika udeptywały świeży grunt przy pieńkach wątłych i wiotkich, jak leszczynowe pręcia. Przywiązywano im do boków białe brzozowe słupki, by przetrwać mogły — proste i nienaruszone — okres słabości i niemowlęctwa.

Dzień od samego rana stanął w słońcu, jakiego jeszcze w tym roku nie oglądano. Powietrze drgało rozgrzaną wilgocią — potem parującej ziemi. Chłodny wiatr zawiewał jeszcze niekiedy i wówczas ludzie oglądali się poza siebie wślad odchodzącej zimy, lecz nie widzieli już nic, coby ich niepokoić mogło. Pola zieleniały — piły słońce, wchłaniały niebo — i, przetwarzając w swych sokach złoto z szafirem, tryskały radosną zielenią. Pan Wacław rozglądał się po nowym pejzażu. Nie oswoił jeszcze swych oczu z przemianą, jaka spadła na pola i łąki. Ziemia pociemniała od wiosny, ale zato pojaśniało niebo, wlewając swój blask w wąwozy, kotliny, pod zacienione zbocza wzgórz. Trzeba było przymrużać powieki, by się nie dać oślepić wiośnie.

I w chwili, gdy je mrużył, dostrzegł zdaleka pana Czołhańskiego. Właśnie ślizgał się po wąskiej ścieżce, schodząc wdół z niewielkiego wzgórza. Chwytał równowagę, przeginając swój wątły korpusik, pomagając sobie laską, rękami, całem swem niezaradnem ciałem. Wiatr wydął mu stylu płaszcz, który trzepotał w powietrzu, trzymając się wąskich ramion, jak przestarzały, spłowiały emblemat byronizmu. Bo w rzeczywistości pan Czołhański nie miał nic wspólnego z romantyzmem poza tym skrzydlatym płaszczem i kultem dla Króla Ducha. W jego kanciastej czaszce gnieździł się mały móżdżek pozytywisty — lekki, lotny, powikłany, jak mózg Anatola France'a. Symbolem

jego swiatopoglądu była postrzępiona broda, rosnąca samopas gdzie popadło, nie kontrolowana przez nożyce, w dziewiczem zapomnieniu. Była też zewnętrzną oznaką jego mądrości, dopóki ta nie wypowiedziała się w słowach. A mogła też uchodzić za malarskie wykończenie sylwetki, której brakowało mięśni, ciała i żywej masywności, za draperję dla zbyt uwydatnionego szkieletu. Pan Czołhański był eteryczny i powiewny, zdany na łaskę najlżejszych podmuchów wiatru. To też największym trudem jego życia było trzymać się ziemi, do której ciążył za słabo, a wieczna troska o zachowanie cielesnej równowagi nadawała jego twarzy wyraz duchowego skupienia. Zresztą twarzy tej było tak niewiele — kilka gnacików, poklejonych misternie pod skórą, wyprawioną już dobrze przez czas — oto wszystko, czem rozporządzał w tej dziedzinie. Podali sobie ręce, a uścisk ten był zbrataniem dwuch kontrastów — świata siły z fizycznym uwiądem.

Pan Czołhański zawsze nosił z sobą kilka nowych myśli, które tylko czekały, aby je ubrać w słowa. Czasem miewał za złe panu Wacławowi, że go nie olśniewały dostatecznie. Lubił zabłyszczeć paradoksem, odwrócić jakąś kwestję i postawić głową na dół, zahaczyć o jakąś mieszczańską prawdę i wywrócić ją nogami do góry. Miał się za pogromcę komunałów. Tym razem mówili o etatyźmie, o kwestji żydowskiej, o turnieju szachowym w Hastings. Zamienili też kilka zdań o pięk-

nej wiosennej pogodzie. Podkreśla to związek człowieka z przyrodą i ułatwia poszukiwanie tematów do rozmowy.

— Te czereśnie — mówił pan Wacław, wskazując na szczepy, rozsadzone już rzadkim dwurzędem — upiększą tę drogę i uszlachetnią. Przestanie być martwym pasem ugorującej ziemi. Znajdzie w nich lepsze uzasadnienie dla swego istnienia. Prowadzić będzie nadal w las przez te same pola, ale już wśród drzew, które ją ocienią i zasypią opadającym kwiatem. Będzie z nią, jak z człowiekiem, który znalazł w swem życiu coś, co zdradzi mu sens tego życia, co będzie czemś w rodzaju ideału.

Pan Czołhański nie lubił tego słowa. Raziło go, dźwięczało mu w mózgu nazbyt banalnym zgrzytem. Skrzywił się więc, sięgając ręką ku brodzie.

— Będzie pan miał niezły dochodzik z tych uszlachetniających zapędów — rzekł, uśmiechając się niedwuznacznie. — Tak się ma zresztą rzecz z większością ideałów. Ludzie uszlachetniają ziemię tylko z myślą o przyszłej rencie, a jej wysokość jest nawet miarą tego uszlachetniania.

— Za trzy lata zaczną te drzewa kwitnąć — ciągnął pan Wacław — za cztery zaczną owocować. Czy wie pan, jakie są tyczące sie tego przepisy w Starym testamencie? Księga Kapłańska nakazuje niszczyć kwiat w ciągu pierwszych trzech lat kwitnienia, gdyż owoce te będą nieczyste. W czwar-

tym roku mają być złożone na ofiarę Panu i dopiero w piątym mogą być swobodnie spożywane.

— Widocznie dbano tam również o higjenę drzew. Radzę panu stosować się do tych przepisów. Ale na czwarty rok może pan już śmiało żydkom sprzedać czereśnie — chyba, że zechce pan zrobić przyjemność proboszczowi. Osobiście nic zgoła nie mam przeciwko temu — rzekł pan Czołhański i rozejrzał się uważnie po polach, badając kolor ozimin, był bowiem agronomem z zamiłowania.

— Ciemna pszenica — rzekł z zadowoleniem — dał jej pan dosyć azotu na zimę. Będzie miała z czego się rozkrzewić — pochwalał fachowym tonem znawcy. — Po bronach ruszy wspaniale. Ten gwałt, jaki się jej zadaje, jest dla niej najlepszą szkołą życia. Rozbudza w niej siły i każe patrzeć w słońce.

— Widzi pan, w słońce — a więc ku górze. I ona musi oderwać się od ziemi, jeśli chce wydać plon z siebie.

— Tak, tak, ale korzeniami trzyma się mocno gleby. Niech pan nie próbuje odrywać ją od niej. Samo słońce nikomu nie wystarcza, a przyznaję, że jedna ziemia — to też za mało. Potrzebny jest tu kompromis, doskonała równowaga. Nie zazdroszczę wcale kretom ich istnienia i rozumiem zupełnie czcicieli słońca. Jest to kult, któryby mi odpowiadał najlepiej — i, mówiąc to, podniósł gło-

wę do góry, spojrzał w niebo i na krótko oddał się kontemplacji szafiru. W tej chwili miał w sobie coś z pogańskiego kapłana.

A potem znowu skierował nadół swój wzrok, na szeroki radosny pejzaż. Niebo spływało na widnokrąg, jak niebieska zasłona, oddzielająca ziemię od reszty niewidzialnego świata. I tak, wędrując spojrzeniem od horyzontu, po polach, wzgórzach i wsiach, rozsiadłych między sadami, po gościńcach, które nie bielały jeszcze o tej porze, lecz ciągnęły się, jak długie smugi węgla — przechodził na bliższe łąki, ledwo zieleniejące spod wody, na jeszcze bliższy cmentarz, zarośnięty bezlistną masą drzew, i na zupełnie bliskich wreszcie ludzi, zajętych wysadzaniem czereśni wzdłuż drogi, lepnącej błotem. Zaczął obserwować ich pracę. Nie spieszyli się, mieli czas — do wieczora jeszcze tak daleko. — Czy po to mają wcześniej kończyć tę robotę, by ich zaprzęgnięto do innej? — To też drzewek przybywało powoli, ale stały zato wyciągniętym sznurem, równo, w jednakowych, ściśle odmierzonych odstępach. Hanka z Kasią miały łopaty w ręce, ostre, rzucające co chwila słonecznemi błyskami w oczy. Ogrodnik troskliwie przytrzymywał szczepy, gdy im ziemią przysypywano korzenie, a młody jego pomocnik krzątał się i uwijał, nie wiele się przyczyniając do sprawy. Pan Wacław był celebrantem. Swą obecnością dodawał nabożeństwa tej robocie. Rzucał od czasu do czasu w stronę ogrodnika swe mądre uwagi i dalej prowadził

rozmowę z panem Czołhańskim, coraz nowe poruszając materje.

Ciekawą zawsze jest rzeczą nadać myślom bieg odwrotny i dojść w skróconej analizie, jaką drogą przyszło się w rozmowie do tematu, który stał się ostatecznie jej centralnym punktem, jej duszą i ośrodkiem. Tematy wiążą się, zazębiają w jeden długi łańcuch, zahaczają o siebie czasem nieznacznie, czasem ledwie dostrzegalnem muśnięciem, ale zawsze wywołując się nawzajem, dzieląc, jak biologiczna komórka. Rozmowa jest żywym organizmem. Wystarczy ją zapłodnić, wnieść do niej iskrę życia, by potem rozwijała się sama, mnożyła, rosła, jak żywy, czujący stwór. Ale tym razem nie dociekali — ani pan Wacław, ani pan Czołhański — jak doszło wreszcie do rozważań na temat pracujących dziewczyn. Hanka z Kasią były zbyt może blisko, były zbyt młode, zbyt cielesne, by nie narzucić się ich rozmowie faktem swej obecności. Były radosnem uzupełnieniem wiosny, które przyśpiesza krążenie krwi w żyłach — musieli więc kiedyś zacząć mówić o nich. Pominęli istotę kobiecości, odwieczną i tytaniczną walkę płci. Poruszyli sprawę zazdrości.

— Zaostrza rozkosz posiadania — rzekł pan Czołhański. — Każda kobieta jest unikatem, nie powtarza się nigdy — dlatego jest bezcenna. Zupełnie jak Wenus Giorgiona. Kolekcjoner, któryby ją posiadał, strzegłby jej tem zazdrośniej, że nikt poza nim na świecie nie posiada takiego

drugiego płótna. Siła uczucia opadłaby znacznie, gdyby wiedział, że istnieją dublikaty. Nie wyklucza to oczywiście, że sprzedaje się i obrazy i kobiety. Tu siła uczucia wyraża się już w cenie — dodał, ironizując ze swym franceowskim uśmiechem.

— Ale zazdrość pochodzi przecież z instynktu, panuje nagminnie wśród zwierząt, podczas gdy zmysł kolekcjonerski jest nabytkiem wysokiej kultury.

— Tembardziej należy się jej wyzbywać, jeśli nas upodabnia tak bardzo do czworonogów — rzekł pan Czołhański, nie oczekując, że wywoła to tak gwałtowny wybuch repliki ze strony pana Wacława.

— Ach, to uczłowiecznianie, ta pacyfikacja instynktów! — zawołał, rozpalając się od natłoku słów i myśli, które poderwały się w nim na dźwięk ostatnich wyrazów pana Czołhańskiego. — Ta ucieczka od zwierzęcości — ileż w niej tchórzostwa i zwyrodnienia! A wszystko to wywołane przerostem zwojów mózgowych i dekadencją ciała. Tępienie instynktów — to zrywanie z naturą, będącą źródłem życia. Ludzie chcą być nadludźmi — i cierpi na tem człowiek, który przez to staje się karłem. Nie mówię o dawaniu upustu niekontrolowanym popędom. Ale wszak instynkty pokrywają się nawzajem, hamują i uzupełniają. W zdrowym organiźmie żaden z nich nie opanuje całości. Resztę powinien robić rozum,

regulując spaczenia i łagodząc tarcia. Lecz nigdy nie może ich tępić. Jeśli kiedykolwiek nastąpi samobójstwo ludzkości, to tylko tą drogą wyjałowienia ludzkiej natury z instynktów, które ją łączą z życiem. I winę tego poniesie rozum, intelekt, samobójcze narzędzie uczłowieczniania.

Zaperzył się, wyrzucając z siebie te zdania, uzbrojone w pauzy i wykrzykniki. Wezbrała w nim fala słów i myśli i przelewała się przez usta ku uszom pana Czołhańskiego. A ten cofnął się o parę kroków, jakby w obawie, by go nie zalała i nie zniosła ku wiosennym wodom.

— Zechce pan może twierdzić, że w dobie maszynizmu i standardyzacji instynkty stają się coraz mniej potrzebne? że zastąpić je może rachunek i kalkulacja? że obliczenia i logiczne rozumowanie będą najlepszą bronią w tym świecie cyfr i formułek? A instynkty zginą śmiercią naturalną, zanikną, jak zmysł wzroku u płazów, żyjących pod ziemią? Nie, panie — jest wręcz przeciwnie! żyjemy w takiej samej afrykańskiej dżungli, jak nasi kuzyni, hotentoci. Polujemy na siebie wzajemnie nie gorzej od siuksów i huronów. Grożą nam takie same niebezpieczeństwa z za każdego węgła ulicy. Widział pan młodych chłopców, przemykających się w gąszczu autobusów i taksówek? Widział pan ludzi, żyjących wśród maszyn, z których każda zgnieść może człowieka nie gorzej od pytona? Myśli pan, że milimetrem odmierzają każdy swój ruch, by

uniknąć śmierci — a nie posługują się instynktem? A w polityce — ileż potrzeba jasnowidztwa, by nie dać się zjeść w kaszy przeciwnikom! A prowadząc przedsiębiorstwo — by nie ulec konkurencji! Czy wystarczą tam kalkulacja, tabliczka mnożenia, a choćby nawet logarytmy ?

Pan Czołhański bronił się gestami, z których każdy był potwierdzeniem wywodów pana Wacława. Brodę oddał pieszczącym podmuchom wiatru i tylko sam zawinął się w płaszcz, jakby oczekując burzy. Lecz szczytowe napięcie słów minęło. Popłynęły równiejszym strumieniem, nie pieniąc się już wśród dialektycznych zapytań i wykrzykników.

— Zazdrość jest naturalnem uzupełnieniem miłości, jest także zdrowym instynktem — ciągnął pan Wacław. — Broni ją od zewnętrznych niebezpieczeństw. Jest tem, czem skorupa dla żółwia. Tylko pod jej osłoną może rozwinąć się bezpiecznie. Odgranicza ją i oddziela od świata, który ją zabija i niweczy. Miłość, nie wystarczająca samej sobie, nie jest już wielkiem uczuciem, wypełniającem wszystko — jest tylko jej surogatem. Dlatego kochankowie szukają samotności. Pan się uśmiecha, bo pan w samotności kochanków widzi zaraz wiadomą dwuznaczność. To wypływa z pańskiego nastawienia do świata, ale nie zmienia istoty rzeczy. Kochankowie pragną samotności nawet wtedy, gdy nie leżą w łóżku. Pan należy do typu ludzi, którzy wszędzie

dogrzebią się pikanterji, bo muszą czemś wypełnić pustkę. Pikanterja — to tak dobra zaprawa na nudę! Pan razem z Freudem dopatrzy się erotycznego podkładu w przywiązaniu ojca do córki. Dla pana przyjaźń dwuch mężczyzn będzie tylko zboczeniem naturalnego popędu.

— Być może — rzekł nagle pan Czołhański, odrzucając swój płaszcz na ramiona, jakby więcej mu nie groziła ulewa. — I nawet piękną wydaje mi się ta miłość greckich pasterzy — piękniejszą niż nasza miłość dwupłciowa. Może dlatego, że doszła nas w klasycznym rytmie georgik.

— Może pan ją — bardziej współczesną — oglądać u Gide'a i Proust'a.

— Wiem o tem. I nie wierzę — ma pan rację — w męską przyjaźń bez choćby małego udziału tego czynnika. Może mnie pan oskarżać o perwersję — wcale się nie obrażę. Perwersja jest uczłowiecznieniem instynktów, jest dostosowaniem ich do naszych wysubtelnionych potrzeb. Trudno by nam było pogodzić się z gastronomją jaskiniowców. Potrzebujemy jakiegoś sosu, jakiejś przyprawy do tych połci mięsa, które nasi antenaci spożywali na surowo. Tak samo miłość na surowo już nam nie wystarcza. Przyjaźń dwuch mężczyzn posiada podświadomy podkład erotyczny. A i to wydaje mi się dość wyraźnem potwierdzeniem mych poglądów — rzekł, robiąc w stronę dziewczyn okrągły ruch ręką, która, mimo abnegacji, nie zatraciła szlachetnego rysunku.

Właśnie wtedy Hanka z Kasią stały obok siebie bezczynnie, bo ogrodnik zajęty był obcinaniem korzeni u szczepów, i, wsparte na łopatach, obejmowały się i tuliły nawzajem, szepcząc coś między sobą po cichu. Wibrowały całe od tajemnego sensu słów, jakie wymieniały w tym uścisku, wraz z oddechem przesyłając sobie z ust do ust rozkosz plotki, którą piły całem ciałem, rękami, rumieńcem na rozpalonych twarzach. Z pod chustek sterczała im przędza włosów, wynurzając się na słoneczny blask i zaplątując weń, jak w gęstą, cieknącą z nieba masę. Wydawały się jak gdyby lepkie, zmazane złocistym miodem.

Pan Wacław poczuł w tej chwili, że stężał mu w świadomości nowy kompleks uczuć, którego luźne strzępy błąkały się dotychczas po mózgu. Wystarczyło do tego kilka słów i płynny gest ręki pana Czołhańskiego. Gest ten jakgdyby pozbierał rozrzucone w nim fragmenty uczuć, myśli i podejrzeń, dopasował je i złożył w całość, która odrazu narzuciła mu się z siłą niezaprzeczonej oczywistości. — Jakżeż dotąd mógł nie widzieć tego ? — Wymykało mu się to dotychczas z rąk, jak jakiś oślizgły przedmiot, i zapadało ciągle w podświadomość, w głęboką i ciemną otchłań, dokąd nie miał dostępu. Teraz wypłynęło na powierzchnię szerokim kręgiem tłuszczu. Hanka i Kasia — widywał je zawsze razem przy pracy, śpiewające w jakiemś lirycznem uniesieniu, które zwalał na karb wiosennych powiewów. Nie

miały między sobą sekretów — ale czuł, że mają ich wiele przed nim — i może ten jeden, największy, o którym teraz myślał z odrazą?

— Safo! — rzekł pan Czołhański. — Safo! — powtórzył z rozczuleniem. — Cała jej poezja zrodziła się z tego — tu wykonał ręką ku dziewczynom jeszcze ten sam gest okrągły i płynny, przy czem płaszcz jego zatelepał na wietrze. — Perwersja jest zawsze na pograniczu piękna. A może piękno samo jest perwersyjnem patrzeniem na świat, który nas otacza? I trzeba być perwersyjnym, by dostrzec je w tym peizażu?

Rozejrzał się znowu dokoła i wszystko wydało mu się nowe, jakgdyby nie stał tu nigdy na tem miejscu i nie patrzył na wschód, północ, zachód i południe. Takie jedno spojrzenie odmładza nawet starców o siwiejących włosach. Mogą zrozumieć w takiej chwili, że człowiek przychodzi na świat nie jeden raz w ciągu życia, że rodzi się ciągle na nowo, co kilka lat, co rok, niekiedy co minuta, że umiera wprawdzie tyleż razy, ale tylko poto, by rozglądać się potem dokoła oczami niemowlęcia. I że cud jest możliwy tylko w oczach, które jeszcze nic nie oglądały — albo patrzeć zaczęły na nowo, od początku.

I wtedy właśnie słońce dosięgać zaczęło zenitu. Od rana samego pięło się z trudem pod górę, coraz wyżej, grzęznąc w gęstym szafirze nieba — aż stanęło wreszcie u szczytu, jakby z wahaniem, na którą stronę świata stoczyć się po

pochyłości. Zdaleka od folwarku rozległ się dźwięk tarabanu przytłumiony ciszą, zwiastując ludziom południe. Wyprostowali się z ulgą i ruszyli tą samą drogą, jaką dźwięk do nich przyszedł — a na niebie ruszyło słońce, tocząc się ku zachodowi, jak codzień.

IX.

Ziemia już dojrzała do siewu. Oddała niebu i wiatrom cały zbytek wiosennej wilgoci i czekała tylko na chwilę, gdy wrzynać się w nią zaczną pługi i ostre, zębate grubery. Czekała na szorstką pieszczotę bron i na głęboki siew ziarna, które gotowa już przyjąć i zagrzać kradzionem ciepłem. Jej pragnienia zrozumieli ludzie i wyszli w otwarte pola. A te rozłożyły się po równinach i na pochyłościach wzgórz, jak szerokie, pasiaste płaty sukna. Mieniły się jak szachownica — to zielone od bujnych ozimin, to czarne i przechodzące w bronz, rdzawiejąc rudemi glinkami, przeświecając szarą pleśnią piasku. Nie skruszała jeszcze ta ziemia i lepła dawnym nałogiem jesiennych, deszczowych dni. Kopyta końskie znaczyły ją pieczęciami podków, jeżących resztę swych zimowych zębów — startych na grudzie haceli. A nogi ludzkie lgnęły do niej z wysiłkiem i ciążyły ku jej rozgrzanym wnętrzom, jakby do reszty chcąc związać z nią człowieka, który stamtąd ciągnie życie i czerpie śmierć. Pługi chodziły

tam i spowrotem w słońcu, błyskając stalą lemieszy i tnąc mięsisty miąższ pól, a klucze bron zataczały szerokie kręgi po równinach, kołując jak ptaki drapieżne, pięły się na wzgórza i spełzały z nich, ginąc wśród falistości terenu. Zaroiła się ziemia od ludzi, a słońce ją gniotło ciężarem swojego blasku.

Pan Wacław szedł ku polom, gdzie rozpoczęto już siewy. Wibrowała w nim cicha radość niemym i przytłumionym śpiewem, a że płynęła z niczego — z powietrza, nieba i ziemi — może dlatego była taka silna i taka niepokojąca. Spodziewał się zastać Hankę przy siewniku. Nie miał nawet wątpliwości, że ją tam zastanie. — Bo gdzieby indziej być mogła? — Szedł napewniaka drogą, która tam zaprowadzi każdego, kto jej tylko zaufać zechce. Ufał dziś całemu światu — nawet Hance, choć niedawno zadała mu dziwne pytanie: — Coby na to powiedział pan dziedzic, gdyby... — tu zawahała się chwilę — gdyby... iść miała zamąż? — Było to jak zwykle o zmroku, któregoś z wiosennych wieczorów, nie mogła więc dostrzec zdziwienia na twarzy pana Wacława. — Tej ewentualności nie rozpatrywał jeszcze w swych rachubach. Wiedział dobrze co ma zrobić, jeśli wykryje, że go Hanka zdradza. Przewidział nawet kilka możliwości — pan Sielski, Brzózka, inny jakiś. Na każdy taki wypadek obmyślił sobie plan działania, ukartował zemstę i sposób wyjścia z honorem. Ale mąż? — co ro-

bić z mężem? — Nie, nie — niech o tem teraz nie myśli, ma dużo czasu przed sobą — jest taka młoda. Niejeden jeszcze będzie się do niej umizgał. Wybierze sobie jakiego — ale potem. Teraz dobrze im jest z sobą, więc niema o czem mówić. — Hanka poprzestała na tem i nie pytała więcej. Ale sprawy takie są zagadnieniem, które rozwiązać trzeba, bo narzucają się zbyt natarczywie, duszą jak nierozcięty wrzód. To też radość pana Wacława płynęła nie z pobudek wewnętrznych. Wdychał ją razem z słońcem i ciepłemi powiewami wiatru.

Już zdala widział siewnik, zaprzęgnięty w pięć rosłych koni, który właśnie wynurzał się z za wzgórza. Za chwilę zniknął w jakimś dole, jakby go przysłoniła nadbiegająca fala. Potem ukazał się znowu, już bliżej, zmierzając prosto do drogi, zrzadka zaznaczonej rozrzuconemi workami nasienia. Wreszcie dobił do portu — do worków, czekających swej kolei. Opisał jednem kołem szerokie pół obrotu, zagarnął nowe trzy metry ziemi do zasiania przez pole naprzestrzał i znieruchomiał wreszcie, jak szara i długa trumna. Sypano w tej chwili nowe zboże pod płaskie uchylone wieko.

Podszedł bliżej i rozróżniał już krzątające się przy siewniku dziewczyny. Bosemi nogami deptały pulchną ziemię, jak miękki perski kobierzec. Wiosenne chustki na ich głowach rzucały słońcu krzykliwe wyzwanie głośną, jaskrawą ga-

mą braw. Z ciemnych serdaków wysuwały się ramiona, jak kolorowe węże, opasując w pół ciężkie worki zboża, których złocistą zawartość wsypywały w podłużną czeluść siewnika. Pan Wacław zatrzymał się tuż przy nich. Śledził ich powolne ruchy, spoglądał na konie, pokryte lepką pianą potu, ogonami opędzające się z przyzwyczajenia od niewidzialnych much. Ziarno ciekło z szelestem wąską strugą, wypełniając niedomkniętą gardziel, a szary płócienny worek, przed chwilą jeszcze pękaty i pełny, marszczył się teraz w rękach dziewcząt, jak obolała twarz ludzka. Uciekało zeń życie — sypkie migotliwe zboże, zostawiając pustkę, próżnię, beznadziejność. Wkrótce opadł na ziemię, płaski i zmięty, odrzucony z pogardą — niepotrzebny, odepchnięty przedmiot.

Pan Wacław został przy wypróżnionych workach, gdy już ruszyli przed siebie. Fornal, doświadczony sternik tej żeglującej łodzi, ujął za boczny ster i wyrównał przodek siewnika. Na nim ciąży odpowiedzialność za równy, dokładny siew, stąpa więc w bacznem skupieniu, pilnie śledząc, czy ślady kół należycie pokrywają się z sobą. Nasłucha się potem od rządcy za każdy prześlepiony mijak. Konie ruszają drobnym truchtem, ostro ściągnięte w lejcach, tuląc uszy na każde kląśnięcie bata — a za nimi rusza cały siewnik z metalowym, suchym pochrzęstem. Tuż, tuż z tyłu biegnie Hanka z Kasią, obie wpatrzone w migotliwe lejki — czy się nie zapychają, czy idą

równo, czy wysiewają ziarno. W ręku mają ostre kije, zakończone stalowem okuciem, i przebiegają niemi po klawiaturze siewnika, usuwając z pomiędzy redlic perz, ziemię i kamienie. Przerzucają się śmiechem, jak piłką, która na krótką chwilę zawisa w rozdrganem powietrzu, i biegną, drobiąc kroki, zadyszane, szybkie.

U drogi zaczyna się wędrówka siewnika, a kończy przy niewidzialnej mecie. Pomiędzy początkiem i końcem leży szeroka struga pola, wymuskana przedsiewnemi bronami. Trzeba ją przebyć wpoprzek równym jak strzała biegiem, nawet na cal nie zboczywszy od wymierzonego kierunku. Śledził pan Wacław tę polną odyseję, lecz nadbiegająca fala wzgórza prędko przedzieliła ich swoim garbem. Zapadł się gdzieś w niewidzialną otchłań polnych odmętów, żeglując dalej niewidoczny, pod dyktando słonecznej busoli. Ale oto wynurza się znowu na najbliższej szkarpie i pnie się w górę powoli zgranym, miarowym wysiłkiem sprężonych końskich ciał. Idzie równo, lewem kołem po zaznaczonej kolei, zostawiając za sobą wąziutkie nitki delikatnych brózd. W brózdach tych leży już ziarno, przykryte ciepłym puchem ziemi, może już pęczniejące pomału chciwemi słońca kiełkami. I znowu zapada w otchłań jeszcze dalszą, tak jak i tamte niewidoczną. Znów go przysłonił bury grzbiet wzgórza — rozchybotana masa falującego pola. Potem odbywa się droga powrotna nowym śladem, nową prostą i wyciąg-

niętą grzędą. Przylegają do siebie te grzędy szczelnie, jak dobrze wymoszczona podłoga. Biegną równo ku drodze, jak niciane pasma osnowy na tkackim warsztacie pod jeszcze jakiś nieznany, przez nikogo niestworzony deseń. A siewnik ześlizguje się po tych samych zboczach, pod które piął się w tamtą stronę, i tylko cień rzuca teraz za siebie, idąc naprzeciw słońcu. Poprzedzają go teraz łby końskie, gnąc się rytmicznie ku ziemi, i końskie szerokie ciała, związane w mocnym zaprzęgu. Za nimi dopiero w ślad toczy się wielki karawan, jak wypróżniona trumna olbrzyma bohatera.

Dobili wreszcie do drogi i znów zawrócili w pole — już po raz nie wiedzieć który dnia tego. Sypią na nowo ziarno, aby mieć co rozsiewać za sobą — nie wiadomo już który dziś worek. A i niewiadomo kiedy zacznie się ich praca zielenić. Zależeć to będzie od hojności słońca, od wysiłku ziemi, od regularności siewu. Niebo, ziemia i człowiek złożyć się muszą na ten wspólny cud kiełkowania, któremu potem będą się dziwić też wspólnie — człowiek, ziemia i niebo. Tymczasem pole leży, jak gdyby rozczesane staranną pieszczotą grzebienia i przeciąga się leniwie w słońcu. Jeszcze nic się w redlinach nie dzieje i dopiero za kilka godzin zaczną się posiewne fermenty. Dopiero w nocy przebiegną pierwsze podskórne dreszcze wzdłóż brózd, zwiastując, że oto ziarna pęcznieją już od wilgoci. Potem w dzień przygrzeje słońce i

powoli rozpalać się zacznie gorączka kiełkowania. A za dni kilka pole pokryje drobna wysypka zielonych, wątłych roślinek.

Dowiedział się wreszcie pan Wacław, o jakim to konkurencie Hanka mu wspominała. Był to czeladnik kowalski z sąsiedniego folwarku, o kusych nogach i krótkim kwadratowym korpusie. — Czy tak bardzo jej przypadł do serca — pyta pan Wacław — że aż chce iść za niego? — Ale skąd znowu — mówi Hanka — wcale się jej nie podoba i zupełnie go żałować nie będzie. Niech sobie idzie do drugiej. Wspomniała o tem dziedzicowi, żeby tylko mieć czyste sumienie. — I zaczęła opowiadać, jak to zęby wyszczerza na świat cały i jak oczy na wierzch wybałusza, gdy jej prawi różne słodkości. Przychodzi już trzecią niedzielę i nieść chce na zapowiedzi — ale zbywa go tylko śmiechem, taki jest krótki i niewyrośnięty.

Było to już później, gdy zaczęto obróbkę buraków. Kiełkowały tego roku wcześnie, ale chwasty też wzeszły niezgorzej i przegoniły ich swoim zwyczajem. Trzeba było nagwałt brać się do przerywki i pielenia. Już o świcie rozsyłano po wsiach furmanki, by wiejska czeladź mogła wcześniej stanąć do roboty, a swoja, dworska, od samego rana grzebała się w ziemi, nim jeszcze słońce zmyło ranną rosę. Pełzały tak na kolanach, zacząwszy od samej drogi, posuwając się powoli w głąb pola, każda jedna na dwie odliczone

grządki. Chwasty mocno trzymają się ziemi, rozpuszczając szeroko korzenie, więc pomagać sobie trzeba motykami. Ziemia się spulchnia od tego wśród buraczanych grządek i biedne zduszone roślinki mogą uszczknąć coś z powietrza i słońca. Zaraz potem nabierają koloru, ciemnieją i rozpuszczają liście, panosząc się już same po polu długiemi rzędami naprzestrzał. Robota to nie jest łatwa cały dzień giąć tak krzyże do ziemi. Niejednej ciemno robi się w oczach w pierwszych dniach tego wysiłku. Ale potem idzie już lepiej, idzie już dobrze, jakby nie było rzeczą ludzką spędzać życie, trzymając się na dwuch nogach. I widać pod sam koniec pielenia, że człowiek bardzo łatwo może się stać czworonogiem, jeśli mus go tylko przyciśnie. Patrzy wówczas na ludzi stojących, jakby na istoty innego, obcego gatunku.

Taki rząd zgiętych do ziemi ciał ciągnie się długim sznurem. Trzeba go obchodzić tam i spowrotem, bo nie każdej robota idzie sprawnie. Nie każdej chce się głęboko drzeć ziemię pazurami i zostają na grządkach chwasty — polny pomiot, zuchwały i nieustępliwy. Niechno tylko zostanie trochę wilgotnej ziemi na korzeniach mlecza, perzu lub lebiody — a zaraz ożyją z wieczora od rosy, rozpuszczą swe macki po roli i na nowo zaczną się krzewić. Inaczej jest z wątłym burakiem — tego wspomagać trzeba. Nie ma sił ani wytrwałości do walki o ziemię i słońce — i byle chwast udusi go w swych korzeniach. Zabierze

mu całe światło i wszystkie soki z ziemi, skazując na śmierć głodową z wycieńczenia. Blednąć będzie i żółknąć, schnąć i więdnąć, i nigdy z pod liści rzerzuchy nie ujrzy dnia bożego. Zginie, sczeznie, jak człowiek słaby wśród mocnych ludzi.

Pan Wacław tam i spowrotem obchodził rząd zgiętych kuprów, opiętych fałdami pomarszczonych spódnic. Były tam wszystkie jarmarczne kolory i odcienie — od ciemnych i burych, jak rola, do jaskrawych, jak kwiaty polne. Ale nie było już w nich świeżości, którą przejadło słońce, wiatr i słota. Czas obniżył o jeden ton całą tę paletę barw, pokrywając ją patyną zużycia. Zato łydki, sunące grzędami, pęczniały krwią i zdrowiem pod ogorzałą skórą. Sto par nóg kurczyło się naprzemian, trąc kolanami o rolę, jak wielka gąsienica, pełznąca polem i łamiąca mięsiste pierścienie. Za nimi pole już czyste, jak wymieciona podłoga, bo i wyrwane chwasty wynosi się daleko na drogę. Zostają tylko cieniutkie sznurki buraków, rozsianych zrzadka, w przepisowych odstępach. Zżółkłe są, małe i niewyrośnięte, jak noworodki, świeżo powołane do życia. Oślepia ich jeszcze słońce, a wiatr przygina do ziemi — za parę dni dopiero wzmocnią się i podniosą.

Dzień letni wlecze się wolno, jak to pielenie na słonecznym skwarze. Wyglądają wszyscy wieczoru, który się nie śpieszy, i rzeźwiącego chłodu, któremu wcale nie pilno. Ale trzeba wytrwać

jeszcze tych parę godzin. Podpiele się pod tamtą górkę, wykończy ten dołek, gdzie chwast najbujniejszy — a reszta czekać będzie do jutra swej kolei. Potem, na dany znak, rozpryśnie się pełznący łańcuch we wszystkich swoich ogniwach, a pole zaroi się nagle setką biegnących postaci. — Byle prędzej dostać się do drogi! — Tu stają wszystkie w porządku — wieś każda oddzielnym szeregiem — i w skupionem milczeniu odbierają dzienną zapłatę. Rozchodzą się wreszcie grupami i giną w wieczornym zmierzchu. Pan Wacław zostawał jeszcze chwilę, by samemu wracać już drogą i słuchać przeciągłych śpiewów, coraz dalszych i nieuchwytniejszych.

X.

Od pewnego czasu pozostawał pan Wacław w kolejnem władaniu trzech kompleksów. Były to — kompleks Brzózki i kompleks Sielskiego, a ostatnio — od dnia rozmowy z panem Czołhańskim — jeszcze trzeci, czysto dziewczęcy, jednopłciowy i szczebiotliwy. Przychodziły po sobie na zmianę, jak pielęgniarki do łoża chorego. Nigdy nie mógł pozostać sam, bez ich obecności. Zawsze któryś stał za jego krzesłem, siadał przy łóżku, szedł za nim w pole, mącąc mu nieustannie myśli, pląc rozważania, zamazując druk czytanej książki. Pan Wacław próbował się bronić, ale były to zwycięstwa dziwne i niepokojące. Nie mógłby zresztą dojść do żadnego z nich bez pomocy jednego ze swych prześladowców. Tak więc, jeśli kompleks Brzózki dochodził już do zbyt silnego napięcia, jeśli zmęczył go do ostateczności, pan Wacław chytrym wybiegiem wyobraźni przywoływał na pomoc kompleks Sielskiego, który znajdował się zawsze gdzieś w pobliżu, gotów na każde skinienie. Przywoływał na miejsce pokoiku

Brzózki bielony domek Sielskiego, gdzie, wśród nigdy nieoglądanych scen, Hanka grała zawsze podobną niedwuznaczną rolę, co i w tamtej samotnej kawalerskiej klatce. I razem z tym chwilowym sprzymierzeńcem pozbywał się tamtego wroga. Lecz przynosiło to tylko czasową ulgę. Nowy kompleks, zająwszy opróżnione miejsce, zachowywał się z początku potulnie, nie niepokoił zbytnio, od czasu do czasu tylko wsuwając coś ze swych dręczących wyobrażeń w mózg pana Wacława, jak wątłą gałąź między szprychy koła. Potem jednak było coraz gorzej. Świeży przybysz rozrastał się i pęczniał, jakgdyby chcąc wypełnić sobą pozostałą pustkę i jak gdyby próżnia w obrębie ludzkiej psychiki miała być równie niezniszczalną rzeczą, jak i w świecie fizycznym. Niewiele zyskiwał na tej zamianie — co najwyżej kilka godzin względnego spokoju, po których wracały te same tortury, równie uciążliwe i dręczące. Miał jeszcze do wygrania przeciw swej wyobraźni trzeci, dziewczęcy kompleks — i na tem koło się już zamykało, kończyły wszelkie możliwości. Obracał się nieustannie w ich kręgu, jak koń w kieracie, czując beznadziejny, nużący zawrot głowy.

Postanowił szukać ratunku i wyjścia z tego labiryntu udręczeń. Rozglądał się za Arjadną, którąby mu podała jakąś zbawczą nić. I wreszcie zaczęło coś jakgdyby świtać na dalekim, ciemnym horyzoncie.

Zaświtało po raz pierwszy pewnego dnia na skutek rozmowy z panem Czołhańskim. Zazdrość była problematem, który od pewnego czasu całkowicie absorbował pana Wacława, — mówili więc i tym razem o niej.

— Przychodzi do nas z zewnątrz — rzekł pan Czołhański — narzucona przez okoliczności, na które mamy tylko wpływ względny i ograniczony. Dlatego tak bardzo ludzie są wobec niej bezsilni. Jest chorobliwym stanem duszy, trzeba więc zabrać się do jej leczenia. Albo raczej jest psychicznym narkotykiem, z pod którego władzy trudno się nam wydobyć.

Miał, mówiąc to, twarz mędrca, poruszającego rzeczy bardzo mu dalekie, obce i mało zajmujące, który jednak nie chce milczeć i przezwycięża nudę ze względu na człowieka, szukającego pomocy. Zstąpił na tę chwilę ze swego Olimpu, by rozstrzygać ludzkie i ziemskie sprawy. Pan Wacław może nie zgadzał się na taką definicję swojego cierpienia, lecz milczał, słuchając tych wywodów.

— Jak pan wie, narkomanów nie należy odrazu pozbawiać ich narkotyku. Grozi to poważnemi komplikacjami. Metoda leczenia polega na zastąpieniu bardziej szkodliwych mniej niebezpiecznemi. Potem obniża się dawki tego surogatu i w ten sposób powstają szanse wyleczenia — o ile nie zajdą nieprzewidziane okoliczności i pacjent wytrzyma kurację.

Tu nastąpiła krótka pauza, pełna myślowego skupienia, poczem mędrzec uderzył w sedno rzeczy.

— Podobnie należy postępować z zazdrością — rzekł — która jest narkotykiem duszy. Trzeba stworzyć pewne okoliczności, bardziej od naszej woli zależne, któremi moglibyśmy w pewnym stopniu kierować. Dać one muszą pewien kompleks uczuciowy, już nie narzucony nam z zewnątrz, lecz kontrolowany i stopniowany przez nas samych. Jednem słowem bolesny kompleks zazdrości zastąpić musimy innym, który przyprawi nas o mniejsze cierpienia. Wyjaśnię to panu na przykładzie — ciągnął dalej, coraz bardziej zniżając się do spraw ziemskich. — Czy nie zastanawiał się pan nigdy nad paradoksalną sytuacją człowieka, który, pożerany przez zazdrość, czuje ulgę, jeśli podsunie kochanej kobiecie kochanka własnego wyboru, czyli niejako zareżyseruje jej zdradę? Ta reżyserja daje mu złudzenie, że panuje nad sytuacją, że nie została mu ona narzucona, że jest jego własnym wybrykiem. Może nawet wmówić w siebie, że to on sam ją w ten sposób zdradza, popychając w cudze ramiona. Zostaje odrazu usunięty czynnik upokorzenia, który tak wielką gra tu rolę. Przytem wyobraźni odbieramy pole do popisu. Niepewność zawsze potęguje zazdrość. Łatwiej nam znieść widok ukochanej kobiety w objęciach innego, niż torturę podejrzeń i nigdy niesprawdzonych przypuszczeń.

Wyobraźnia podnieca nas i rozpala. Postępując według tej recepty, boleć będziemy nad utratą kochanej kobiety, ale już nie nad tem, że posiadł ją ktoś inny. I może to być wstępem do wyleczenia.

Takie były wywody mędrca, taką — diagnoza, takiemi — wskazania dla chorego. Reszta zależy od pacjenta — lekarz - mędrzec powiedział już swoje. Rzucił ziarno — nie w jego mocy leży, by kiełkowało i wzeszło. Sam pan Wacław musi już o tem pomyśleć, jak przetransponować to na kanwę rzeczywistości, która wszak tak bardzo płynna jest i powikłana.

A rzeczywistość cichego folwarku wzbogaciła się pewnego dnia o element barwny, bujny i rozśpiewany. Nowe życie wtargnęło w ustaloną ciszę rzeczy i ludzi, jak strumień świeżej wody w zastygłe koryto. Zjechała pierwsza partja bandochów na roboty polne. Pięć wozów, wypełnionych po brzegi, zajechało pewnego rana na podwórze, jakby wielki cygański obóz. Wysiadły z nich dziewczęta w kolorowych, opiętych spódnicach i chłopcy w strojach, nic nie mających wspólnego ze wsią, z polami, z dojrzewającem zbożem. Wyglądali, jak miejscy przybysze, w swych zużytych marynarkach, podszytych tandetą, w długich spodniach, półbucikach, cyklistówkach. I dopiero ciemna, zdrowa ogorzałość ich twarzy mówiła, że nabyli ją od wiatrów i słońca, a nie z czadu zadymionych fabryk. Wysiedli wszyscy, przemok-

nięci nocną ulewą, rozkładając się na stosach drewnianych kuferków i skrzynek.

Ruch się zrobił na całym folwarku, a pan Brzózka miał tego dnia piekło. Trzeba była uprzątnąć izby, wydać fasunek, naczynia, drzewo do kuchni, kosy, motyki i grabie. Trzeba było o wszystkiem pamiętać, a przedewszystkiem grzmieć głośno i groźnie, aby nowy ten niesforny element już od pierwszego dnia nabrał należnego respektu. Potem można cugli popuścić, gdy się już do roboty zaprawią. Wprawił w ruch wszystkie sprężyny — biegano od spichrza do czworaków, od czworaków za stodoły po słomę, od kuźni do stelmarni, od stajen do obory. Nikomu nic nie przepuścił, widział wszystko, wglądnął wszędzie, nie umknęło nic jego uwadze. I wreszcie wieczorem ład jaki taki nastał na folwarku. Nowy elemant wszedł na swoje miejsce, w wyznaczone ramy i popłynął z dawną rzeczywistością, już jako jej ustalony składnik. Usłyszano tylko po raz pierwszy tego wieczoru przeciągłe rzewliwe śpiewy o obcej, nieswojej nucie.

Wkrótce zaczęto sianokosy, bo trawy rozkwitały już po łąkach ukradkiem, jakby nie było godną rzeczą pysznić się kolorami przed słońcem, jak to czynią miodunki, osty i kaczeńce. Kwitły tylko dla siebie, a wgórę rosły dla ludzi, którzy umieli ocenić tę dyskrecję. To też, patrząc na łąki, cieszyli się bujną trawą, kwiaty pozostawiając próżnym radościom dzieci. Wyszły trajkotliwe ko-

siarki, pustosząc soczystą zieleń. Łąka za niemi kładła się cała pokotem, a spłoszone czajki krzykiem broniły swych gniazd. Potem wyszły dziewczyny, czesząc grabiami łąkę i odwracając trawę, która była już od wierzchu sianem. Od spodu, jeszcze wilgotna, dyszała przedśmiertną zielenią. Gdy wreszcie ostatnie tchnienie oddała wiatrom i słońcu, składano ją w czubate kopice. Zaludniła się wówczas łąka, jakby tłumem rozmodlonych pielgrzymów. Trwało tak kilka dni, dopóki nie wjechały ciężko okute wozy. Głęboko wrzynały się kołami w miękkie pluszowe podszycie. Zaczęto ustawiać stogi, od dołu pękate i ciężkie, a wyżej coraz lżejsze i smuklejsze, niby gotyckie dzwonnice. Czasem nadbiegał deszcz, przerywając całą robotę, i ludzie kryli się w sianie, pod wozami, wśród niedalekich wiklin. Ale słońce spijało prędko wilgoć, zesłaną ziemi z chmur — było już bowiem lato, połowa gorącego czerwca.

W te upalne dni pracował pan Wacław nad sobą, nad swoim własnym ratunkiem. Obmyślał drogę wyjścia, bowiem nitkę mu już podano, i tylko uważał pilnie, by jej niebacznie nie zerwać. Na jego nową koncepcję składały się dwa elementy — to, co usłyszał od pana Czołhańskiego, i to drugie, co powiedziała mu Hanka. Po pewnym czasie dały się one sprowadzić już na jedną płaszczyznę i można było dopasować je do siebie jako tako. A potem pojednały się, zrosły i trzymały razem tak mocno, że już w swych rozważa-

niach nie mógł ich oddzielnie traktować. Hanka mu mówiła o jakimś konkurencie, który się do niej zaleca, dopuszczała możliwość wyjścia zamąż. Wprawdzie możliwość daleką i uzależnioną od jego własnej woli, ale najdalsze nawet mgiełki mogą zawierać już w sobie zarodek konkretnych, zmaterjalizowanych kształtów. — A co powiedział pan Czołhański? Mówił o zastąpieniu bolesnego kompleksu jakimś nowym, powołanym do życia przez nas samych. O stworzeniu pewnych okoliczności, na których bieg mielibyśmy wpływ bezpośredni. Czyżby małżeństwo Hanki nie mogło w tym wypadku odegrać takiej roli? Odrazu stanowczo odrzucił tamtego konkurenta — nie był to jego konkurent. Nawinął się sam gdzieś ze świata, bez jego woli i wiedzy, był mu narzucony z zewnątrz i mógł stać się tylko źródłem nowego bolesnego kompleksu. Musi sam znaleźć dla niej męża, nakłonić do małżeństwa i stworzyć w ten sposób sytuację nową, któraby z miejsca przekreśliła wszystkie jego dotychczasowe cierpienia. A czy innych mu nie przyniesie? Zapewne — ale byłyby nowe, świeże, już nie te, które mu się przejadły do głębi. Świeżość bólu pociąga nas, jak każda nowość, budzi zainteresowanie. Lecz te bóle dawne, przeżyte, przecierpiane,. a wciąż powracające, dręczą już nas podwójnie — cierpieniem i nudą, jaką z sobą niosą. Cierpieć — był na to gotów, byle nie tak, jak przedtem. A i sama aktywną pozycja, jaką przybrał od niedawna w sto-

sunku do swych trosk dotychczasowych, przynosiła mu ulgę, odwracać zaczęła jego uwagę ku przedmiotem i sprawom innym — związanym wprawdzie jeszcze ciągle z głównym przedmiotem udręczeń, ale już nie w sposób bezpośredni, za pomocą już dalszych skojarzeń i związków. Rozszerzył swą psychiczną rzeczywistość poza cierpienie, które musiało skutkiem tego zmaleć proporcjonalnie, skurczyć się, dopuścić inne czynniki do równoległego istnienia.

Mógł się teraz rozejrzeć dokoła i widzieć już nietylko Hankę i jej cień, przysłaniający mu wszystko. Mógł widzieć już innych ludzi i przyglądać się im z zainteresowaniem. A właśnie przybyły świeże twarze w obrębie jego ciasnego horyzontu. Pokryte maską nowości, jakby woskowym pokładem, wabiły go swą tajemniczością. Trzeba było sklasyfikować każdą, wejrzeć w tę grę muskułów i zmarszczek, która oznaczać chce jedno, a oznacza może coś wręcz przeciwnego, co kryje się dużo głębiej i uzewnętrznia niechętnie w przypadkowym mięśniowym skurczu. Piękno niektórych z tych twarzy zdradzało jakieś odmienne zgoła przeznaczenie, niż to, które zamnkęło je w tym folwarku na przeciąg trzech miesięcy sezonowych robót. Inne nosiły piętno jakby zbrodniczej brzydoty, tak samo nie znajdującej dla siebie ujścia wśród dojrzewających pól. Były jakby maskami siedmiu grzechów głównych z jakichś gotyckich płaskorzeźb i, patrząc na ludzi, mówiły im o o-

gromie zła, same pozostając w swem kamiennem istnieniu poza dobrem i poza złem. Natchniona głupota jednych graniczyła z wieczną ekstazą, z bezprzerywną i bezmyślną kontemplacją świata, który odpowiadał im ciągłem milczeniem. A niektóre znowu przenikały w ten świat wąskiemi szparkami swych oczu, drążyły go, podkradały się chytrze w jego zakamarki, wyłuskując sobie okruchy utajonych tajemnic. Wszystkie te twarze, z całą różnorodnością oczu, spojrzeń i uśmiechów, układały się w szeroką mozajkę niespodzianek, algebraicznych wzorów, czekających na rozwiązanie, w gąszcz rebusów i zagadkowych szarad. Pan Wacław bawił się niemi naprzemian, coraz to inną biorąc za objekt do swych dociekań. Rozwiązywał je, tasował i przerzucał, uzupełniał niedomówienia, wstawiał brakujące człony, aby tylko uzyskać dla każdej rozwiązanie, zgodne z tem, co mu podsuwała fantazja. Dla niektórych układał całe romanse, dla innych — całe poematy, dla jeszcze innych — krótkie, makabryczne nowele w stylu kolejowych magazynów. I wkrótce przestał uważać za ludzi tych sezonowych przybyszów. Wydawali mu się tworami wyobraźni, błądzącemi dokoła niego, żyjącemi tylko tem życiem, jakiem on sam ich przepoił, zdanemi na łaskę i niełaskę tych sytuacyj, jakie zechce jeszcze dla nich stworzyć. A i na Hankę zaczynał już patrzeć inaczej, jakby i ją dało się zamknąć w tym świecie widm, jakby i ona była tylko problematem, który rozwiązać trzeba.

XI.

Kończyły się upały zazdrości, zaczynały upały lata. Skwar przenikał powoli w podglebie, ciągnąc zeń wszystkie soki i zamieniając ziemię na kruchy piaszczysty kamień. Pękała pod jego ciężarem, marszczyła się od tej posuchy. Ale zboża dojrzewały spokojnie — pełne w kłosach, sztywne w zwartej słomie, falując tylko rytmicznie, kiedy nadbiegał wiatr, i złocąc się coraz bogaciej od płynącego słońca. Daleko już odeszły świąteczne dni kwitnienia. Były chłodne, ale bezdeszczne, nic więc nie przeszkodziło zapylić się wszystkim kłosom. Pył kwiatowy szedł wtedy z każdym podmuchem, jak mgiełka, jak cichy rój pszczół, i osiadał gdzieś na powierzchni rozmigotanego pola. Teraz więc słoma gięła się od ciężaru ziarna, które miękkie było jeszcze i mleczne, ale twardniało już z dniem każdym, jakby spiesząc się samo do żniw.

Czekano pilnie tej chwili, by tylko jej nie prześlepić. Ładowano wozy i żniwiarki, ostrzono sierpy i kosy, z któremi pójdzie się na te części

pola, gdzie zboże wyległo od gwałtowniejszych burz. Zaczęto żniwa od żyta i od wczesnych owsów rychlików — taki jest bowiem porządek gospodarskich spraw. Potem razem zwalą się pszenice białe, jare i czerwone ostki, a dogonią je jeszcze jęczmiona i późne, pełniejsze owsy. Ten wyścig dojrzewania trzyma wszystkich w czujnem napięciu: — Tam pod lasem dochodzi już biała, tu jara może się wysypać. — Trzeba żniwa rozłożyć sobie roztropnie, jak plan kampanji, a i przygotować się w każdej chwili na zmianę dyspozycji. Ludzie trwają przez cały czas żniw jak gdyby w ostrem pogotowiu — nawet w nocy sterty przyjdzie może stawiać.

Wychodzą najpierw kosiarze do obkaszania pól, by żniwiarki miały przejść którędy. Za każdym idzie dziewczyna i wiążą powalone zboże — pierwsze to tegoroczne snopy. Suną tak korytarzem między ścianami dwuch zbóż, to zginając się, to wychylając nad ich poziom. Potem wjeżdżają czterokonne żniwiarki i ruch się robi na polu. Jargotliwe noże tną przy samej ziemi kruchą, łamliwą słomę, zostawiając za sobą krótkie i nagie ściernisko. Źdźbła walą się bezwładnie na stół i ześlizgują zaraz na ziemię po jego równej powierzchni, ścieląc się za żniwiarką zwartemi, ciężkiemi graściami. Wiązaczki rozstawiono po polu co dziesięć, co dwanaście garści. Krzątają się, wiążą powrósła, związują niemi snopy i ustawiają po sześć, po osiem, kłosami w jeden cięż-

ki bukiet. Zwijają się, — bo nadjedzie zaraz druga i nazrzuca znowu świeżych garści, że nie będzie czasu przysiąść spokojnie pod snopkiem. — Widać ją, jak jedzie drugą stroną pola za zwartą żytnią ścianą. Trajkocze dalekim szczękiem zębów i oliwionych trybów. Koniom łby tylko sterczą ponad powierzchnią kłosów, a grabie, jak ręce o dziesięciu palcach, w nerwowych rytmicznych skurczach wyrzucają swe dłonie w niebo i potem gną je ku ziemi, muskając słomę, garnąc ku sobie źdźbła zboża. Zupełnie jakgdyby modły odprawiały do wysokiego słońca. Na zakrętach rechot na chwilę ustaje. Konie zawracają na prawo, zęby żniwiarki zagarniają nową smugę dojrzałego zboża i topią w niej swe ostrza. I kośba zaczyna się taka sama, tylko garście padają inaczej, kłosami na zachód, gdy przedtem kładły się na południe. Po skrajach pola wyrasta coraz więcej kopic, ustawianych w szerokie rzędy, bo pługi tu zaraz chodzić zaczną. A kwadrat nieskoszonego pola zmniejsza się i topnieje, jak bryła lodu na słonecznym skwarze. Zato przybywa ścierniska od brzegów — od drogi i sąsiednich zbóż. Wiązaczki schodzą się coraz bliżej do środka, idą coraz ciaśniejszym wiankiem, jakby ktoś niewidzialny zaciągał ten ludzki węzeł. Zejdą się wreszcie wśród pola, nad skrawkiem nieściętych kłosów i przystaną pomieszanym tłumem. A gdy i te wreszcie padną, zgarnięte grabiami żniwiarki, trzeba będzie przejść na inne pola, gdzie drugie żyto czeka w słońcu swojej kolei,

A słońca tego był zbytek, prawdziwa niepowstrzymana obfitość. Wypełniało ziemię aż po brzeg dalekich widnokręgów, jak wielką, okrągłą czarę. Przelewało się poza jej brzegi i mieszało z szafirem nieba. Ludzie chodzili w blasku, drzewa, wzgórza i domy jak gdyby znieruchomiały w złotym zastygłym ulepie. Nad światem wisiała mitologiczna cisza — sina, niebieska, z przebłyskami złota, ciężka, jak marmury Partenonu, leniwa, jak greckie syleny. Pan Wacław widział samych półbogów i własne jego ciało wydawało mu się chyba godne Olimpu. Oglądał same torsy herosów, nabrzmiałe piersi posągowych Cerer, lędźwie dryjad, uda polnych nimf — jak gdyby cały świat pogański wypłynął z dna tej ciszy i na nowo zaludnił ziemie. Długie upalne niedziele stawały się prawdziwie pogańskiem świętem. W kępach drzew, po łąkach wśród tataraków, między krzewami tarnin, rozrzuconych po polu, snuły się ludzkie postacie o niezwyczajnych kształtach. Miały w sobie nadmiar spokoju i prawie boskiego lenistwa .Wyciągały się w cieniu i przeciągały w słońcu, to nieruchomiejąc na chwilę w posągi, to odzyskując potem ciało ludzkie i pożądliwe. Takie pomieszanie krwi i kamienia, boskości i człowieka, plątało się wśród zieloności drzew, wałęsało rozrzuconym tłumem ponad wodą stawów, jakby czekając odjazdu na Cyterę.

Sam pan Wacław zamienił się w fauna. Udawało mu się niekiedy podpatrzeć owe sprawy lu-

dzi i bogów, zachodzące wśród upału dnia. Robił odkrycia, które mogłyby śmiało pomnożyć skandaliczną kronikę Olimpu, gdyby nie została już na zawsze zamknięta. Uzupełniał więc ją po swojemu, fałszował, wsuwał interpolacje. Wielka mitologiczna plotka nabierała krwi wśród zieleni, zalanej słońcem, i można ją było ożywić melodją koźlej piszczałki.

Pewnego popołudnia wysunęła się przed nim z krzaków taka głowa, napiętnowana boskością. Tułów tkwił jeszcze w gąszczu krzewów, nogi brnęły po kolana w trawie i jeżynowych pnączach. Zdrzemnął się widać w cieniu ten młody faun, niespokojnym snem zbłąkanych na ziemi półbogów. Wyciągnął teraz ręce rozleniwionym ruchem, jakgdyby spędzając resztę mgły olimpijskiej z nad powiek. Spojrzał na pana Wacława oczami, mętnemi od słońca.

— Co tu robisz? — pyta pan Wacław. — Spałeś — co? Mało ci jeszcze nocy — uganiasz się za nimfami?

Ale przypomniał sobie teraz, że ten faun ma dzień pracowity. Nie dalej jak wczoraj widział go na wozie, układającego żytnie snopki w niezgrabną piramidę. Lenistwo bywa dla niego tylko świątecznym zbytkiem.

— No cóż, Mikołaj — dobrze wam tu na robotach? — zagaduje dalej, bo na poprzednie pytania nie otrzymał jakoś odpowiedzi. — Dobry macie fasunek? Wszystko otrzymujecie wporę? —

Te sprawy żołądka — to najwdzięczniejszy temat, nawet półbogowie mocno są na to wrażliwi. Mikołaj się uśmiecha i mówi, że — owszem, głodu nie mają. Lecz to sprawa kucharek, nie jego — on sam tylko roboty dogląda. Czasem skwarek trudno się doszukać w strawie, ale to pewnie kucharki robią sobie oszczędności na ich żołądkach. — Pilnujcie ich, pilnujcie, żeby was nie okradały — mówi pan Wacław i widzi, jak olimpijska powłoka obsuwa się z postaci chłopca na dół, ku ziemi, ku stopom, ukrytym w wysokiej trawie. Teraz stoi już przed nim w całej swej nagiej powszedniości i tylko w oczach jeszcze tli jakieś boskie światełko. Ale i ono migoce, chwieje się, wsiąka za szarą siatkówkę. Może to tylko przypadkowy refleks słoneczny?

Pod wieczór robiło się coraz parniej, powietrze cisnęło zgóry, jak wielka nieprzenikliwa płachta. Należało spodziewać się deszczu, bo i chmury skłębionym wałem zbiegały się po horyzontach. Postanowiono z panem Sielskim stawiać sterty jeszcze tej nocy. Pszenne kopice stały na polach suche już i dojrzałe, deszcz zepsuć mógł całą robotę i przynieść poważne straty. Grzmoty nie dochodziły jeszcze z dalekich chmur, gdy turkot wozów snuć się już zaczynał po polach, wyraźny i jazgotliwy. Wszystkie wozy wyjechały z folwarku pełne czeladzi, najeżone widłami, buchające przenikliwym śpiewem. Podzielono się na partje do trzech stert, zmobilizowano całą siłę robo-

tniczą. Ciemności zaczęły się roić od ludzi, ruchliwych jak błądzące cienie, i od nieruchomych kopic, jakby wrośniętych w ścierniska. Układano poddenia ze słomy, odmierzano sążniami wymiary stert — trzy w szerz, a siedem wzdłuż — miarkując starannie, by cała zawartość pola dała się ułożyć bez reszty. Wozy krążyć zaczynają po polu powoli, posuwając się równo wzdłuż rzędów, co chwila przystając przy kopicach, ledwie majaczących w ciemności.

Pan Wacław też był tylko cieniem, odkąd wyszedł w pole — niczem więcej. Ani bledszym, ani ciemniejszym od innych. Był mniej ruchliwym, więcej kontemplacyjnym cieniem. Przystawał koło sterty, rosnącej powoli wgórę czarnym sześcianem, wsiąkał pomiędzy rozchylone snopy kopic. Zaplątywał się w gąszcz ciemności na równi z każdym innym kształtem, ale nawet wśród tej bezbrzeżnej nocy zachował swą pełną świadomość. Czuł i myślał. Rzucał w ciemność jakieś rozkazy ludziom, krzątającym się przy stercie, starał się rozpoznawać, który cień do którego z nich należy. Wiedział, że gdzieś tam błąka się Hanka po środku szerokiego ścierniska i wyrzuca widłami snopki wysoko na drabiniasty wóz. Podchodząc, słyszał szmer kłosów suchy i martwy, szelest słomy, ocierającej się o siebie w szczelnie związanych snopkach. Potem skrzyp wozu, który sunął wzdłuż szeregu kopic poomacku, co kilka kroków przystając, z coraz większym ładunkiem wśród

drabin. Szedł za tym skrzypem, bo przy nim mogła być Hanka — była jedną z tych podawaczek, obsługujących wozy w ciemności. Krzątały się niewidzialne i tajemnicze, jakby z ziemi wyrastając co chwila i jakby tam zapadając co chwila spowrotem. Gdy wozy, pełne i ciężkie, ciągnęły już z trudem ku stertom, one przysiadały pod snopkami, by wypocząć, i gubiły wówczas nawet swój wątły cień, przestawały na chwilę istnieć. Pan Wacław czekał tej chwili i wreszcie odnalazł Hankę prawie poomacku — nieistniejącą, roztopioną w mroku. Coś z niej majaczyło przed nim, ale jakimś niepewnym, rozpływającym się kształtem. — Miał z nią do pomówienia — a czyż noc nie jest najlepszą na to porą? Słowa w ciemności nabierają niezwykłej powagi, stają się doniosłe i ciężkie, trudno się im oprzeć, bo jakby przychodzą z zaświatów. To też Hanka słuchała z przejęciem, gdy jej mówił. — Chodziło teraz o to, czy iść nie zechciałaby za mąż? Tak wiecznie trwać nie może — mówił pan Wacław — a on ma dla niej chłopca, który jej się podoba napewno. — Czy zechce ją wziąć taką biedną? — Biedną? — dziwi się pan Wacław. — Och o to niech się nie troszczy. Dawno już o tem pomyślał i tak ją wyposaży, że upadłby chyba na głowę, gdyby nie chciał. Niech to zresztą jemu pozostawi — sam to wszystko załatwi najlepiej. — Hanka chciałaby wiedzieć coś więcej — co za jeden i jak z tym posagiem? — cała drżała z niecierpliwości, by zadać mu te pytania,

ale właśnie wypróżniony wóz zajechał z trajkotem kłonic, więc trzeba było zrywać się pośpiesznie do wideł. I na tem urwała się ich rozmowa tej nocy.

Pan Wacław zaczął się snuć po polu, po ścierniskach między kopicami, wciągając w płuca ciemne i ciężkie powietrze. Pod nogami ścierń mu szeleści, sztywna, sucha, bo rosy nie bywa w taką noc duszną przed deszczem. W chmurach już błyskać zaczyna, jak w wielkiej niebieskiej kuźni, i grzmoty przechodzą już bokiem, ale dalekie i rozlewne, jak przypływ niewidzialnego morza. Przy stertach coraz gwarniej — trzeba nakryć je, nim burza nadejdzie. Wiatr ciągnie falami od chmur i z wideł garście słomy porywa, unosząc ją w ciemność za sobą. Błyskawic coraz gęściej na niebie, pomruk burzy coraz bliższy i twardszy. I oto pierwsze krople padają z szmerem na ziemię.

XII.

Można zażyć wielkich rozkoszy, trzymając w swem ręku cudze życie i czując, że pulsuje ono na dłoni, jak spłoszony ptak. Wtedy puls, którym tętni, przelewa się w nasze żyły i zdwaja ich rytm, jak jakaś odżywcza, dobroczynna siła. Czujemy wówczas we wnętrzu podwójne życie — własne i cudze — i te dwa równorzędne istnienia przelewają się przez nas wielkim, radosnym strumieniem. Działa to, jak narkotyk, upaja i odurza. Tak było z panem Wacławem, odkąd zaczął wprowadzać w czyn pewne, dotąd tylko przemyślane, projekty.

Teraz, gdy musiał zagłębiać się w praktyczne szczegóły tych spraw — o Hance nie myślał prawie wcale. Ważniejszemi były te małe prawnicze trudności, na jakie się co chwila natykał. Hankę przysłoniła mu lekka pajęczyna paragrafów kodeksu cywilnego, z poza której ledwo majaczyła jej zdziwiona i zatroskana twarz. Bo nic nie wiedziała — co ma się z nią stać właściwie? Ktoś tam decydował o jej losie, układał jej dolę według własnego widzimisię, a ona sama czekała tylko

tej chwili, kiedy będzie musiała przyjąć to wszystko z wdzięcznością i potwierdzić. Chciałaby wiedzieć, ile to potrzeba będzie tej wdzięczności, czy kiedykolwiek uwolni się od niej w ciągu życia? W rozmowach z dziedzicem odgadła, że czeka ją coś wielkiego, przed czem czuła lęk i pomieszanie, lecz czego niewymownie pragnęła. Drżała na samą myśl, że może się to nie wypełnić.

Chodziło o to, że o dobre kilka kilometrów parcelowano folwark. Odmierzano starannie ziemię w równe morgowe płaty — i pan Wacław zamierzał nabyć takich płatów czterdzieści. Należało zrobić to po cichu, bez rozgłosu — nie chciał angażować swego nazwiska w tę sprawę. Postanowiono, po dłuższym namyśle, nabyć ziemię na imię Hanki, ale obciążyć ją sumą, któraby pozwoliła mieć nad wszystkiem decydującą kontrolę. — Nie wiadomo przecież jeszcze, co to za człowiek ten Mikołaj. Wydaje się cichy, potulny, bez narowów — ale z każdego potem wyleźć może na wierzch jakieś licho. — Pan Wacław chciał ich uzależnić od siebie, nie wypuszczać z swych rąk losów Hanki.— On sam najlepiej będzie już dbać o nią. — A któż, jeśli nie Szyja Goldberg, nadawał się najlepiej w tym wypadku? Pominięcie go byłoby niesprawiedliwością w stosunku do jego zalet i talentów. Dyskretnie i usłużnie załatwiał wszystkie formalności, tak że pan Wacław wcale nie potrzebował się trudzić. Wyjechał tylko raz jeden bryczuszką, wybrał najlepszy szmat ziemi — równy, czarny,

lepki, jak żywica — a potem kierował już wszystkiem zdaleka, ukryty i niewidoczny. Zato Szyja wszędzie się pokazywał, ruchliwszy niż kiedykolwiek, a w gestach jego płynęła cała głębia wyniosłej godności. Sprawił sobie nowy garnitur — europejski, ma się rozumieć — bo jakżeż inaczej pokazywać się w urzędach i kancelarjach? Reprezentował już teraz nietylko siebie i swój pokątny handelek, ale rozległe interesy dziedzica. Ręce zakładał na plecach i, stąpając szybkim lecz statecznym krokiem, w cieniu filcowego kapelusza skupiał całą swą powagę i dostojność.

Z Hanką łatwo było dojść do porozumienia. — Każda iść zamąż musi, a dziedzic przecież żenić się z nią nie będzie. Nigdy nie myślała nawet o tem. Mikołaj — owszem — podoba się jej, chłopak niczego. Nie pijak, pracowity, spokojny. Dobrze mu z oczu patrzy, a i oczy te ma ładne i siwe, jak przekwitające bławaty. Nie użyła pewnie nigdy tego porównania, myśląc o jego oczach, ale zawsze, gdy w nie patrzyła, przypominały się jej dalekie polne horyzonty. I właśnie dalekość tych oczu może trochę odstręczała ją od niego. Bo pozatem nic mu nie mogła zarzucić. To też powiedziała dziedzicowi, że — owszem — przystaje na wszystko.

A Mikołaj? — czy miał się wzbraniać, gdy mu wspomiano o tych czterdziestu morgach? Przystałby nawet na dziesięć. I z nim też nie miano kłopotu. Przestępował z nogi na nogę, gdy mu pan Wacław klarował, że ma się żenić z Hanką, która

właśnie taki zapis dostaje — ale że wszystko to ma się odbyć w wielkiej tajemnicy, żeby nikt o tem nie wiedział. Pary z gęby nie wolno mu puścić, bo inaczej popsuć się wszystko może. To też miął w ręku czapkę, drżąc cały, i przysięgał, że nikt z niego nic nie wydusi nawet najgorszą męką. — Ma przecież swój rozum, nie jest głupi. — Ale z Hanką dobrze obchodzić się musisz — ostrzegał pan Wacław. — Sam tego będzie pilnował, by się jej krzywda nie działa. I ziemi tej tknąć mu nie wolno, bo to jej ziemia, nie jego. — Mikołaj na wszystko się godził — bo któżby nie chciał takiego szczęścia? Może ktoś — ale nie on, wyrobnik sezonowy. I potem żył tylko w wielkiej trwodze, żeby się nie wygadać, nie popsuć tego swojego losu, albo żeby jakoś nie przeinaczyło się to cudowne zrządzenie.

A pan Wacław? — Tkwił między Mikołajem, Hanką i samym sobą, nie zdając sobie dobrze sprawy, dokąd zdąża. Decydował rozum, osiadły w obszernym mózgu, z krzywdą uczucia, które może nie wiedziało jeszcze o swej krzywdzie. Decydował — bo był najwyższą instancją tych decyzyj w chwilach, gdy wszystko chciało mu się podporządkować. Potem — może nie miałby już takiej władzy, potem — przemówiłoby może coś więcej ze szkodą dla samej sprawy. Bo tymczasem szła ona nadzwyczaj pomyślnie — szła tak gładko, że czasami przejmowało to pana Wacława niepokojem. — Czyżby aż taką miał władzę nad tym świa-

tem, gdzie Hanka i Mikołaj tkwili od urodzenia i z którego wyłamać się nie pragnęli, aż do samej śmierci? — Myśl o tem była naprawdę żenująca.

Ale trudno było rozwodzić się nad tem zbyt długo, jeśli pragnęło się własnego spokoju i cudzego szczęścia. Jeszcze dobrze, że dadzą się te dwie rzeczy pogodzić i pomieścić w jednem czemś, co naszych sił nie przekracza. Tak małe są możliwości, jakiemi rozporządzamy, ale — widać — cudze pragnienia mogą być jeszcze mniejsze, mogą się łatwo dostosować do tego, na co nas właśnie stać w danej chwili. Pana Wacława stać było może na coś więcej — niewątpliwie — ale czyż nie jest wielką sztuką znać umiar w tych rzeczach, kuszących do zdradliwej szczodrobliwości? Tak — należało pochwalić powzięte decyzje, w których rozum postawił na swojem, nie krępując się dowolnością uczucia.

Należało pochwalić jeszcze coś więcej: — wyczerpującą wszechstronność, z jaką ujęta została ta sprawa, gospodarską trzeźwość poglądu na nią, oraz znajomość trudnych wymogów życia. Czterdzieści morgów — to nie jest jeszcze gospodarstwo, to zaledwie płat ziemi, który sam może tylko ugorować. Za parę lat, pozostawiony sobie, porośnie perzem, jak łąka. Więc postanowiono wystawić jeszcze budynki. Stodołę, stajnię, oborę — z gospodarskich, do tego chlewy i także dom mieszkalny pod dachówką czerwoną, wypalaną. Wszystko to — owszem — solidne, na podmurówkach

z cegły, kryte gontem, otynkowane. Ma mieć wygląd porządnej posesji, coś niby jak kolonja tych, co do kraju ściągają z dolarami i pieniądze te umieją zamienić na bogactwo i wyraźny dobrobyt. Życzy sobie tego dziedzic — niech ile chce kosztuje — a Szyja Goldberg żyje tylko wolą dziedzica. W oborze pięć krów, cztery konie w stajni, świnki w chlewie — a i temu jeszcze nie koniec, resztę się potem zobaczy.

Takie były ogólne dyrektywy i z takiem to nastawieniem ruszyła naprzód robota. Zaczęto od fundamentów, ale, kładąc je, myślano już o ścianach, a murując ściany — o tem, jakby je już podciągnąć pod dach i kryć białemi gontami. Myśl ciągle wybiegała naprzód — tak im spieszno było do końca — i gdy wreszcie stawiano już krokwie, pan Wacław kazał Szyi szukać pięknej czwórki roboczej i mlecznych, dojnych krów. Sam też wybrał się razu pewnego, aby się przyjrzeć budowie.

Robota tonęła jeszcze w wapnie i czerwieni cegieł, zbryzgiwana szarym cementem. Murarskie dłonie biły takt tej robocie — takt spokojny, nierównomierny, nie znający żadnego pośpiechu. Rusztowania pięły się po murach, jakby w drewnianych powijakach trzymając rodzącą się dopiero, prostą architekturę. Tkwiły w ziemi korpusy budynków, ciężkie i przysadziste, niewykończone jeszcze lekką linją wiązania. Odgadywać tylko można było ich ostateczny kształt, naszkicowany gdzieś w powietrzu niewidocznym rysunkiem architekta.

Trwały w stanie stawania się i powoli, leniwie wcielały się w ostateczne, nieznane sobie jeszcze formy.

Ale zato pan Wacław dobrze je znał napamięć. Nosił w sobie oddawna gotowy już obraz tego, co powstawało dopiero w jego oczach. Delektował się nim i zabawiał, a teraz porównywał go z rzeczywistością. Zapewne — rzeczywistość prezentowała mu dopiero niewykończone ułamki całości, powstającej z drzewa, cegły i cementu — a i, naprzekór marzeniom, zwykła wnosić we wszystko element własny, aż nazbyt chropawy i szorstki. Niejednemu popsuła już doskonałość obrazów, jakie tak łatwo powstają w wyobraźni. To też pan Wacław czuł, że się coś w nim kruszy, że ulatuje coś z niego, co niełatwo zastąpić będzie można czemś nowem. Rozwiewał się obraz Arkadji, roztrącany o gzymsy murowanych ścian. — Czy tu będzie można być szczęśliwym? — zapytywał spłoszony, jakby istniało tylko arkadyjskie szczęście sielankowych pasterzy. I dopiero teraz uświadomił sobie, że przez swe starania ma zapewnić Hance całkiem coś innego, że ma jej zapewnić tylko byt, który różnie potoczyć się może. — Ale szczęście? — skąd je wziąść takie trwałe, by się nie rozbiło przypadkiem o twarde cegły, szczelnie spojone wapnem ? — Poczuł teraz, że wiele jest jednak zwykłej fikcji w całym planie, jaki sobie tak żmudnie układał, że wymyka mu się z rąk wiele z tego, co uważał za tak bardzo pewne, na za-

wsze zgóry ustalone. — Bo choćby to, co ogląda teraz — czy podobne do tego, czego oczekiwał? — Obora już stoi cała, według planów, które tyle razy miał w ręku, w istocie ta sama, nie inna— o innej nie myślał nigdy. A — mimo tę oczywistość — tak bardzo jej wiele brakuje, że nie poznaje jej wcale, jakby miała nie te same wymiary i zgoła inne proporcje. — Naco im się przyda ta szopa?— myśli ze zgorszeniem. — Czy tu wogóle da się składać zboże? — Tu ma stać dom, a tam stajnia, fundamenty już ułożone — ale jakie to wszystko martwe, pozbawione żywszych kolorów. Przecież tu mieszkać niepodobna, na takiem odludziu — cóż dopiero czuć się szczęśliwie. Chyba, że zasadzą sobie sad, otoczą wszystko drzewami i jakąś zielenią — pocieszał się byle jak, patrząc dokoła i nie poznając nic z tego świata, jakim zamierzał obdarować i uszczęśliwić Hankę.

To też późniejsze jego koncepcje były już dużo bliższe rzeczywistości. Wiedział przynajmniej, jak t a rzeczywistość wygląda — niewykończona jeszcze wprawdzie, jeszcze nie w swych ostatecznych formach, ale już zato twarda, masywna, murowana cegłą i wapnem. Przyzwyczaił się dosyć łatwo oglądać w wyobraźni Hankę właśnie na tem tle czerwonych ścian i pustego pola. I tylko jakoś niechętnie dopuszczał tu Mikołaja, jakoś nie mógł miejsca dla niego znaleźć, choć przecież miejsce to mu się należało, zostało zgóry przewidziane i ściśle określone — tak ściśle, że psuło panu Wacławowi dowolność w formowaniu nowego świata marzeń i fantastycznego rojenia.

XIII.

Następna rozmowa z panem Czołhańskim, odbyła się w nieco zmienionych warunkach. Pan Wacław nie występował już w roli petenta, tym razem nie był już tylko uczniem, szukającym u mistrza pomocy. Mówił, jak człowiek, który powziął postanowienia, dzielił się wiadomościami o tem, czego dokonał. A pan Czołhański, jakgdyby doszedł przez ten czas do wniosku, że ziemskie sprawy pomiędzy ludźmi mogą być nawet zajmujące. Udzielił im tym razem więcej uwagi, choć nie myślał bynajmniej wyzbywać się filozoficznego sceptycyzmu. Owszem — całą sprawę potraktował bardzo życzliwie, ze swym zwykłym mądrym uśmiechem.

— Wykazał pan wielką sprężystość — mówił — w wykonaniu planów, jakie tylko lekko panu naszkicowałem. Mąż — cóż może być lepszego w tym wypadku? Pomysł znakomity — i dlatego zapewne tak często stosowany przez wszystkich, co się znaleźli w podobnej sytuacji. Oczywiście, że i mąż niewiele tu pomoże, jeśli choroba siedzi

w panu zbyt głęboko — ale dla powodów, które już panu kiedyś wyłuszczyłem, nawet ten niedoskonały środek przynieść może chwilową ulgę. Owszem, owszem — pochwalam wszystko. Uważam tylko, że pańskie nastawienie do tej sprawy jest nieco wadliwe: — zanadto pan celebruje.

Pan Czołhański czuł się widocznie dobrze w roli lekarza dusz. Jest to trudny i skomplikowany instrument — tem większą też satysfakcją musi być doprowadzenie go do harmonji i strojnego dźwięku. W panu Wacławie wyczuwał jeszcze pewne fałsze, które chętnie pragnąłby usunąć.

— Zanadto pan celebruje — ciągnął dalej — to znaczy, że z siebie samego stwarza pan ośrodek całej sprawy. Należało raczej usunąć własną osobę nabok. Byłoby to z większym pożytkiem dla celów, któreśmy sobie wyznaczyli. A pan chce się tam razem z tym mężem pomieścić i wątpię, aby to nie skomplikowało sytuacji. Pomysł dobry — ale pan pragnie osiągnąć tym jednym środkiem zbyt wiele. Nie ma pan odwagi czy siły zrezygnować z rzeczy, z których zrezygnować należy. Tu tkwi błąd, który zemścić się może w przyszłości.

Pan Czołhański nigdy nie mówił jednym tchem wszystkiego, lecz robił przystanki, podczas których myśl, rzucona światu, była w stanie utrwalić się w umyśle słuchaczów, a następna miała czas narodzić się w jego mózgu. W ten sposób, oszczędzając swój głos, wyrzucał z siebie

kolejno bukiety cennych słów, które niekiedy mogły zabłysnąć, jak rakiety, na tle dłuższej chwili milczenia. I istotnie to, co powiedział następnie, uderzyło pana Wacława, olśniło, — lecz podziałało ostatecznie raczej deprymująco.

— Wszystko razem wziąwszy, nie rozwiązał pan zagadnienia. Zastąpił pan stary problem nowym — ot i tyle — mówił. — Przezwyciężył pan jedną trudność, stwarzając sobie drugą. Bo i pocóż ta cała dalsza kontrola, to wglądanie w rzeczy, które nie powinny już pana obchodzić? Niechżeż toczy się to ich życie, jak je sami sobie ułożą. Ale nie — nie chce pan nic z rąk swych popuścić, chce pan pozostać tym Jowiszem, który patrzy na wszystko z za chmur i karci od czasu do czasu nieposłusznych gromem. Chce pan grać rolę Opatrzności — a nie jest to rola wdzięczna — zapewniam — wobec przykrych ziemskich stosunków. Opatrzność ma same kłopoty, ciągle musi coś łatać, reperować, jeśli chce, by rzeczy szły według jej myśli. Wielce to kosztowna zabawa. Ale pan pragnie zabawiać się nadal — nieprawdaż? Takie są pańskie zupełnie wyraźne, choć może podświadome intencje.

Trzeba było wysłuchać tego demaskowania. Było ono trafne na tyle, na ile wątpliwości zdążyły już wkraść się w umysł pana Wacława. Mówimy: w umysł, gdyż zwątpienie tylko tą drogą iść może — przez mózg do serca. W tym wypadku nie zaszło jeszcze tak daleko, utknęło

gdzieś po drodze, nie mącąc ciągle świeżego entuzjazmu. Chwile zwątpienia, przeżyte przy budowie, minęły bez głębszych śladów, dały się zatrzeć biegiem samej sprawy. A ta dojrzała już na tyle, że zaczęto mówić o weselu: — tego a tego dnia, już po jesiennych siewach, a przed kopaniem kartofli. Mają wtedy ludzie parę tygodni wytchnienia, jeśli nie przyjdzie potrzeba jakiej gwałtownej młocki. Wyznaczono na to dzień sobotni, by można było w niedzielę odespać choć po trochu całonocną hulankę. Spadły już pierwsze zapowiedzi, spadły drugie, nadchodził prędko czas trzecich — i zaraz już potem dzień ślubu. Lecz bliskość tego dnia nie przeszkadzała ich spotkaniom, bo istotnie pan Wacław nie myślał rezygnować z niczego. Ślub ten miał go uwolnić od bolesnych kompleksów zazdrości — i był to jedyny cel, jaki zamierzał przez to osiągnąć w ten sposób. Zrozumiał to pan Czołhański i zaraz zastrzegł się, przewidując możliwość dalszych komplikacyj. Pan Wacław tak daleko nie sięgał — chciał się otrząsnąć tymczasem tylko z tego, co mu dolegało najwięcej — a dalsze rzeczy same się jakoś potoczą i ułożą. Zobaczy się, co będzie potem — lekkomyślność pozwala marzyć, a nawet czasem być szczęśliwym.

Hanka coraz dokładniej wiedziała, co ją właściwie czeka. Pan Wacław wtajemniczał ją stopniowo w rozmiary swoich dobrodziejstw. — Wyposażę cię tak — mówił na początku — że bę-

dziesz najbogatszą dziewczyną w okolicy. Byleś tylko szła za Mikołaja. — Potem już precyzował: — Kupiłem dla ciebie czterdzieści morgów na Klątwach, najlepszej czarnej ziemi — mówił. — Będziesz gospodynią, jak się patrzy. — Czyż mogło być większe szczęście? Hanka nie wyobrażała sobie czegoś więcej. Trudno jej było pomieścić całą radosną wdzięczność pod sercem, które tak tłukło się gwałtownie, gdy tylko o tem myślała. A o czemżeż innem miała myśleć? Potem pan Wacław dodawał jeszcze szczegóły, ale nigdy nie wybiegał naprzód do swych zamiarów, i tylko zwolna sączył w jej duszę rozkosz przyszłego posiadania. — No, skończyli już stawiać stodołę — mówił jej jednym razem — pomieścicie tam całe wasze zboże. — A kiedyindziej dodawał coś o oborze, stajni, o studni, którą wiercą na podwórzu, o domu mieszkalnym, chlewkach i wreszcie o żywym inwentarzu, jakim zamierza zasilić ich gospodarkę. Lecz nie pozwalał jej iść i oglądać tych jego darów. — Obejrzysz, jak wszystko będzie gotowe, gdy się tam sprowadzicie.

Tego dnia nie opuszczał wcale domu, zajęty książkami i chodząc po gabinecie. Jedno okno wychodziło na gazon, gdzie przekwitłe kwiaty wśród rabat straciły już swą dekoracyjną świeżość, stając się niepotrzebnym chwastem — to jesień odarła je z wdzięków. A drugie chyliło się nad pobliskim stawem, który latem dawał orzeźwie-

nie, a potem sączył już tylko zgniliznę i zatrutą wilgoć. Teraz jeszcze odbijał sobą słońce, poplamiony czerwonością liści, już opodających z drzew. Przez oba okna zaglądała jesień, ciągle jeszcze słoneczna, lecz dysząca bliskim przymrozkiem.

Pan Wacław czekał na pewną chwilę, myśląc o której czuł zakłopotanie. Młodożeńcy przyjdą po błogosławieństwo wedle patryarchalnych wiejskich obyczajów. Nie może się od tego uchylić — byłoby to naruszeniem odwiecznego porządku, rezygnacją z praw, które pragnął dla siebie zachować. To błogosławieństwo jest im potrzebne, jak i wiele innych zupełnie zbędnych rzeczy. — Ale czyż nie będzie to dziwne uczucie udzielać błogosławieństwa dziewczynie, której ciało zna się tak dobrze na pamięć we wszystkich najintymniejszych szczegółach? Coś takiego musi dostarczać bardzo niezwykłych i niepokojących dreszczy — a tych pan Wacław nie był specjalnie chciwy. To też postanowił uzbroić się w cały swój cynizm, wydobyć z siebie wszystkie jego zasoby — może ten go ustrzeże przed czemś niespodziewanem i przykrem. Gdy jednak oznajmiono mu przyjście Hanki i Mikołaja, nie starczyło cynizmu, aby pokonać zmięszanie. I trzeba było je zwalczać sztucznym, nieszczerym uśmiechem, jakim przywitał wchodzących. Hanka zresztą musiała coś podobnego odczuwać na swój własny, prymitywniejszy sposób, bo przez tradycyjne łzy oblu-

bienicy i u niej przeświecało jakieś napięcie uwagi, by się nie zdradzić z czemś, co mogłoby podkreślić niezwykłość sytuacji. Uklękli oboje cicho i bez słowa, a pan Wacław wyciągnął ręce w jej stronę ruchem, z którego miało spłynąć błogosławieństwo. Tylko że ruch ten zawarł w sobie więcej zmysłowych nawyków, niż nabożnych intencyj, i zawisł nad głową Hanki jakimś dwuznacznym gestem. — Tak, tak — pokrywał swój nietakt słowami — bądźcie szczęśliwi, niech Pan Bóg się opiekuje — mruczał z trudem, chowając w uśmiechu ile tylko mógł ze zmięszania, jakie go nurtowało. Niemiła sytuacja, nie starcza mu owego cynizmu nawet dla siebie samego — czemżeż więc tu wojować? Należałoby powiedzieć coś więcej, dać jakieś ojcowskie pouczenie, aby odczuli wagę chwili i doniosłość aktu, do jakiego przystępują. Ale brak mu słów nawet tych najbanalniejszych, w głowie — pustka, czuje się naprawdę zmięszany. Ona klęczy w białej sukni z woalem, na głowie ma zielony wianeczek i ładnie jej w tym stroju, choć oczy ma zaczerwienione. A Mikołaj wdział ciemny garnitur i żółte buciki do tego, wygląda bardzo uroczyście z przypiętym do klapy bukietem. — Tylko co ten wianeczek tu robi? — myśli pan Wacław. — Czyż to nie fikcja prawdziwa, symbol rzeczy, której już dawno niema? — Ale pochwala dekoracyjność emblematu: — Bardzo ci ładnie w tym wianeczku — mówi do Hanki.

To wszystko, na co mógł się zdobyć tego dnia, dogorywającego przy dźwiękach muzyki weselnej. Nadbiegała od czworaków falami, to dyskretnie piskliwa, to gwałtowna i niepohamowana. Wdzierała się do pokoi i odbijała miarowo o ściany. Tłukła się wewnątrz pana Wacława, jak drugie, cudze serce. Płynęła podwójnem korytem — korytem melodji i rytmu — i oba one plątały się z sobą, schodziły, to rozchodziły. Raz melodja traciła rytm i wlokła się samopas, przeciągła i rozpasana, to znowu rytm gubił gdzieś melodję po drodze i uderzał w powietrze samotnem, basowem bębnieniem. Potem zbiegały się znowu i parły naprzód razem, niepowstrzymanie, jak nadchodząca powódź. Albo powoli milkły i rozpływały się w szarą, dźwięczącą mgłę.

XIV.

Sprowadzili się już na gotową gospodarkę sami, a przyjął ich tam Szyja Goldberg, nic nie tracąc ze swej wyniosłej godności. Lepiej wie od nich, co posiadają z cudzej łaski — czyż to nie dziwne? Czyż nie upoważnia go to do tego uśmiechu, jakim ich teraz spotyka? Jechali tu, drżąc wielkim niepokojem, czy będzie wyglądało to wszystko choć w przybliżeniu tak, jak to sobie ułożyli przez miesiące długiego oczekiwania. Czekanie zawsze rodzi wątpliwości i te twardo trzymają się człowieka, dopóki im rzeczywistość nie zaprzeczy. A czyż wiedzieli, jak naprawdę wyglądają te obietnice dziedzica? Przetwarzali je tylko na produkty niespokojnych marzeń i każde z nich robiło to po swojemu, oddzielnie, bo dalecy jeszcze byli od tego zbliżenia, które pozwala marzyć wspólnie. Tak więc rzeczywistość miała dziś sprostać dwom marzeniom naraz, choć rzadko jej się udaje jednemu.

Wczesnym rankiem wsiedli na wózek oboje, a powoził końmi Mikołaj. Załadowali wielki han-

czyny kufer i małe jego zawiniątko — to wszystko, co posiadali do tej pory, zapracowane bez niczyjej łaski. Choć mówiono, że ten kufer dobrze napęczniał od czasu, jak się z dziedzicem zeszła. A teraz to jej na bogactwo wychodzi ta niecnotliwa kabała. I — po takim przykładzie — jakżeż tu tłómaczyć dziewczętom, aby strzegły swojego wianeczka? Każda palcem ci Hankę pokaże, że tylko trzeba umieć mądrze ten skarb przehandlować.

Zajechali, niby to nie śpiesząc, choć z niecierpliwości wszystko się w nich paliło. Nie dawali poznać po sobie ile ich ten spokój kosztuje — boczyli się jeszcze na siebie, badali wzajemnie spod oka, jak napół obcy ludzie. Ale gdy ujrzeli zdaleka czerwone dachy obejścia, a podjeżdżając bliżej — biało otynkowane ściany, a potem — sztachety płotów i bramę już całkiem zbliska — zaczęło ich rozsadzać jakieś uczucie, które musiało być mięszaniną najprzeróżniejszych doznań. Było w niem dużo radości i triumfu, trochę tęsknoty, bo ta wszędzie zakraść się musi, i także trochę zwątpienia, że radość to może przedwczesna. I ukryć tego przed sobą już nie potrafili. Hanka to śmiała się, cała gorejąc, to łzy ocierała chusteczką, a Mikołaj konie popędzał, milczący i niespokojny.

Zajeżdżają na podwórze, zsiadają, a Szyja im wychodzi naprzeciw. — Niech konie wprowadzi do stajni— mówi do Mikołaja — a kufer niech po-

stawią w sieni. On zaraz im wszystko pokaże, oprowadzi, żeby dobrze wiedzieli, co mają. — I mówi to do nich zgóry, jak gdyby z jego łaski to bogactwo im w udziale przypadło. A Hanka i Mikołaj idą za nim wszędzie posłuszni, zaglądają kolejno do budynków, liczą cały tam stojący dobytek i rozsadza ich tylko niepokój, aby nie dać się oszukać żydowi, aby najwięcej znaleźć zostawionego im dobra. — Czy wszystko tu stoi na miejscu, czy nie ściągnął czego żydziuga? — Lecz tają te wątpliwości w sobie, boją się, by ich nie przejrzał. Jeszcze się na nich pogniewa, a tak bardzo są od niego zależni. Więc śmieją się, gdy do nich mówi, gdy wylicza im konie, krowy, inwentarz żywy i martwy — niezmiernie wszystkiemu radzi, bardzo z wszystkiego szczęśliwi.

Potem weszli do domu i rozglądają się po izbach. Słońca tu dużo jeszcze, choć już jesień — biało i świeżo. Czysto pomalowane podłogi nie na ich buty, ciężkie i obłocone. Na ścianach wiszą obrazki, łóżka brzuchate od pierzyn. Powinno być ciepło i przytulnie — a jest obco, jak gdyby do cudzego przyszli domu, do ludzi im nieprzychylnych i wrogich. A mają osiąść tu i zostać już chyba na całe swoje życie. Hanka rozgląda się i obchodzi izby kolejno, patrzy na meble, palcami je obmacuje i jakby nie rozumie jeszcze dotąd, że to jej wszystko własne. Mikołaj rozsiadł się na jakimś stołku, podparł rękami głowę i nawet nie śmie skręcić papierosa w tym domu, który jest przecież jego.

A właśnie wszedł Szyja Golberg i zatrzymał się przy progu, nie zdejmując z głowy kapelusza. Założył ręce na plecach i rozejrzał się wokoło ciekawie. — Jak też to oni sobie poczynają? — zdawały się pytać jego roześmiane oczy. Bo poza tem cała twarz zachowała niewzruszoną powagę. No, ja już muszę iść — powiada — nic tu już po mnie. Mam także swoje interesy, nie mogę tylko cudzego pilnować. Wszystko macie tu chyba w porządku i jak się patrzy, nic chyba wam nie brakuje — skarżyć się nie możecie. A jak czego będzie potrzeba, to tylko mnie powiedzieć — a załatwię. Do dziedzica nie chodzić i głowy mu nie zawracać, bo i tak miał dosyć kłopotów z tem wszystkiem. — Mówiąc to, Szyja uśmiecha się pogardliwie i sączy wyrazy od niechcenia. Wyższy jest ponad to wszystko, na co patrzy. Jemu by takie dzikie pomysły nigdy do głowy nie przyszły. Na to trzeba być chyba dziedzicem. Ale teraz, gdy już zaspokoił tę pańską zachciankę, wolno mu na nią krytycznie spoglądać. To też patrzy i po cichu krytykuje na swój sposób. — Nawet będąc Rotszyldem nie wydawałby tak głupio pieniędzy. — A mówiąc dalej do Hanki i Mikołaja, podkreśla ot tak, mimochodem, ile to mu oni zawdzięczają, ile to trudu poniósł dla ich szczęścia. Za co żadnej nie domaga się wdzięczności, tylko chce, żeby o tem wiedzieli. To mu wystarczy. Ciągle w kapeluszu i ciągle cedząc słowa, zapewnia ich o swej przyjaźni. Powinni wiedzieć, że jest najsolidniej-

szym kupcem w okolicy i najlepiej płaci za zboże. Gdyby więc mieli co na sprzedaż, niech o nim nie zapominają. A jeśli im będzie czego trzeba — to on im wszystkiego dostarczy. — Podaje na odchodnem rękę Mikołajowi, potem Hance i obiecuje niebawem ich odwiedzić i popatrzeć, jak się urządzili. — Będzie wam tu dobrze, jak w niebie — — mówi. — Teraz to jesteście gospodarcze.

Nadszedł ich pierwszy wieczór na osiedlu, a potem pierwsza noc. Czuli się jeszcze ciągle sami, choć byli we dwoje. Hanka nie wiedziała za co się brać, za co chwytać — tyle było tej pilnej roboty. Wydoiła krowy — bo to ze wszystkiego najpilniejsze. Zgotowała kolację, bo i jeść przecież trzeba. Od jutra będzie miała pomoc — zgodzili już wyrobników, żeby ulżyć sobie w robocie, którejby przecież sami nie podołali. A Mikołaj wyszedł daleko za zagrodę przyjrzeć się polom. Na jego to ręce patrzy, on to z tem będzie się porał, więc pilno mu teraz spojrzeć, jakżeż ten grunt ich wygląda. Niema co — równy i piękny, warto uczernić w nim ręce. Obchodzi dokoła granice — wytyczone prosto, jak obciął, z jednej strony schodzą do gościńca, a z drugiej na sąsiedzkie łąki. I kartofle — widzi — posadzone, nie zapomnieli o niczem.

Potem, wróciwszy, jadł kluski, które mu Hanka podała. Opowiadał jej, co widział w polu, że do ziemniaków można się brać niezadługo i że jutro od rana wyjdzie z pługiem. A ona mu znowu

swoje — o krowach, gęsiach i kurach i o kapuście, którą już trzeba wycinać. Musi w jarmark pojechać do miasta i zakupić statków kuchennych — brak jej balji, niecek, sznurów do wieszania. I była to pierwsza rozmowa, która szła im jako tako składnie, bez czułości — ale zato szczera, choć rzeczowa i gospodarska. A potem, gdy zmyła już garnki, upomniał się Mikołaj o swoje. Jako żona mu nie odmawiała, pozwalała się kochać i tulić. Ale nie czuł Mikołaj, żeby czekała na tę chwilę, żeby do niej się gorąco garnęła. Wziął, co chciał i ile chciał tylko, wszystko dała mu, co dać mogła — lecz brakowało w tem serca, choć nie brakowało ochoty. I, biorąc to, miał wrażenie, że, co bierze, to jednak nie jego, że jest ono jakieś obce i cudze, i tak samo dziedzicowe, jak ta rola i cały dobytek. To też poderwał się rano, kiedy jeszcze spała i zaraz, bez śniadania, ruszył orać. Może, gdy trudu w nie włoży, wydadzą mu się te pola bardziej jego.

Szron leżał na ziemi siwy, sypki i delikatny, tający pod najlżejszem dotknięciem nóg. Zwisał z gałęzi, haftował liście sobą, a źdźbła trawy przyginał do dołu, obciążając je ponad miarę nocnej rosy. W powietrzu stał chłód cierpki i jesienny, ale orzeźwiający. Rozdymał płuca każdym silniejszym powiewem. Dotykał ciała zdradliwem tchnieniem przymrozku. A widnokręgi odsuwał daleko wgłąb, jakby sinością swych mgieł rozszerzyć chciał jeszcze krąg świata.

Zaczynając tę pierwszą orkę, miał Mikołaj podobne uczucie, jak gdy pierwszy raz dotknął się Hanki. Ten sam lęk, ta sama nieśmiałość, prawie to samo miłosne podniecenie. Tylko że teraz nie dotykał ręką jej piersi, a trzymał w garści drewniane rączki pługa. I nie mówił żadnych słów pieszczotliwych, tylko wołał donośnie na konie. Ale głos drżał mu taksamo niepewny, taksamo chwilami stawał mu w gardle, dławiąc. Pług odkrył odrazu skibę miękką i tłustą, jak masło, lecz czarną, jak samo wnętrze ziemi. Odkłada ją równym prostym sznurem naprzestrzał całego pola — od gościńca aż po sąsiednie łąki. Świeci się ta skiba w rannym blasku wilgocią i tłustością swej urodzajnej substancji, wydaje się lepka i ciepła, bo zagrzana oddechem ziemi. I tak skiby się kładą przy sobie, szczelnie jedna przy drugiej, coraz więcej zagarniając pola, pokrywając je świeżą i lśniącą czernią. Mikołaj idzie tuż za pługiem, lejce i bat ma w ręku, a w piersi powoli mu spływa spokojne upojenie. Takiego nie zaznał jeszcze z Hanką. Brakowało tam tego ciepła, jakiem w tej chwili darzy go orana ziemia. Czy płynie ono z niej samej, czy też z własnego serca — wszystko jedno — dość, że je w sobie czuje, jak mu się przez ciało przelewa. I dlatego to oranie jest dla niego rozkoszą, nie trudem — jak nie wydaje się trudem najgorętszy uścisk miłosny.

XV.

Dla pana Wacława białym kamieniem przydrożnym w jego pogoni za czasem stał się odjazd Hanki. Zamknął on pewien cykl, który się rozpoczął rok temu, gdy spotkał ją poraz pierwszy. I te dwa słupy graniczne ujęły między siebie szmat życia, ściśle odgraniczony od reszty: —poprzedzał go bezładny chaos pomięszanych chwil, przeżytych bez racji i celu, a tuż za nim, w teraźniejszości, wlokła się jeszcze niewiadoma i jałowa pustka. Wstępował w okres ciszy — tak mu się przynajmniej zdawało.

Owa cisza różniła się od poprzedniego okresu przedewszystkiem powolnym odpływem godzin, które nadchodziły z próżni i odchodziły w pustkę, nic z sobą nie niosąc i nic nie zabierając. Przypominało to monotonny ruch stojącej wody, która ciągle tą samą falą odbija się o te same brzegi. Nie przenika jej żaden nurt i nic jej nie ożywia. Lecz zwolnione tempo czasu wywoływało ostatecznie inny zupełnie efekt. Bo jeśli w teraźniejszości przeciągało chwile i wlokło je bezbarwnym,

długim łańcuchem, to zaraz potem — gdy się tylko wtył przesunęły — pozwalało kurczyć się im, zapadać jedna w drugą, zlewać w wspólne koryto szarej nudy. Godziny wlokły się, trudno mu było je zapełnić — ale potem, gdy myślał o nich, nikły, ginęły i malały w nicość.

Od tego odjazdu życie jego jakgdyby stanęło w miejscu, nie wiedząc, dokąd skierować swój bieg. I jeśli wypełniał czem swe myśli — to nie dawała mu tego teraźniejszość. Musiał sięgać dalej poza siebie, lub wybiegać naprzód w fantastycznych i nieobowiązujących marzeniach.

Ale na długo nie mogło starczyć tej pustki. Życie chciało nanowo ruszyć z miejsca — pragnęło teraźniejszości. Nie zaspokoi go roztrząsanie rzeczy minionych, ani też jałowa pogoń w przyszłość, w marzenia, do których się nigdy nie dotrze. I pan Wacław musiał ulec pod naporem wewnętrznego musu. I uległ na tyle, że postanowił wreszcie ich odwiedzić — ich, to znaczy Hankę i Mikołaja w nowo pobudowanej zagrodzie. — Pojedzie zobaczyć, jak się tam urządzili.

Decyzja dojrzewała powoli, a opóźniało ją kiełkujące wgłębi zażenowanie. Pan Wacław należał do tych, których krępuje narzucanie innym swej woli. A samo jego zjawienie się tam — czyż nie będzie zstąpieniem majestatu? Ale z drugiej strony czuł, że jest związany z nimi jakimś tajnym fibrem własnej egzystencji, że teraźniejszości swej nie odnajdzie i nie odzyska bez nawiąza-

nia z nimi tego koniecznego kontaktu. I zaczął rozumieć to paradoksalne odwrócenie swych zamiarów: — chciał oto na całe życie uzależnić ich od siebie, być dla nich opatrznością i losem, a zamiast tego czuje się teraz związany z nimi fatalnym węzłem, który sam zadzierzgnął rozmyślnie, nie domyślając się jego ciężaru i dławiącego ucisku. Zaczął rozumieć, że stworzył sytuację, która nie jest stosunkiem jednostronnej zależności od niego, lecz — wbrew jego intencji — stosunkiem zależności wzajemnej. I nie wiadomo jeszcze, na kim silniej stosunek ten zaważy — na nim, czy na nich?

W każdym bądź razie nie rozwiązał tej wątpliwości za pierwszą swą bytnością na posesji. Takie rzeczy rozstrzyga dopiero bieg wypadków. Tymczasem mógł co najwyżej stawiać sobie podobne pytanie — mógł, ale naprawdę nie wiemy, czy to robił. Odczuwanie pewnych rzeczy nie prowadzi jeszcze odrazu do ich wyraźnego sformułowania — byłoby więc ryzykownem twierdzenie, że pojechał tam po odpowiedź. A jeśli znalazł się tam w kilka dni po powzięciu zamiaru, to zapewne tylko dla tych licznych i skomplikowanych powodów, które sprawiają, że człowiek postępuje właśnie tak, a nie inaczej.

Podjeżdżał tam nie bez wewnętrznego drżenia, a na podwórze wchodził nie bez ciekawości. — Jak to też zachowa się ta jego teraźniejszość? — Złożyć się ma na nią Hanka, Mikołaj — wielka nie-

wiadoma — i jeszcze on sam, element też zawsze niepewny i wątpliwy. Ma to go nanowo wyprowadzić na wody przeżywanej teraźniejszości — może niezbyt szerokie wody, ale niewątpliwie burzliwsze od tych, po jakich odbywał niedawne wędrówki w przeszłość i w marzenia. Rozglądał się dokoła: — Co też go tu czeka? — Widzi tymczasem wyczekujący wszędzie bezruch między budynkami i słyszy wyczekującą ciszę. — Czyżby tem uroczystem milczeniem świat martwy chciał go powitać pod nieobecność ludzi? — Tych ściągnęły ku sobie pola — widać jeszcze kopią kartofle. I tak już późno — pachnie w powietrzu przymrozkiem.

Rozejrzał się po podwórzu, a potem do domu zagląda, gdzie więcej niż gdziekolwiek widać ludzkich śladów. Nawet ten martwy świat oddycha tu mocniej człowiekiem, nauczył się od niego żyć własnem życiem, po swojemu. Tymczasem mieszkańców tu niema — bo nie są przecież nimi porozwieszane statki i meble porozstawiane, choć się tu między ścianami panoszą. To tylko cenne rekwizyty cudzego, pełniejszego życia, które wyszło stąd na chwilę nie poto, by nie powracać. Straciły już one ten sklepowy blichtr i nieprzytulną świeżość, z któremi kiedyś przyszły tu ze świata, i noszą już teraz na sobie ciepłe piętno ludzkich oddechów. Przesiąkły już zlekka ludzkim potem, zmatowiały od człowieczego brudu i widać, że wrosły już w prostą egzystencję tych ludzi, tego

domu, że się tu zakorzeniły. Taki stół ma już blat poszczerbiony w nieodgadnione rysy, nosi okrągłe ślady na gorąco stawianych rondli i zżył się z sosnową podłogą wszystkiemi czterema nogami. Okna patrzą do wewnątrz pokoi z nadworu swem szklanem spojrzeniem, ale szklistość ich zmącona została szarością jakgdyby ludzkich oczu — musiał już ktoś przez te okna w szerokie pola wyglądać. Ta szafa dźwiga obfity dobytek, bo się ciężko wsparła o ścianę i napęczniała cała dostojeństwem. Zamknęła się w sobie szczelnie, z uporem — nie chce nic popuścić z powierzonego jej dobra. Więcej tam pewnie babskich fatałaszków, niż przyodziewku męskiego. A stołki — te tylko czekają, by przysiadł sobie na nich człowiek. Wystarczy im to jedno intymne zetknięcie z ludzkiem ciałem, aby potwierdzić mogły rację swojego istnienia — o niczem więcej zdają się teraz nie marzyć. A o człowieku także rozmyślają wyciągnięte pod ścianami łóżka, wezbrane górami pierza — o człowieku zmęczonym, którego morzy sen. I wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, mowa jest ciągle o nim, spracowanym, który wraca z pola, siada na ławie i czeka ciepłego posiłku.

Tymczasem usiadł pan Wacław, bo tamci wciąż jeszcze w polu. Nadbiegliby tu spewnością, gdyby wiedzieli, że czeka. Nadbiegliby — tego jest pewien — ale jakie będzie przywitanie? Rozmyśla, patrzy dokoła, choć się tu już przecież rozglądał, i chętnieby wchłonął coś z tutejszego ich życia,

żeby wiedzieć, jakie też ono. Ale nic odgadnąć nie może z tych ścian i mebli, musi poczekać na ludzi, którym widać do domu nie pilno. A i nie wiadomo też jeszcze, czy się od ludzi czego dowie. Rzeczy martwe co najwyżej milczą — ludzie umieją kłamać.

Taka godzina czekania liczy więcej, niż sześćdziesiąt rozwlekle długich minut. Każdą minutę przeciągają chorobliwie leniwe sekundy. Wydawać się wówczas może, że czas zamiera w swym biegu, że przestaje bić tętno wieczności. To, że Hanka pierwsza wróciła z pola — nie było chyba przypadkiem. Zdala musiała dostrzec konie dziedzica, albo przemówiło w niej serce nigdy niezawodzącem przeczuciem. Jeśli siadła po drugiej stronie stołu — to tylko dlatego, że pan Wacław ją o to poprosił — sama zrobićby tego nie śmiała. I oto teraz rozmawiają, przedzieleni grubym drewnianym blatem, na którym widać okrągłe ślady garnków i talerzy — jakgdyby pieczęcie rodzinnego pożycia, niewątpliwej wspólności stołu.

Żeby móc powiedzieć coś o swem życiu, trzeba myśleć o niem czasami jak o czemś, co poszło niezupełnie po naszej myśli, co zawiodło nas i oszukało. A czyż Hanka mogła zdobyć się na pretensje do swego losu? Nie zawiódł jej chyba, jak dotąd — a wynagrodził nie wiadomo za co. Miała więcej, niż się spodziewała, i dlatego trudno jej było mówić o sobie samej. To też, gdy ją pan Wacław wypytywał o nią, mówiła o kro-

wach, mężu, gospodarstwie, a zapominała o sobie, jakby jej tu wcale nie było. I dziwiła się, gdy jej przypomniał ją samą, gdy starał się wracać ciągle do tematu, gdzie mowa była przedewszystkiem o niej. Przecież tamto wszystko daleko od niej ważniejsze i ciekawsze, można o tem mówić bez końca, a ona — choć jest tu gospodynią — nie warta przecież nawet, aby ją wspominano. Nie myślała nigdy o sobie i dziwiła się teraz, że ktoś chce coś o niej wiedzieć. Ale że to dziedzic o to pytał, czuła z tego powodu zadowolenie i jakąś chełpliwą radość.

Owszem — rozmowa szła nawet im dosyć składnie, tylko że oboje mówili o czem innem, słuchając nie tego, co pragnęliby w tej chwili usłyszeć. Siedzieli przedzieleni stołem, ale głos drżał im czasami, jak gdyby stół ten był niepotrzebną między nimi przegrodą. Wyciągnęli ręce i, jakby nieświadome żadnych celów, błąkać się im zaczęły one dokoła ich ciał, sięgać aż poza stół i splatać się, jakby bezwiednie. — Mikołaj ciągle w polu, wróci nad wieczorem, a ona przyszła sama, aby wieczerzę zgotować. — Przeciągnął ją na swą stronę i posadził przy stole, tymczasem na twardym stołku. Ale prędko zmęczy ich sztywnością swoich kantów, prędko im nie wystarczy do wyszukańszych pieszczot. I trzeba się będzie rozejrzeć za czemś miększem, szerszem i obszerniejszem, co najbardziej chyba, jak łóżko wygląda.

I dopiero gdy poprawiała Hanka rozrzuconą po-

ściel i naruszone pierzyny, usłyszeli, że Mikołaj powraca z pola. Było to już przed samym wieczorem, a konie stąpały ciężej, zmęczone całym dniem orki. Wybiegła więc na podwórze, zdaleka już męża przywołując. — Niechże prędzej idzie dziedzica przywitać! Odwiedzić ich przyjechał — taki łaskawy. — I potem sama go wprowadziła do izby, jakby chcąc tem ich przywitaniem pokierować. Z pewną obawą śledziła pierwszy niski ukłon męża. — Czy się będzie umiał zachować? Czy wstydu jej nie narobi? — Ale widząc, że ukłonów tych więcej przybywa, że się mnożą, że oczy patrzą pokornie, zaskoczone niespodziewaną wizytą i przelękłe — uspokoiła się zupełnie i przysiadła nawet na stołku. Stanowczo — nic niepokojącego nie dostrzega w zachowaniu Mikołaja. Nawet ani razu nie rzucił spojrzeniem na łóżko, cały zajęty oddawaniem honorów tak dostojnemu gościowi. Stoi na środku izby, boryka się z onieśmieleniem, które go trzyma za gardło, i mnie w ręku jakiś miękki, podatny, a niewidzialny przedmiot. Nic groźnego nie widzi Hanka w swoim mężu.

A pan Wacław nadrabia miną i zachowuje pełną godności powagę. Nigdy go jeszcze takim nie widziała. Zapytuje Mikołaja o rolę oraną, o siewy, o inwentarz i gospodarskie zamiary. Od siebie dodaje coś niecoś ze swych rad cennych, których trzeba słuchać uważnie, bo pełne są dziedzicowskiej niezastąpionej mądrości. — żeby tylko Mikołaj potrafił z tego skorzystać — myśli Han-

ka. Mąż słucha tej mowy niespokojnie, jakby z obawą, czy będzie mógł wszystko spamiętać, zrozumieć wszystko, jak trzeba — bo pytać przecież raz jeszcze nigdy się nie ośmieli. Wieczór podchodzi coraz bliżej, wyciągając z izby ostatnie ślady dnia, które gdzieś tylko przy oknie szarzeją gasnącym blaskiem. Pan Wacław musi już jechać, bo noc go w drodze zaskoczy, żegna się więc i wychodzi. Odprowadzają go aż do koni, uwiązanych w podwórzu przy płocie, i idą potem za bramę, jak nakazuje gościnność. Hanka promienieje cała, lecz Mikołaj się nie uśmiecha, bo nie ma tego w zwyczaju, jest pochmurny, jak zwykle, i kłania się milcząc dziedzicowi, ledwie znajdując jakieś potrzebne pożegnalne słowo. A potem każde się bierze za swoje — Mikołaj idzie do koni nakarmić je i napoić, Hanka do krów i do doju, zajrzeć do świń i kurnika, gotować śpiesznie kolację. I tak już opóźniło się wszystko przez te odwiedziny dziedzica.

XVI.

Konsekwencje wydarzeń i postępków tkwią w nich, jak robaki w dojrzewającym owocu. Czają się i nadgryzają ze środka. Wizyta na osiedlu była faktem, który nie mógł pozostać bez następstw — lecz nie należały one do głośnych i jaskrawych, wybuchających nagłą zbrodnią czy gwałtem. Osiadły na spodzie życia i przez błonę podświadomości sączyły swoją substancję, gdzie więcej musiało być jadu, niż błogosławieństwa.

Jesień szła i przeorywano ścierniska, bowiem czas obszedł już swe pełne koło dwunastu miesięcy i odwrócił się do ziemi tyłem, zmierzając ku zimie. Odbywał jeszcze raz drogę, powtarzaną od tysiącleci, nie zwalniając ani przyśpieszając tempa, idąc przed siebie bez widocznego celu — w mgłę wieczności. Za sobą pociągał, jak niewstrzymany nurt, ludzkie istnienia — równie ślepe, lecz ociągające się i leniwe. Nikt się bowiem za czasem nie śpieszy i nie stara się dorównać mu w biegu — w jesieni widząc przedłużenie lata, w zimie opóźniającą się jesień.

To też pan Wacław w dziwnych stosunkach, jakie go związały z osiedlem na Klątwach, pragnął — dla tych właśnie powodów — widzieć dalszy ciąg swego uczucia, jego nową formę. Nie chciał iść za czasem równym rytmem dni, wolał pozostać w tyle i jeszcze łudzić się tem, co właściwie już odchodziło. Odwiedzał co pewien czas Hankę i za każdym razem robił odkrycia podobnej zawsze treści: — że ją kocha. Zaczął w to wierzyć, bo chciał tego — a chciał tego dla przyczyn, które sprawiają, że chcemy być jak najdłużej młodymi. Jest to nasza ślepa walka z czasem, który przemija.

Niekiedy dopędzał pamięcią uciekające w tył wspomnienia, albo — inaczej mówiąc — ściągał je ku sobie, jakgdyby tkwiły na końcu długiego niewidzialnego sznura. Jeden jego koniec trzyma pan Wacław w ręku, a drugi przepada gdzieś we mgle, która coraz cięższym zwałem osiada na horyzontach. Ściąga sznur, jakgdyby ściągał kotwicę, i układa mu się on przy nogach w okrągłe, coraz liczniejsze zwoje. Wtedy wspomnienia wynurzają się z mgły, uwiązane u drugiego końca, i podchodzą coraz bliżej, z każdą chwilą wyraźniejsze — im dłużej się na nie czeka. Mgła pozostaje gdzieś w tyle, a czas jak gdyby rozpoczyna powoli bieg odwrotny i cofa się nieznacznie ku swoim punktom wyjścia. I wówczas wspomnienia wkraczają w teraźniejszość. Wybladłe i zmniejszone, niby oglądane przez odwrócony koniec

lunety, nadchodzą pomieszanym tłumem, nie przestrzegając żadnego porządku ani hierarchji. Migocą jakimś blaskiem, który mało ma z rzeczywistości, ale nie dosyć półcieni, aby przerażać jak widma. Odnaleźć w nich można ślady stóp, jakie się stawiało samemu na żwirze i piasku dróg, wiodących przez życie ku śmierci, usłyszeć można raz jeszcze jakieś słowo, które zamarło gdzieś z tyłu za nami, stężało w przestrzennym eterze i teraz przypomina nam siebie powracającym dźwiękiem zgłosek. Pan Wacław odwracał się do nich twarzą, na której zmarszczek przybyło, i dyskretnie, po cichu przeżywał odwrócony film swego życia. A niektóre jego wykrawki pociągały go specjalnie ku sobie, bo odżywał w nich intensywniej i pełniej.

Oto przypominał sobie te upalne letnie niedziele, kiedy wyruszał na wędrówkę ku dalekim zarośniętym debrom. Wśród chaszczy czaił się wieczny chłód, bo słońce nie miało tam dostępu, a od ziemi ciągnęła wilgoć z jej ciemnych nieprzeniknionych głębi. Panowała tam wegetacyjna mięszanina jeżynowych pnączy, tarnin, leszczyny, karłowatych drzew i krzewów, które, zrastając się i splatając nawzajem, wypełniały pustą przestrzeń wąwozów od samego ich dna aż po obwisłe szkarpy. Wystrzelały niektóre wyżej ku słońcu i, wydostawszy się ponad zwartą masę zieloności, rozkładały gałęzie szerzej, zabierając dla siebie słońce, a innym dając dokoła chłodny

cień. W samym zaś wąwozie, u korzeni drzew pełzał cieplarniany zaduch ciężkiego, rozkładającego się powietrza. Tak pachnie użyźniająca śmierć roślin — ciężko im widać umierać.

Pan Wacław układał się głową w cieniu i czekał. Miały przyjść we dwie — Hanka z Kasią — umówili się już tak zgóry na wszystkie pogodne niedziele tego lata. Zamykał oczy, bo to pomagało mu słyszeć najdalsze odgłosy, z których można było wyłowić ślad nadchodzących kroków. Debra otoczona wzgórzami, na nich zasiany owies i posadzone kartofle — wzrok głębiej sięgać może tylko w niebo. Ale nie stamtąd należy się ich spodziewać. Będą szły od folwarku prostą polną drogą, a potem naprzełaj przez pole płytkim, falistym wąwozem. Zdaleka już usłyszy, że nadchodzą, ale zobaczy je dopiero na kilka kroków przed sobą, gdy się wynurzą z za wzgórza. Schodzić będą ku niemu po szkarpie, coraz niżej, idąc za własnym cieniem — nadejdą bowiem z południa.

Gdy były już przy nim, pan Wacław podnosił się i stawał cały w słońcu, w tem samem, które spływało po nich. U skraju debry zostawała sama Kasia tylko, a oni dwoje odchodzili dalej, wgłąb chaszczy i w plątaninę krzewów, gdzie mieli samą ciszę i odosobnienie. Nietrudno tu wybrać było można jakąś równiejszą polankę z miękką niezdeptaną trawą. Siadali tam i na początek prowadzili jedną z tych swoich dziwnych rozmów, jakgdyby niewinnie podstępnych i zdradzieckich,

w których słowa miały dla każdego z nich tak różne znaczenie, że każde powiedziane zdanie wydawało się niedomówieniem i zasadzką. Było to z pozoru i bezpośrednie i szczere — patrzyli sobie w oczy, mówiąc — ale jednocześnie pełne podświadomych chytrości i wybiegów. Trudno się im było zrozumieć, bo mówili inną składnią i innym językiem o rzeczach wzajemnie sobie obcych, wymijających się, niewspółmiernych. Ale kto wie, czy nie właśnie ten brak zrozumienia łączył ich silniej od najintymniejszych i najwnikliwszych zwierzeń?

Potem Hanka zdejmowała bluzkę odświętną i czystą, jaką kładła tylko w niedzielę, i pozwalała się pieścić rękom pana Wacława. Powietrze było ciche, bo i wiatry zaglądały tu rzadziej, wstrzymywane zwartą ścianą zarośli, a zapachy, nadpływające zewsząd, miały coś z rozcieńczonych balsamów i uroczystych kadzideł. Gdy wreszcie trzeba już było wracać, pan Wacław odprowadzał obie dziewczyny na drogę, a sam szedł do domu własnemi okrężnemi ścieżkami.

Pamiętał też co innego — ciemny wieczór, duszny i parny, gdy leżeli nad brzegiem stawu pod kopicą siana. Podesłali sobie wygodnie, by nie czuć twardej ziemi, i patrzyli w gęstniejącą noc. Od czasu do czasu daleko na horyzoncie otwierało się niebo długą błyskawicą, wąską, jak szpara nagle uchylonych drzwi. Ziemię oślepiała ciemność jeszcze nieprzenikliwsza, a z poza chmur migotała ta jedyna światłość przez krótką chwilę — tak

krótką, że przymknąć powiek nawet się nie zdążało. Ale te krótkie chwile wystarczały, by przejąć ich niepokojem dziwnym, prawie metafizycznym. Długa rysa blasku spadała na czarną wodę stawu, przenikała aż do jego dna w gęsty, uśpiony muł, i wstrząsała nim całym. I gdy zaraz potem na nowo zalegała ciemność, zdawało się, że cały staw faluje bezszelestnie, zmącony uderzeniem ognistego bata. Nie widzieli z tego nic, nie słyszeli — i przeczuwali tylko wśród nocy ten rytmiczny ruch fal, bezszelestnie uderzających o groble, to ciche pulsowanie rozbudzonego żywiołu. A potem czuli, że ruch ten rozchodzi się szerzej, poza staw i poza taflę wody, że się ku nim przedziera przez mrok. Zaczynała falować cała noc, duszne i ciemne powietrze koło nich — potem nawet ziemia, której bezruch odczuwali pod sobą. I oto nagle przenika to drżenie w nich samych, opanowuje ich ciała powolnym, lecz wzrastającym lękiem. Drżą wobec świata i jego ciemności, wobec błysków, przenikających w głębie, które się rozjaśnić nie dadzą. Nie ratuje ich ani miłość, ani samotność we dwoje. Muszą zamknąć w sobie ten lęk, póki sam się nie wytli, jak ogień.

Innym razem powracały inne wspomienia — a zawsze była tam Hanka i zawsze tam był on. Oto wiąże pszeniczne zgrabki gdzieś sama na uboczu, a on zbliża się do niej nieznacznie, kołuje, by ludzie tego nie spostrzegli, ma jej do powiedzenia coś ważnego, co równie dobrze mógłby po-

wiedzieć jutro, lub nie powiedzieć wcale. Niby więc za grabiarką patrzy, niby ku stertom zmierza — a wszystko poto, żeby się blisko niej znaleźć, przystanąć i powiedzieć to swoje. Hanka go słucha roześmiana, gdy jej mówi: — Mam dla ciebie prezent — przyjdź wieczorem. — A potem patrzy za nim, jak się powoli oddala, i, choć schylona ku ziemi, nie odrywa oczu od niego, dopóki za wzgórzem nie zniknie.

I tak te wykrawki wspomień przesuwały się przed panem Wacławem, zagubione w czasie, który nigdy i nigdzie się nie spóźnia. Wyławiać je musiał pamięcią, gromadzić i porządkować. Pomagały mu one znosić ten ciężar życia, narastający z dniem każdym i przytłaczający ku ziemi. A jednocześnie pozwalały mu nie dostrzegać niewstrzymanego nurtu chwil, który niewidzialnym strumieniem przepływał przez niego, jak słoneczne promienie przez płytę szklaną.

XVII

Na Klątwach wszystko płynęło trybem powszednim, spokojnym, jaki dyktuje życie z dnia na dzień — to życie, w którem nikt nie zabiera głosu i gdzie oddaje się inicjatywę rozstrzygającym decyzjom przypadku. A i przypadki te były zwykłe, monotonne, codzienne — zdawałoby się ciągle te same — którym nie przypisuje nikt większego znaczenia, ani wpływu na układające się życie, choć właśnie one kształtują jego treść i postawę. Mikołaj był mężem, Hanka — żoną, i to regulowało, częściowo przynajmniej, ich wzajemny do siebie stosunek. Ale Hanka była czemś więcej— mówiły o tem częste wizyty pana Wacława — czemś, co komplikowało ich byt i pogłębiało tragicznie. Tymczasem Mikołaj — poza swą rolą męża — nie wnosił nic ponadto, nic ponad siłę mięśni tęgiego parobka i upór swego przywiązania do ziemi. Bo ziemia i Hanka ostatecznie były dla niego tem samem — ziemię tę posiadł przez Hankę, a Hankę dlatego, że obie potrzebują opieki — jego sił męża i oracza.

Stąd płynął spokój, z jakim rozglądał się dokoła, patrzył na gospodarstwo, Hankę i owe dwuznaczne wizyty. Przeczuwał instynktem, że one właśnie utwierdzają go w posiadaniu ziemi i Hanki — a Hanka starała się go w tem przekonaniu umocnić. Nieraz wieczorem mówiła mu tak, gdy już pan Wacław odjechał:

— Ty się tak na mnie nie patrz z podełba—· Mikołaj na nikogo nie patrzył nigdy inaczej, ale w takich chwilach raziło ją to więcej, niż kiedykolwiek — ty się na mnie nie patrz, jak wilk, bo ja się ciebie nie boję.Robię tak — bo tak jest dobrze. Beze mnie byś tu nigdy nie siedział. A i jabym tu nigdy nie była, żeby nie dziedzic. Dziedzic — to moje szczęście i muszę na to uważać.

To też „uważała" po swojemu, a Mikołaj jej nie przeszkadzał. Usuwał się do swej roboty, szedł w pole, jak gdyby nigdy nic. A gdy wracał, zastawał Hankę, krzątającą się po domu, po gospodarstwie i z wypieków na jej twarzy poznawał, że dopiero niedawno skończyła się ta wizyta. Mówiła mu wówczas obojętnym niby to głosem i niby na niego nie patrząc:

— Dziedzic był u nas dzisiaj, dopiero co pojechał. Chwalił ciebie, że nieźle radę sobie dajesz.

Miało dobrze zrobić takie małe pochlebstwo, bo też Mikołaj przełykał je nie bez przyjemności. — Zawsze to miło posłuchać, że dziedzic tak o nim myśli. Choćby tam nie wiedzieć co — zawsze to człowiek uczony. — I już układał sobie na-

przód, że się go o coś poradzi, jak siać tę koniczynę, z którą miał tyle kłopotu.

— Dziedzic mówił — dorzucała jeszcze Hanka całkiem od niechcenia — żeśmy powinni zaprowadzić chlewnię, jak się patrzy. Obiecał dać na początek dwie maciorki i knurka.

Chciała go tem pogrążyć, zapieczętować mu usta. — Czyż nie dowiodła mu tem jednem, ile to dobrodziejstw spływa na nich dzięki jej mądremu postępowaniu? Niech się rozejrzy, niechaj patrzy dokoła — czy nie jej jednej wszystko to zawdzięczają oboje? Teraz znowu knur i te maciorki, jutro — może coś jeszcze, a za miesiąc może znowu coś więcej. I tak ciągnąć się będzie jeszcze długo, żeby jej tylko nie przeszkadzał. Chyba zamknęła mu gębę nazawsze tą wiadomością o knurku i maciorach.

Otóż właśnie — zamknęła — bo jej wogóle otwierać nie zamierzał. Oswoił się z takim porządkiem — byle tylko gorzej nie było. Od Hanki przestał się czegoś więcej spodziewać. — Czyż nie dosyć i tak mu dała? — Ale odebrać nic sobie nie pozwoli. Zaciskał zęby, myśląc o ziemi, na którą wychodzić miał z pługiem. Worał się w nią już całem swem sercem — i nie myślał z niej ustępować. Upór, który może być niekiedy cnotą, jak każda właściwość duszy ludzkiej, nadawał jego stosunkowi do tych spraw pozory przemyślanego i konsekwentnego stanowiska.

Pan Wacław natomiast nie miał w sobie nic

z tego uporu, który zwalnia od tylu zmiennych i napróżno pobieranych decyzyj. Nie chodził prostemi ścieżkami — może nie wiedząc dobrze, dokąd zmierza? Zapewne chciał odrazu zbyt wiele i to mu stawać musiało na drodze do pojedyńczych osiągnięć. Przestały mu wystarczać te wizyty na Klątwach — dorywcze, bezładne i żenujące. Zaczęto zbyt wiele o nich mówić. Powrócił więc do starych nawyków romantycznego konspiratora i spotykał się z Hanką wieczorami. Wychodziła do niego za bramę na gościniec, albo gdzieś dalej w pole — i Mikołaj im w tem nie przeszkadzał, zajęty jedynie swą troską, gdzie Hanka nie grała większej roli.

Ale już wówczas dojrzewały w panu Wacławie nowe myśli i świeże zamiary. Trudno było jeszcze przewidzieć, kiedy dojrzeją na tyle, by dały się w czyn wprowadzić. Lecz ciążyła mu ich sama obecność .Czuł się nieswój. I musiał zauważyć to pan Czołhański, bo kiedyś, po rozegraniu zawiłej partji szachów, począł zbliżać się, przeskakując z tematu na temat, do spraw coraz intymniejszych i drażliwszych. Robił to zręcznie i dyskretnie, a że pan Wacław nie stawał mu w tem na przeszkodzie, więc wkrótce mówili już o Hance, Mikołaju i Klątwach.

— Otóż właśnie — dlaczego jest tak, a nie inaczej? Bo pan Wacław go nie posłuchał. Czyż mądrość zawieść kiedy może? Teraz ma tylko kłopoty — a może nawet chciałby się wycofać z tej

całej niezręcznej historji? Nie zawsze to jednak jest łatwe i nie zawsze bywa najlepszem wyjściem. Czasem nawet lepiej jest brnąć dalej, trudność przezwyciężać trudnością.

Pan Czołhański zamyśla się, robi minę, jakby rozstrzygał losy świata. Wszystkie zmarszczki jego ciała zbiegły mu się na twarzy, na czole i wychudzonych policzkach. Rozczesuje brodę palcami kościstemi, jak zęby grzebienia. A potem mówi dalej:

— Mam wrażenie, że stanął pan na martwym punkcie, dostał się pan do impasu. A niema nic gorszego od zastoju nawet w sprawach takich, jaka pana dręczy — delikatnych i osobistych. — Spojrzał przytem na pana Wacława przeciągle i znacząco, jakby chcąc dać mu poznać, ile to on wie i rozumie. — A może nawet w podobnych wypadkach takie skostnienie sytuacji dokuczliwsze jest, niż kiedyindziej — przerzuca się bowiem na nas bezpośrednio i zaraża swoim bezwładem. Należałoby więc poruszyć całą sprawę, wstrząsnąć nią, popchnąć ją z miejsca — o ile, oczywiście, nie lubuje się pan w takiej sytuacyjnej martwocie.

Ale nie było tu wątpliwości — pan Wacław miał tego dosyć. Jeśli nie wypowiedział się wyraźnie, to chyba dlatego tylko, że nie chciał mącić monologowego charakteru, jaki nosiły zazwyczaj przemówienia pana Czołhańskiego. Wobec

tego mędrzec zaczął formułować coraz konkretniej swoje myśli.

— Niechżeż pan coś przedsięweźmie — mówił — niechżeż pan coś popełni — czy będzie to mądre, czy głupie — mniejsza o to. Chodzi tu o jakiś fakt, o akt woli. Byle co lepsze od tego zaskorupienia. Niech ją pan gdzie wywiezie, niech się pan z nią ożeni — niech pan zrobi jakieś głupstwo przynajmniej, jeśli już sytuacja nie pozwala zrobić czegoś mądrego. Będzie to w każdym bądź razie coś — a nie ta pustka i beznadziejność, która pana tak przejada i trawi. Należy wyzywać życie, igrać z niem, jeśli chce się coś z niego wydobyć. Życie — to hazard, jak każdy inny, i ktoś, kto nie stawia na czarne, czy czerwone większych stawek, nie może się niczego spodziewać. Patrzy tylko na cudze wygrane, na cudze klęski i sam nie zaznaje niczego.

Potem zabrali się do nowej partji szachów, w której pan Czołhański jak gdyby pragnął zilustrować swoją teorję hazardu. Komplikował grę, poświęcał figury, nastawiał przeciwnikowi pułapki — jednem słowem stosował taktykę przypadku, której mistrzem był niegdyś Morphy, największy romantyk szachownicy. I w rezultacie obarczył swoje sumienie szachisty pokaźną ilością matów, zabierając je z sobą do domu.

Banalności o życiu i hazardzie nie przekonały pana Wacława. Nie nosił w sobie żyłki gracza — a bez tego hazard musi się wydać bezmyślną

igraszką z losem. Ale zato poruszyły one w nim jakąś inną strunę, targnęły któremiś z ukrytych głęboko fibrów czysto uczuciowych — i oto decyzje, rodzące się dopiero i chwiejne, zaczęły się wzmacniać i krzepnąć. Nie myślał nad niemi głębiej, nie badał, dokąd go zaprowadzić mogą. Czuł tylko, że pchną jego byt w którąś stronę, że poruszą jego istnieniem. I dlatego poddał się im ulegle, z całym zapałem swej lekkomyślności.

Wieczór już zapadł, na Klątwach kończono dzienną krzątaninę i życie przenosiło się z podwórza do wnętrza domu, do izby z ławkami, stołem i dymiącemi garnkami. Tu Hanka panowała niepodzielnie, dyktowała swe prawa — wszystko było emanacją jej woli. Mikołaj jadł, co mu dawano, nie interesując się zawartością miski i niewiele mówiąc — ciągle jeszcze skupiony, jakby pod hipnozą całodziennego trudu. I nic nie wiedzieli oboje, że poza nimi, o wiorst dziesięć, w Wadowickim dworze, właśnie w tej chwili zapadły decyzje o ich losie. Bo zaraz dnia następnego wyjechał pan Wacław bryczką, aby zabrać Hankę do siebie.

XVIII.

Spotkawszy się z panem Wacławem o zmierzchu i dowiedziawszy się, że ma opuszczać Klątwy, Hanka spędziła noc niespokojną. Zupełnie inaczej, niż Mikołaj, który u jej boku spał snem sprawiedliwego. Utrudził się przez dzień cały, a i obowiązków małżonka nie zaniedbał — więc należał mu się odpoczynek. Ale Hanka nie zmrużyła oczu, choć równy oddech męża kołysał nią sennie i uspokajał. Myślała o jutrzejszym dniu i o tem, co mu powie. — Jakich tu użyć wyrazów ? Jak go przekonać? — Nie spodziewała się większego oporu, miała w ręku swoje atuty, lecz gnębiła ją perspektywa tej rozmowy. — A może wyjechać cichcem, nic mu nie mówiąc? — Nie miała jednak sumienia postąpić w ten sposób, rzucać go tak bez powodu i bez uprzedzenia. — Zawsze to przecież człowiek, mąż — i nie najgorszy. A jeśli sprzeciwi się i stanie dęba? Ma przecież do tego prawo. Jest jego żoną i musi o tem pamiętać — co wtedy? Wtedy i tak zrobi swoje, a dziedzic mu przemówi do rozumu. Prze-

cież powiedział, że Mikołaj nie ma tu nic do gadania.

I choć wreszcie sen zmorzył ją wśród nocy, to jednak nie dał wypoczynku, a ranek nie przyniósł żadnej ulgi. Mikołaj jak zwykle wyszedł w pole, zabierając z sobą parobka i nie przeczuwając, co zawisło nad jego głową. Niósł tę głowę wysoko na szerokich barach, mocno siedziała na karku. — Wytrzyma, nie ugnie się — pomyślała w ślad za nim Hanka, nie bez wewnętrznego żalu i nie bez pretensji do dziedzica, że tak chce pomiatać jej życiem, pchać nią to tu, to tam — jakby nie była z żywego ciała i kości. Lecz gdy tylko wspomniała dworską oborę, szerokie spasione krowy, stojące przy żłobach podwójnym długim szeregiem, ciężkie klucze, które zawiesi u pasa i któremi brzękać sobie będzie już od samego rana — odwrócił się ten jej chwilowy gniew i przycichł, zgaszony tem nowem dobrodziejstwem. — Wszystko przecież dziedzicowi zawdzięcza, grzechem są takie pretensje. Nic — tylko pakować się trzeba, jak jej kazał, żeby fura nie czekała, gdy zabrać ją przyjedzie ze dworu.

Wtedy zaczęły się nowe kłopoty, babskie i powszednie. Chodziło o poduszki i pościel, sukienki i fatałaszki — co brać z sobą, a co zostawić, co potrzebne — bez czego żyć można. Mikołaja ze wszystkiego obierać też nie należy — niechże ma sobie co pod tę głowę podłożyć i przykryć się czem na noc. Ale w tem też cała rozterka — bo

i braćby się chciało tę pościel, a i Mikołaja równocześnie szkoda. — Niechże mu choć trochę tego ciepła pod pierzyną zostanie. — Jedno kładła do kufra, drugie wyjmowała — to nie włazi, tamto się zmieścić nie chce. Trzeba się decydować, wybierać, bo kufer ma swoje dno, swe wymiary, które nawet na werszek nie dadzą się za nic rozszerzyć. Kolory przepływają przez jej ręce, jak woda, i z szelestem układają się w kufrze. Trzepocze niemi w powietrzu, składa, przewija — otoczył ją tuman barw, którym odgrodziła się na chwilę od świata, skąd niedługo miał nadejść Mikołaj.

Gdy nadszedł w południe, zastał ją siedzącą na zamkniętym kufrze przed domem, w trzewikach, nowej spódnicy, serdaku — jak do podróży. Zdziwił się i przestraszył. Stanął i słów w gębie zapomniał. Konie same odeszły do koryta, bo je puścił, urzeczony tym widokiem.

— Do Wadowic jadę — rzekła Hanka, widząc, że mu się nic przez gardło przepchać nie chce.

— W imię Ojca i Syna... A poco? — wymamrotał ciągle znieruchomiały jeszcze, zdrętwiały, napół niemy.

— Dziedzic mnie potrzebuje. Będę gospodynią — ciągnęła Hanka, nadrabiając głosem, który chciał jej się co chwila przełamać. Hamowała w sobie strach i wzruszenie.

Ale wkrótce Mikołaj odżył i podszedł do

niej parę kroków. Oczy mu zajaśniały jakąś myślą, jakby gorącym protestem.

— Czy to niema innych gospodyń na świecie, że ciebie chce tylko zabierać? — rzekł i Hanka poczuła, ile racji jest w tem prostem pytaniu. — Czy to znaleźć sobie innej nie może? A któż tutaj będzie gospodynią ?

Należało przerwać ten złowrogi bieg myśli, który w swych logicznych wnioskach zaprowadzić mógł nie wiedzić jak daleko, do nie wiedzieć jak groźnych konkluzji. Hanka dojrzała nagle nadchodzący opór. To też, instynktem wiedziona, wybiegła mu naprzeciw.

— Tak widać już musi być i tak będzie — zaczęła mówić szybko, nerwowo. — I na to nic nie poradzisz. We dworze mnie potrzebują, a tu na tych paru krowach Marcinowa da sobie radę. Przecież to nie za światem — te Wadowice. Będę tutaj zaglądała co tydzień i niczego ci nie zabrakuje. A teraz nie patrz na mnie, jak zbój — zakończyła agresywnym wypadem, który miał osadzić w miejscu Mikołaja, nałożyć mu kaganiec.

Choć nie zaraz się poddał Mikołaj, choć się opierał i bronił — to jednak musiał wkońcu ulec. Brakowało mu wiary w zwycięstwo — a może i sprawa nie wydawała mu się warta, by o nią walczyć do ostatka? Dość, że ustąpił łatwiej i potulniej, niż Hanka na to liczyła. Więc zwycięstwo — poczuła teraz swą władzę. Ale czy

niema goryczy na dnie tego triumfu? Łatwo się jej jakoś wyrzeka — swojej żony. Czy tak mało u niego znaczy, że walczyć nawet o nią nie chce? I tak by nic nie wywalczył — zapewne. Ale teraz było to upokorzenie i Hanka je głęboko odczuła. Bała się walki i oporu, lecz jego uległość przyjmuje, jak dotkliwą obelgę. — Sprzedałby ją, sprzedał za kilka marnych groszy.

Ale oto fura nadjeżdża, więc płakać już niema czasu. Hanka zresztą usta zacięła i nie chce pokazać, co czuje. Fornal zdejmuje czapkę i nisko jej się kłania, a w całym tym jego geście pełno złośliwych przedrwinek. — Po gospodyniem przyjechał — mówi i jeszcze raz się jej kłania, a ujrzawszy obszerny kufer, dodaje: — Kuferek też zabierzemy, jeśli się na wozie pomieści.

Mocno to Hankę ubodło — zapamięta mu to na przyszłość i odpłaci. Ale teraz trzeba się mościć na wozie i nie zapomnieć nic z tego, co zabrać postanowiła. A więc kufer i chustkę i zimowy saczek. Jeszcze jakieś zawiniątko do ręki — i oto może już jechać.

Mikołaj stoi i przygląda się tym przygotowaniom. Widzi, jak Hanka na wóz włazi i mości sobie siedzenie ze słomy. Kufer sznurem przywiązali z tyłu, żeby im po drodze nie zleciał, chustkę położyła na kolanach, w nogach umiescila saczek, a w ręku trzyma zawiniątko — i teraz się na niego ogląda. Marcinowa też wyszła z chlewów, by popatrzeć na ten dziwny odjazd. —

Nie codzień przecież widzieć można takie widowisko.

A Mikołaj ciągle jeszcze stoi. I dopiero, jak ruszać mieli, postąpił kilka kroków. Lecz po samych tych krokach wiedzieć trudno, co też uczynić zamierza. Bo i nic wielkiego — w istocie. Podszedł tylko do wozu, groźniej nachmurzony, niż zwykle, podniósł głowę i zapytał Hanki:

— Więc jedziesz ?

— Pewnie, że jadę. Czyś ślepy ?

Tyle mu tylko odrzekła — nic więcej. A on wtedy jak nie bluźnie jej tem jednem słowem — całkiem, jakby jej dał policzek. Tem plugawem, obelżywem słowem, co na zawsze zostaje w pamięci. Hanka zakryła twarz chustką, a fornal zaciął konie. Nawet Marcinowa umknęła, żeby czegoś więcej nie usłyszeć, choć ucho mało czułe miała na te rzeczy.

Mikołaj pozostał na podwórzu sam, ale nie patrzył za odjeżdżającymi. I tak możeby nic nie dojrzał, jeśli mu pociemniało w oczach? Wszedł do stajni, zajrzał do krów. Gorzko mu było w ustach od tego słowa, które aż z pod serca się wydarło, aby swym wielkim krzykiem zagłuszyć czynioną mu krzywdę. Nie słuchał dalekiego turkotu, choć co chwila odżywał na nowo w podmuchach wiatru — coraz cichszy, ale jeszcze wyraźny i świeży. Nie słuchał też bicia swego serca, choć mogłoby mu powiedzieć, że cierpi. Ogłuszył go ten wyjazd, zamiotał nim, jak słomianym cho-

chołem. I oto teraz ziemia mu się u nóg otwarła, a on nad tą przepaścią się chwieje — i nie ma sił, aby w nią skoczyć, ani odwagi, by się ratować ucieczką. Sam pozostał na cichej zagrodzie, a gdy wreszcie opuścił duszną stajnię i iść zaczął ciężko przez podwórze — tamci do Wadowic już dojeżdżali zapewne. Dobrą parę dworskich koni mieli w wozie, a fornalowi śpieszno było, jak zwykle, do domu.

XIX.

Przyjazd Hanki dla nikogo w Wadowicach nie był świętem — ani dla niej samej. Był raczej tak samo wstydliwy, jak niejedna ucieczka. Bo i przyjazdy i ucieczki bywają różnorakie. A ten to już nie mógł należeć do wesołych.

Nie mógł — a oto powody. Ze strony pana Wacława była to nowa próba kliniczna — nic więcej. A czyż zabiegi na sobie samym mogą w kimś wzniecić entuzjazm? Hanka widziała w tem zrządzenie losu, który ma nie zawsze lekką rękę, a ponadto obowiązek wdzięczności już jej się zaczynał przejadać. — Pewnie, że gospodynią być chciała — ale gdybyż to można było być gospodynią tylko — niczem więcej? — No a ludzie, już zasiedziali w Wadowicach, nie mogli życzliwie patrzeć na to wtargnięcie w ich świat, gdzie i tak już niejednemu było ciasno. Niejednemu pokrzyżowało to chytre plany i słodkie nadzieje. — I któż to je pokrzyżował? — Dziewczyna od wideł i gnoju, która się kocha z dziedzicem.

Taka Wojtaska, naprzykład — czyż nie mogła się spodziewać, że jej sczasem klucze oddadzą? Stara i doświadczona, gderliwa i pracowita — sama cały ruch robiła na babskiem gospodarstwie. Masło biła, kury macała, wyciskała twaróg. że nie zapominała i o sobie, że cichaczem coś niecoś uszczknęła — wiedzieli wszyscy. Ale któż mógł jej to mieć za złe? Jeden dziedzic chyba — a ten dbał o to, jak o zeszłoroczny śnieg.

Inni także mieli swoje planiki, projekty, nadzieje — a ten jeden przyjazd wchodził im wszystkim w paradę. Zawsze to nowy czynnik, z którym się trzeba liczyć i uwzględniać go w swych kalkulacjach — niektóre zaczynać nawet od początku. Zaczęły grać małe ambicyjki, mocno poruszone tem wydarzeniem. — Nowa gospodyni — może jakie nowe porządki zaprowadzać zechce? — Nastawiono uszy, oczy wybałuszono. W każdej chwili można coś ważnego podsłuchać, podpatrzeć coś ciekawego. Zapanowała we dworze atmosfera plotek, donosów i przyczajonej intrygi.

Hanka wpadła w tę atmosferę odrazu z wieczora, gdy tylko w Wadowicach stanęła. Dano jej pokój w służbowem skrzydle dworu, bo tak rozporządził sam dziedzic. Dzielił ich zawikłany system zakamarków, korytarzy i korytarzyków, jakby stworzonych na to, by komplikować życie mieszkańców, których złączył jeden wspólny dach. Idąc tym wymyślnym labiryntem szło się

przez sfery gęstych cieni, co jak kotary zwisały ciężko z sufitów, wkraczało się za jakiemś załamaniem korytarza w krąg światła dziennego, które oślepiało nagle, kłując blaskiem w oczy — a potem, za chwilę, znowu wchodziłeś jakby w otchłań piwnicznego lochu i ogarniał cię ten sam półmrok, półcień i półblask. Nim się przeszło ze skrzydła służbowego na pańskie, doznać trzeba było całego szeregu takich kolejnych oślepień — raz blaskiem, a raz ciemnością — naprzemian. A ponadto, idąc tym niepewnym przybytkiem cieni i zaśniedziałych kątów, doznawałeś całej symfonji zapachów. Uderzały niektóre i wwiercały się z całą siłą w mózg, przyprawiając aż o zawrót głowy. Inne zlekka tylko muskały błonę śluzową nosa, wywołując niepokojące swędzenie. Była ich niezliczona rozmaitość — zapachów, woni, odorów. Jedne — leniwe i ciężkie — drzemały nisko przy ziemi, po kątach i zakamarkach. Trzeba je było poruszyć, zaniepokoić, by wreszcie wypełzły z ukrycia i rozlały się stęchłym zaduchem. Inne znowu bujały w powietrzu lekkie i eteryczne, szukając jakgdyby słońca, subtelne — jakby z tęsknoty do niego zrodzone. Kwaśne, gorzkie, słodkie aż do mdłości, odurzające i cierpkie, mdłe i rzeźwiące — wszystkie zbiegały się tu zewsząd w korytarzu, z pralni, spiżarni i mleczarni, z pokoi służbowych, ze strychu, rupieciarni, składów i składzików, z pod starych szaf i komód, kufrów, skrzyń i koszy, z pod porzuconych i but-

wiejących mebli, z pod połamanych i nadpróchniałych gratów. Każde dziesięciolecie zostawiało tu jakieś resztki swej wyżytej egzystencji i wszystkie one składały się na ten ciężki konglomerat woni — syntetyczną duszę pokoleń.

Tego wieczoru nie widziała się Hanka z dziedzicem. Siedział w gabinecie, czytał i nie myślał wzywać jej do siebie. Zastała swój pokój czysto wyprzątnięty, a w nim szafę, stół, parę krzeseł i łóżko pięknie zaścielone. Przyjrzała się tym dworskim poduszkom. — Niczego — miękkie, puszyste. Ale woli już ona spać na swoich, bo zawsze będzie miała sen lepszy. A i niech ludzie wiedzą, że własnego jej nic nie brakuje, że nie przyszła się tutaj dorabiać. — Więc otwiera kufer, wyciąga pościel i poduszki, by je zaraz na łóżku ułożyć i przygotować się na noc.

Janka, dziewczyna z kuchni, przyniosła jej dymiącą kolację i zastała Hankę przy szafie, jak wieszała w niej swoje sukienki. Były kolorowe, biły w oczy nawet przy zakopconej lampie. — A co dopiero na słońcu — jak to pięknie muszą się mienić. — Z zazdrością patrzyła Janka na to Hanczyne bogactwo. — Brzuchem to zarobiła sobie — myśli ze złością, ale nie bardzo wiadomo, jakby to było z nią samą, gdyby się trafiła okazja? I cała ta złość może z braku okazji pochodzi? Znały się przecież już dawno, patrzyła od początku na tę miłość Hanki i dziedzica i pamięta dobrze, jak to się widłami gnój wygarniało

z obory. Ale teraz jest pełna szacunku i na poufałości sobie nie pozwala. Nawet po imieniu jej nie mówi i nazywa Hankę gospodynią, bo jej słowo pani przez gardło jeszcze przejść nie chce. Złość ją ciśnie w środku, że to takiej teraz usługiwać musi, ale na sukienki patrzy i radaby nawiązać rozmowę.

Hanka ją przyjęła życzliwie i od rozmowy nie stroni. Owszem — wypytuje o znajomych, których tu, odchodząc, zostawiła, radaby coś wiedzieć o tych i o tamtych, jak się tym i owym powodzi. Janka jest chodzącą kroniką, plotki się jej mocno trzymają — to też na dobre się rozgadały, choć kolacja stygnie na stole. — Trzeba będzie tu z niejednem zrobić porządek — powiada na odchodnem Janka. — Bo i Wojtaska ma coś za długie ręce i stróż ciągnie drzewa, ile może. — Zawsze to bezpieczniej innych w plotkowaniu uprzedzić, a Wojtaska i tak jej jutro napewno nie oszczędzi.

Ale Wojtaska też widać wolała nie czekać, bo przyszła wkrótce, chuda i wysuszona, w pantoflach na gołych piszczelach. Przysiadła sobie na krześle. — Taka jestem zmordowana — mówi — takem się dziś nalatała — skarży się płaczliwym głosem. — Z dziewczyn żadnej się nie ma pociechy, w głowie im tylko kawalery. A z tej Janki to najgorszy latawiec. — I opowiada dalej, jak to wszystko na jej głowie spoczywa — całe gospodarstwo — i na jej ręce tylko patrzy, bo

żadna się do niczego z własnej woli przyłożyć nie chce. Odkąd tamtą gospodynię odprawili, nie może dać sobie rady. Trzeba będzie ostro się wziąć do dziewczyn, bo strasznie się porozpuszczały. — Będziecie mieli, gosposiu, prawdziwe urwanie głowy — mówi, pojękując — nim się wszystkiego do ładu nie doprowadzi. Ale mnie się tylko, starej, słuchajcie, a już wam dobrze doradzę. Znam ludzi, po świecie bywałam i wiem dobrze, gdzie jakie porządki.

Rozgląda się po pokoju, patrzy na łóżko i na hanczyną pościel, na niedomkniętą jeszcze szafę. Wreszcie przy oknie zatrzymuje swoje więdnące spojrzenie. I w tej chwili gwałtownie wybucha:

— A wycieruch, a darmozjad przeklęty! Mówiłam jej firanki pozawieszać. Własnemi rękami wyprałam. Nawet o was, taki podlec, dbać nie chce. — I tu znowu popłynęły żale na Jankę i na dziewczęta, co giziłyby się tylko dzień cały, a do roboty żadna z dobrej woli nie zajrzy. Hanka jej przytakuje — co ma robić? — i wszystkiemu przysłuchuje się pilnie. — Mogą się potem przydać takie wiadomości. — Ale w tym rozgardjaszu zawsze jej jakoś obco i nie wie sama, komu wierzyć. Może zresztą obu wierzyć — jednej i drugiej — że Wojtaska kradnie, a Janka leń i latawiec.

Z tem się spać położyła, niewiele nawet ruszywszy kolacji. Słyszała jeszcze przez chwilę odgłosy: — z kuchni — brzęk rondli, z mleczarni — warczenie centryfugi. Potem ucichło wszyst-

ko — ale nie prędko zasnęła. Gniotła ją ta nowość miejsca, niezwykłość otoczenia. Nadlatywały szmery i szelesty, których sobie wytłumaczyć nie mogła, — gdzieś z pod podłogi, z pod szafy, z za drzwi, wychodzących na korytarz. W górze nad sobą słyszała niepokojące odgłosy, tajemniczą bieganinę jakichś drobnych kroków. Bała się zgasić lampę, aby nie zostać w ciemności. Czuła się opuszczona, zastraszająco sama. — Gdzie ja jestem? Pocom tu przyjechała? — Próbowała się modlić, ale nawet dobrze znane słowa pacierza wydawały się jej obce i dalekie. Pustka nad nią i pod nią, pustka koło niej. Zaczęła lecieć w tę próżnię, wirować dokoła swych lęków, i wreszcie zapadła w nią cała, jak w ciepły, rozfalowany puch.

Był to sen orzeźwiający i głęboki — ale nagle go coś zmąciło. Usłyszała dalekie i przytłumione echo jakby zatrzaskiwanych drzwi. A potem odgłos kroków, odległy najpierw, ledwie uchwytny, wkrótce coraz wyraźniejszy i bliższy. Rozchodził się po wszystkich pokojach i korytarzach, przesiąkał przez wszystkie drzwi i ściany — i oto dotarł aż tu do niej, wdzierając się w jej sen. Szedł jak gdyby ze wszystkich stron, koncentrycznie, zatrzymując się w jej pokoju u łóżka. Czuła, że jest już teraz blisko, że zwolna się materjalizuje.

I wreszcie ocknęła się nagle — ktoś wchodził do jej pokoju, ostrożnie otwierając drzwi. Siad-

ła na łóżku i cała zadygotała. Resztki snu i przerażenie obezwładniły ją na chwilę, a w ciemnościach nic dostrzec nie mogła. Ktoś stanął w otwartych drzwiach i nazwał ją po imieniu — jakiś znajomy głos. — Czyżby to głos dziedzica? — Tak, to on, niech się nie boi niczego. Chciał zobaczyć, czy przyjechała. — I oto ów ktoś podchodzi i staje tuż przy jej łóżku. Rozróżnia już ciemną postać, jeszcze poznać dziedzica nie może, ale już wie, że nie jest to nikt inny. Oddycha z wielką ulgą, jakby się śmierci wydarła.

Pan Wacław przebrnął przez korytarze szczęśliwie. Zaledwie parę razy potrącił o jakiś mebel, wywołując wśród nocy niepotrzebny hałas. Nie spotkał się też z nikim, więc mógł liczyć, że jego nocna wyprawa pozostanie niepostrzeżona. A było to dosyć dziwne, zważywszy, że korytarze są zawsze głównemi arterjami wszelakich siedzib i domostw. Teraz przysiadł sobie na łóżku i gawędzą o tem i owem. Hanka mu opowiada, jak odbył się ten jej wyjazd i co mówił na to Mikołaj. — Złościł się na początku, opierał, ale potem wszystko dobrze poszło. — Nie wspominała tylko o tem słowie, jakiem ją poczęstował.

Z jej przyjazdu rad jest pan Wacław — daje jej tego dowody. — Czyż nie lepiej, że tu u niego zamieszka? Ten korytarz nie jest taki długi, po nocy nawet przejść go można. Zaraz jutro każe jej oddać klucze od śpiżarni, mleczarni i lochu. Będzie mu się tu uwijać po całem gospodarstwie.

Ale gdy szedł do niej teraz, nie był pewien, czy ją samą w pokoju zastanie. Mogła przecież na noc wziąć do siebie jaką dziewczynę. — I coby wtedy było? — Ano, musiałby zawracać od progu. — Hanka śmieje się na samą myśl o tem. — I wstyd byłby panu dziedzicowi, że się tak po nocy wałęsa.

Nazajutrz rano Wojtaska przyszła ją budzić. Nie za wcześnie, bo pierwszy to dopiero dzień, ale i nie za późno, żeby zanadto nie zaspała. Znów te same swoje żale rozwodzi na dziewczyny, na robotę, która się na nią zwaliła. I stróż leni się wodę przywozić i magazynier grymasi, kasza go w zęby kłuje. — Nic gorszego niema, jak kawalerów stołować. — A potem, gdy już z tem wreszcie skończyła, mówi: — Alem się przelękła dziś w nocy. Całkiem, jakby ktoś po korytarzu chodził. Czy to może wy, gosposiu, za jaką potrzebą? — Och nie, Hanka spała, jak zabita, i nie słyszała nic w nocy. Pewnie się Wojtasce przywidziało. — Nie, nie — słyszała napewno — chodził, stukał, jakieś drzwi otwierał. — Ano, jak nie duch, to już chyba człowiek, a może i złodziej jaki — mówi Hanka, ale woli jej w oczy nie patrzeć, bo by się jeszcze czego domyśliła, czarownica.

XX.

Następnego już dnia Hanka pobrzękiwała kluczami. Zawiesiła je tymczasem pod fartuchem, żeby ludzi w oczy nie kłuły. — Zawsze ludzkiej zazdrości bezpieczniej nie wyzywać. — Trzeba się było wciągnąć do gospodarstwa, a nie bardzo wiedziała, jak tu się brać do czego. To też Wojtaska była jej bardzo pomocna. Kuchnia i spiżarnia, mleczarnia i piwnice, chlewy i kurniki — czyż można się w tem wszystkiem samej wyznać? Nawet nie wiedziała, który do czego z tych kluczy, brzęczących jej przy pasie. Chodziłaby, jak kołowata, gdyby nie rady tej starej. Miały one swą mądrość, nabytą z latami doświadczenia, i należało je cenić. To też wsłuchiwała się w nie Hanka, ceniąc je po swojemu.

Nie zawsze były to jednak rady rzeczowe i istotnie gospodarskie. Niekiedy — często nawet — były wymierzone ostrym sztychem w kogoś, z kim Wojtaska miała na pieńku — w Jankę, w stróża, w świniarkę. I wówczas Hanka musiała politykować — starej nie urazić, a innym także

nie szkodzić, by złości ludzkiej nie ściągać na siebie. I tak jej sytaucja była już dosyć drażliwa i łatwo było ją byle czem dosięgnąć, choć oparcie miała u dziedzica.

że stróż Bałanda drzewo ściąga — wiedzą wszyscy. Długo się taka rzecz nie ukryje. Wiedzą — a więc i mówią. Często klucz od drewutni zostawał u niego na noc — i czyż wtedy nie może tam gospodarować po swojemu? Nikt go nie skontroluje. Trzeba więc nowy porządek zaprowadzić: — klucz ma być odnoszony z wieczora.

— Ależ owszem — Bałanda się nie sprzeciwia. — Robił tak zawsze za poprzedniej gospodyni. Ale gdy ta odeszła, nie mógł przecież klucza odnosić takiej Wojtasce, której ręce do wszystkiego swędzą. Wolałby djabłu samemu. Przecież drzewo na jego odpowiedzialności.

Doszło to do Wojtaski. — Więc ona gorsza od djabła? I kto to mówi? — Bałanda, pierwszy złodziej na całym folwarku. A do tego leń, ojciec takich, jak i on sam, nierobów. Któremu baba raz na tydzień kłaki ze łba wydziera, że nie wiele się już ich tam zostało. Patrzcie — i to on się tak o niej odzywa!

Lecz i Wojtaskę łatwo dosięgnąć można — i Bałandzie to się udaje. — A kto kury po nocy podbiera? Sam widziałem. A kto twaróg z mleczarni wynosi? Wszyscy ludzie o tem gadają, to chyba już dobrze widzieli. I ta kogoś nazywa złodziejem! Czy to z Małką nie prowadzi handelku,

mąki i cukru nie wykrada? Co tydzień pełny podołek. A i to jeszcze nie wszystko, mógłby jej niejedno przypomnieć, bo od samej młodości była taka. Znają się przecież nie od dzisiaj. Nie z jednego już dworu przegnali ją za złodziejstwo.

Tu już się Wojtaska rozjadła i przezywa wszystkie piekielne moce. Tylko że Bałanda stanął i nie ustępuje. — Co tam znaczy tych kilka jego wiórek przy takiem masowem złodziejstwie? że nikt jej za rękę nie złapał — to jeszcze ją nieraz przychwycą, ale wtedy już się wszystko wyda — on w tem będzie. Tylko zajrzyjcie pod jej siennik — mówi. Wojtaska wychodzi z siebie. — Takie oszczerstwa! Czy to Boga na niebie niema, żeby język ukręcił temu łgarzowi? — Przysięga się na wszystko: — Niech całe łóżko przewrócą! — Zbladła i pożółkła, pianę ma na wargach ze złości — ale i ona nie chce zejść z pola i chce mieć ostatnie słowo.

Janka za stróżem trzyma. — Zawsze z nim lepiej być w zgodzie, jeśli czasem na randki po nocy się wychodzi. — To też rada, że przypiekli Wojtasce. — Święta prawda — mówi do Hanki. — Zajrzeć tylko do tego łóżka, a niejedno by się znalazło. — Hanka zaglądać tam nie myśli, bo Wojtaska jej tymczasem potrzebna, i chce robić między nimi zgodę. Ale nie łatwa to rzecz — zanadto się oboje rozjedli. — Pogodzą się — mówi Janka — kruk krukowi oka nie wykole.

Ano — jeśli kruki oboje, to najlepiej ich zo-

stawić w spokoju i palców między drzwi nie wtykać. Tak podobno nakazuje rozsądek. Hanka ma go dosyć — dała już tego dowody — więc od wszystkich kłótni trzyma się na uboczu. Ma własnych trosk pod dostatkiem i nie chce ich sobie przysparzać. — Stróża z drzewem trzeba będzie pilnować, a i Wojtaskę mieć na oku z tym twarogiem i temi jajami. — Mocno się już przejmuje swoją rolą. Nie może przecież zawieść zaufania, jakiem ją dziedzic obdarza. Ona taką Wojtaską nie będzie — napewno. Musi tylko w tem wszystkiem lepiej się rozejrzeć, a już wtedy zaprowadzi porządek. — Nie okpią jej i nie oszwabią.

Idzie więc do obory, bo tam już południowy udój. Krowy stoją sobie, spokojne i niefrasobliwe, ledwie ogonami merdając od niechcenia. Przeżuwają świeżą paszę, którą im wrzucono za drabiny, zlekka tylko pobrzękując łańcuchami. Mogłyby tak stać wieczność całą i jeszcze nie skończyć tego żucia. Hanka też pobrzękuje, ale kluczami pod fartuchem, i idzie środkiem obory po czystej i suchej ściółce. Dojarki wparły się głowami w spasione brzuchy krów i ciągną za białe wymiona, a mleko tryska do szkopków z rytmicznym przerywanym szelestem. I gdy już szkopek jest pełny, wlewają jego zawartość do metalowych baniek, ustawionych na środku obory. A idąc tak, Hanka czuje z tyłu za sobą spojrzenia, bo każda odrywa się od dojenia, by tylko popatrzeć na nią. Jeszcze

się przecież dobrze jej nie przyjrzały. — Lecz nie zwraca na to uwagi, jest gospodynią — idzie środkiem, jakby ich tutaj nie było.

Potem iść musi do mleczarni, gdzie przepuszczać będą wydojone mleko. Po drodze zajrzy do chlewów i na chwilę wpadnie do kurnika. — Krzątaniny takiej jest dosyć, czuć ją dobrze w nogach z wieczora. — Centryfuga stoi gotowa, czysta i wymuskana — świeci się od tej czystości. Aż człowiekowi wstyd patrzeć na to cacko, kiedy sam brudem porasta. Wlewają mleko do kadzi i dziewczyna chwyta za korbę. Trzeba kręcić powoli i równo, spokojnie i bez pośpiechu — nie każda umie uchwycić rytm właściwy. Ale wtedy, gdy już ją rozkręcono, centryfuga wydaje z siebie szmerek, jak mruczenie pieszczonego kota. Znaczy to, że wszystko w porządku — talerze wyczyszczone, a trybom dodano oliwy.

Potem jeszcze wiele różnych zajęć i wiele przeróżnych kłopotów — bić masło, z śpiżarni wydawać, karmić kury, indyki i świnie. Samej się tego nie robi — na to są przecież dziewczyny — ale wglądnąć we wszystko trzeba, ujadać się o każdą drobnostkę. Nie zawsze jedno słowo takiej dziewczynie wystarczy. I początki są najtrudniejsze — każda taka robiłaby po swojemu.

Spotkała się też z panem Brzózką, magazynierem, właśnie w chwili, gdy do obory zajrzeć chciała. Wyszczerzył do niej zęby, jak do starej znajomej. — I znowuś tutaj u nas? — mówi do

niej tak wprost po imieniu, jakby tu znowu przyszła do roboty. Ofuknęła go, dobrze osadziła na miejscu. — Niech nie myśli, że jest ciągle taką samą dziewczyną od wideł. — No, no, gosposiu, proszę się tylko nie dąsać — mówi pojednawczo Brzózka, ciągle w nią oczy wlepiając. — Przecież zgoda będzie między nami, jak dawniej. Tylko masła niech gosposia nie żałuje, bo chcą mnie tutaj zagłodzić. — Wiadoma rzecz — magazynierowi nie dogodzi, choćby dostał faskę masła na dzień — zawsze będzie mu jeszcze za mało. Ale, że zrozumiał, i mówi do niej uprzejmie, więc i Hanka się do niego uśmiecha, zagaduje o to i owo. — Nie może przecież robić z siebie odludka.

Przeciągała się ta ich rozmowa jakoś długo, choć właściwie nic nie mieli sobie do powiedzenia. że tam kiedyś sprzątała mu w pokoiku, że tam parę razy przyłapali ich na magazynie — no, to co? — nie będą przecież wspominać takich starych rzeczy. Wiele się od tego czasu zmieniło i chyba Brzózka nie zechce zaczynać od początku. Coby na to dziedzic powiedział? — napewnoby mu ludzie donieśli. Ale się patrzy na nią, uśmiecha i nie chce jej puszczać od siebie. — Już mu pewnie o to masło tak chodzi.

Masło, nie masło — a Hanka jest z siebie rada. Niby to Brzózka wcale jej nie w głowie, ale zawsze chłopiec niczego i przyjemnie z nim porozmawiać. Naprawdę to nigdy nic między sobą

nie mieli i tylko dziedzic coś sobie imaginował. A że teraz trochę się do niej zaleca, więc cieplej jej się robi na duszy. Trudno — przecież nie jest z kamienia.

Za dużo miała zajęcia, żeby sobie zawracać tem głowę. Cały dzień trzeba się zwijać — więc chybaby tylko wieczorem? Ale wieczorem znów dziedzic może ją wezwać do siebie, żeby to — niby — jakieś jej dać polecenie. A wiadomo, co z tego potem wynika, że się tak na poleceniach nie kończy. Albo i sam do niej przyjdzie przez ten długi, ciemny korytarz, kiedy już wszyscy spać pójdą i cicho się zrobi we dworze. A więc nawet wieczoru, prawdę mówiąc, nie ma wolnego.

To też nie myśli już o tem — co ją tam Brzózka obchodzi — całą głową i ciałem pochłonięta przez gospodarskie troski. Musi sama sprawdzić to i owo, zajrzeć tu, tam i ówdzie — Wojtaski nie spuszczać z oczu, stróża i drzewa pilnować. Tak schodzi jej cały dzień, a w nocy odpocząć trzeba.

XXI.

Mikołaj nie odpoczywał na Klątwach, bo praca napierała na niego — coraz nowa i zawsze nagląca. Ziemia niejednego żąda dla siebie, jeśli wzamian ma coś dać zato. Tylko wzajemnością można coś z niej wydobyć. Mikołaj wiedział o tem, jak każdy, kto się z nią tylko zetknie — to też pracował, by wydrzeć jej tę wzajemność.

A czy miał coś więcej ponad dwie swoje ręce, ponad nogi, któremi deptał po roli? Wydawało mu się niekiedy, że osierociał zupełnie, że zostawiono go samego twarzą w twarz z tą ziemią. — Oto po jednej stronie stoi on, słaby, że ledwie mu sił na dzienną pracę wystarcza — a po tej drugiej ona, ziemia, szeroka aż do widnokręgów, lepka i urodzajna, szczodra i tyraniczna, potrzebująca tysięcy takich, jakie on ma, ramion. I cóż te jego znaczą wobec ogromu, który mu się pod nogami układa? Nic — tak mało, że wielki strach go ogarniał czasami. I gdyby nie ten upór, nie to przywiązanie, które się w nim gdzieś narodzi-

ło nagle i nieodparcie — rzuciłby wszystko, pędzony przez lęk w ślepą, paniczną ucieczkę.

Nieobecność Hanki odczuwał, jak ranę, która mu się zabliźnić nie chciała. Niewielka to rana, ani tembardziej śmiertelna, ale dokucza zato, łamie i pobolewa, zwłaszcza wieczorem, gdy już pracę trzeba kończyć było. Wtedy mięśnie przeciągały się w odpoczynku i przemawiała dusza. Nieśmiało, daleka od buntu, ale natarczywie — mogła gnębić tak aż do późnej nocy. że oto powinien być tu przy nim ktoś, kogo niema, ktoś jak on mizerny i słaby, bynajmniej nie niezbędny i wcale nie konieczny, lecz którego zawsze brakuje. że oto, gdziekolwiek się ruszy w obrębie zagrody i domu, czuje wszędzie koło siebie tę niewielką próżnię, gdzie mały człowiek zaledwie mógłby się pomieścić, i że nigdy nic mu się nie trafia pod ręką, czem możnaby wypełnić tę próżnię, żeby nie szła tak za nim wszędzie. Dopiero noc przynosiła mu niekiedy ulgę, jeśli sen był twardy i orzeźwiający.

Potem powracał dzień, a razem z dniem znowu praca. Orało się teraz pola na zimę, woziło i trzęsło nawóz. Mikołaj nie był sam, miał do pomocy parobka, który mu konie obrządzał i pomagał w każdej robocie. Lecz mimo to trzeba było rękawy zakasać, bo nigdy rąk za dużo w gospodarstwie. Jedna robota goni drugą, konieczność depcze po piętach potrzebie. I tak w kółko —

dzień za dniem, noc przychodziła za nocą — dzień w bezprzerywanej pracy, noc pogrążona w śnie.

Wieczorami rozmawiali czasem z Marcinową, która pod nieobecność Hanki była gospodynią na osiedlu. I ona miała dzień szczodrze wypełniony oborą, chlewnią i kurnikiem. Dopiero przy kolacji rozgadać się mogła na dobre, bo obiad jedli w pośpiechu, więcej pracą przerwaną zajęci, niż sobą. A wieczór już ich nie podpędzał do niczego, chyba tylko w ciepłe pierzyny, ale z tem można się nie śpieszyć, niech się trochę same zagrzeją.

Mówili o tem i owem, jak to bywa między ludźmi, którym życie upływa na rzeczach niewymyślnych i prostych. Zahaczali o wszystko, co im się przewinęło w ciągu dnia, nie kierując się żadnym wyborem, błądząc z tematu na temat. I czyż czasami nie mieli potrącić o Hankę? Przypadkowo, mimowoli — bo starali się ją wymijać. — Była to jednak rzecz drażliwa — ta żona, która żoną być przestała, ta gospodyni, rzucająca swoje, by iść na pańskie i cudze. — Ale zdarzało się, że natrafiali i na nią, bo była obecna w ich myślach, zupełnie jak nastąpić można na robaka, pełznącego po drodze, choć rozdeptać go nie chciałoby się wcale. Tak to właśnie z Hanką bywało. Obiecywała zaglądać na osiedle, ale nie była tu jeszcze ani razu, choć niedługo już tydzień się skończy. Może odstrasza ją to słowo, które jej rzucił na odjezdnem? Tam już może o niem za-

pomniała, ale tu na nowo mogłoby się odrodzić powtórną i zjadliwą goryczą. I dlatego może lęka się, nie przyjeżdża? Bo chyba nie chce już tak całkiem rzucać swej gospodarki? — Myśl taka stawała czasami przed Mikołajem, ale było to tylko widmo, które płoszył zaraz i przepędzał od siebie. — Czy to do czego podobne — swoje rzucać dla cudzego? — Wydawało mu się to jakiemś bluźnierstwem, szyderczem naigrawaniem się z tego, co jest najlepsze w człowieku, co on sam przechowuje w swem wnętrzu, z czem kładzie się spać wieczorem i co odnajduje rano tak samo nienaruszone. — I ona miałaby to coś wyrzucić z siebie, podeptać dla dziedzicowej fantazji? — Widział przecież, jak tutaj była, krzątała się za swem szczęściem — wydawała się tem zajęta, zatroskana. — Czyżby się w niej co teraz przemieniło? — Rozwiązywał w sobie tę zagadkę i zaplątywał się w niej, choć odpowiedź mogła być tylko jedna — że to wszystko proste przywiedzenie, że zostać tak nie może, że powróci tu napewno na osiedle, choćby całe tygodnie jeszcze mijać miały. Są rzeczy tak silne, że nawet najoporniejszych nagną do siebie i przemogą.

Ale w rozmowie wypadało to trochę inaczej i czasem mogło nawet zadrasnąć boleśnie. Ot, Marcinowa taka — wspomni niby to przypadkiem, niechcący — a jednak w środku ogień się zaraz rozleje. Zapyta o to, o tamto, bo sama decydować nie chce. — Mówcie wy, jak ma być — mówi do

Mikołaja — kiedy niema gospodyni w domu. — Chodzi tu o takie rzeczy, o jakichby nawet nie słyszał, gdyby Hanka była na gospodarstwie — a teraz sam głowę łamać musi. Coś o krowach, o świniach, o gęsiach, albo kurach — rzeczy babskie, istotnie nie na męski rozum. I musiał im radzić jakoś, choć nie był do nich stworzony. Lecz nie o te kłopoty chodziło, o te, które mu przybyły, oprócz jego własnych gospodarskich — z nimi jeszcze jakoś się upora. Chodziło o coś innego, o słowa, przypominające cudzą nieobecność. I jeszcze o to, że ktoś, wymawiając te zwykłe wyrazy, mógł się mu przyglądać z jakąś utajoną, źle maskowaną ciekawością. — Ano, zobaczymy, jak to mu o niej wspomnę — zdawały się mówić oczy Marcinowej, gdy je podnosiła na niego, pytając i czekając odpowiedzi.

Potem zaczynało być gorzej, bo Marcinowa nie chciała już na tem poprzestać. Gospodarstwo gospodarstwem — ale zadawała mu jeszcze inne pytania. I te inne zmierzały już w samo sedno rzeczy. — Niby poco siedzi w tych Wadowicach, kiedy ma tutaj gospodarkę? — Oho, sama dobrze wiedziała, co o tem myśleć, wiedziała, jak rzeczy stoją. Ale taka to już babska nawyczka innych wciągać w swoje rozważania, zwłaszcza, jeśli ten ktoś powinien mieć własne zdanie w danej sprawie, choćby dlatego, że jest ni mniej ni więcej — tylko mężem. Więc pytała go, a on jej miał odpowiadać. — Lecz jak tu tłumaczyć tej babie, jak

Hankę usprawiedliwiać i jak siebie? — W oczach ludzkich zawsze to inaczej wypadnie — nie zrozumieją jego uległej słabości. Więc tłumaczył to całkiem poprostu. — Czemu nie ma zarobić trochę pieniędzy we dworze, jeśli tu, na Klątwach, i tak sami dadzą sobie radę? O gotówkę teraz tak trudno, każdy grosz bardzo się przyda. — Więc chodzi tu o te grosze? — burczy Marcinowa pod nosem. — Jeśli tak, to wszystko w porządku. Ale dawała mu wyraźnie poznać, że wcale w to gadanie nie wierzy, że wie coś więcej i tymczasem zachowa dla siebie. — Ba, żeby tylko o grosze tam chodziło!

I przychodziły chwile, że zwymyślałby tę starą jędzę, przepędził na cztery wiatry, żeby mu tu ślepiami nie świeciła. Ale cóż — przyjdzie druga i będzie go pytać tak samo: — Czemu siedzi we dworze, kiedy ma tutaj swoje? — Wszystkim to w oczy lezie, wszyscy chcą to sobie tłumaczyć — a on jeden musi tak stać do końca i kłamać przed sobą i światem. Gorycz w nim wielka wzbierała na myśl, że nie prędko to się jeszcze skończy. — I czy się skończy wogóle? — A mógłby uniknąć tego, gdyby jej nie puścił od siebie i pięścią zagrodził drogę. Teraz to już trudno odrobić, gdy raz jeden cugli popuścił. Nie pójdzie przecież do dworu, by ją siłą stamtąd zabierać.

Jakież więc lekarstwo znajdzie on na te troski? Sam chyba nie znajdzie żadnego — ręce mu opadały. Ale przyjdzie może coś do niego zze-

wnątrz i Hanka to coś sama przyniesie? Więc też wyglądał jej, licząc dni, które odchodziły coraz krótsze, coraz szybciej gasnąc nad zachodem. Lecz, gdy wreszcie doczekał się tego przyjazdu, to nie przyniósł mu on wcale tej ulgi, jakiej się po nim spodziewał. Naodwrót — poniekąd pogłębił wątpliwości. Bo czyż mógł oczekiwać, że się to tak głupio odbędzie? — Którejś niedzieli zajechał wózek i wysiadła z niego Hanka. Ta sama i taka sama — niewiele się zmieniła na tych dworskich struclach. Bo podobno nic tam innego nie jedzą wedle relacji Marcinowej. I śmietana też nie wpłynęła na jej wygląd, choć nic innego podobno tam nie pijają. Tak samo drobna, o dużych szarych oczach, zgrabna, nie pełna, a i nie chuda w sobie — poruszała się wolno z pewnym wdziękiem, którego Mikołaj nie dostrzegał chyba, bo był to wdzięk zbyt niematerjalny i subtelny. Tak samo nic nie wiedziała o nim Hanka, choć był, trwał razem z jej młodością i oddawał jej po ludziach usługi. Teraz użyła go, by z wozu zeskoczyć i przejść do domu, gdzie zastała Mikołaja, siedzącego w odświętnem ubraniu, w temsamem, które kiedyś wdział na dzień ślubu. Nawet nie wstał z ławy, tak go sparło w środku na jej widok. I nie wiadomo naprawdę, czy była to radość czy gniew, strach czy zwątpienie? Wiedział tyle tylko w tej chwili, że z miejsca się ruszyć nie może. A Hanka wchodzi, jakby nigdy nic, jakby wracała z kościoła, z sumy, dokąd się dziś rano wy-

brała. Na Mikołaja mało nawet patrzy, jakby go tu zostawiła ze dwie godziny temu. Rzuciła mu krótkie pozdrowienie i zaraz nuż kręcić się po izbach, zaglądać do kuchni i komory, otwierać kufry i szafy.

— A gdzież to Marcinowa? — zagaduje. — Pewnie poszła sobie na nieszpory?

— A tak, poszła — odpowiada Mikołaj. — Poszła i on został sam, jak palec. Często tak teraz bywa, że nawet słowa nie ma do kogo przemówić.

— Oho, jeszcze się na pustelnika wykierujesz — śmieje się Hanka.

Lecz Mikołajowi nie do śmiechu. Patrzy na Hankę i myśli: — Czy naprawdę jej tak wesoło? — Bo jego ta wizyta nie uradowała — wznieciła niepokój i niepewność. — Czy ma jej mówić o swoich zgryzotach i troskach? A jeśli jeszcze ją to bardziej odstraszy? Może najlepiej będzie milczeć, żeby się nie domyśliła, co to w nim wzbiera we środku.

Hanka się po domu uwija, jakby wpadła tu tylko na chwilę, a miała tyle rzeczy do zrobienia. Wybiega potem w podwórze, ginie między chlewami i oborą. Znowu wraca, znowu do szaf zagląda i rzuca na Mikołaja spojrzenia coraz łaskawsze i nawet jakgdyby cieplejsze. — Nie pamięta już może tego słowa, którem ją wtedy pożegnał? — Ha — myśli Mikołaj — gdyby tak zechciała powiedzieć: — Zapomniałam, już się tem

nie kłopocz — wielkąby to ulgę przyniosło. Ale na to się chyba nie zanosi — z czem innem tu, widać, przyjechała.

I wreszcie zaczął rozumieć, że przyjazd ten nie oznacza nic prawie. Nie oznacza nic — przynajmniej dla niego. że chodzi tu o rzeczy inne, o żywy i martwy inwentarz — a czyż on się do którego z nich da zaliczyć? Była już przecież w chlewni i w oborze, zajrzała do wszystkich kątów i dziur gospodarskich, a jeszcze się do niego nie przysiadła, nie zaczęła z nim żadnej rozmowy. Nic mu widać nie ma do powiedzenia. On sam miałby, ale coś takiego, co spłoszyłoby ją może i odepchnęło na zawsze. Dlatego też milczy i gryzie się ze swym bólem.

Hanka zapewne to widzi i przeczuwa, co się we środku w nim dzieje, bo spogląda na niego coraz częściej i wreszcie podchodzi całkiem blisko. Mogłaby ręką dotknąć, gdyby chciała. Ale nie — tylko się nachyla w jego stronę i pyta głosem, w którym próżno szukałbyś ciepła. Jest w nim może trochę obawy — ale napewno nie o niego, Mikołaja tu chodzi.

— Więc jakżeż się masz, Mikołaj? — pyta na początek. — Jakżeż dajesz sobie radę beze mnie?

I co tu jej odpowiedzieć? Skarżyć się, mówić o swoich zgryzotach? Chyba nie — Mikołaj się z tej słabości otrząsa.

— Jakoś żyję — mówi, patrząc jej w oczy.—

żyję — i może nie gorzej od ciebie. — Shardział i podniósł głowę.

— Pewnie — niczego ci tu chyba nie braku-je? — powiada Hanka. — A we dworze rozkoszy nie szukać — harówka od rana do nocy.

— To wróć — mówi twardo Mikołaj i niby to chce z ławy powstawać.

— Kiedy nie puszczą mnie stamtąd, potrzebują kogoś na takiem gospodarstwie. A i ja się już tam rozpatrzyłam i sama się nauczę niejednego. Potem to tutaj się przyda.

— Więc jednak o powrocie wspomina — myśli Mikołaj, lecz nie ma odwagi sprawy postawić jasno, domagać się swoich praw. Opuszczają go znowu siły — nic już dziś na Hance nie wymusi.

A ta opowiada mu o swem życiu i gospodarowaniu. Ile to z tem ma roboty, a z tamtem ile kłopotów. Zapala się przytem i ożywia, a Mikołaj ze strachem widzi, że tamto jest już jej jakgdyby bliższe od tego, co tu z nim razem zostawiła. Nie wie, jak sobie z nią radzić, patrzy bezbronny i zrezygnowany. Musi tu więc znowu zostać sam i czekać na jej nieprędki przyjazd. Może wtedy, innym razem, przekonać mu się ją uda?

Hanka odjechała z tym samym turkotem wózka, a pod wieczór wróciła Marcinowa z nieszporów. Nie wiedziałaby nic o tych odwiedzinach, gdyby jej Mikołaj nie wspomniał. Zrobił przytem minę, jakby wszystko poszło najlepiej. — Żona tu dzisiaj była — mówi. — Dobrze jej tam we dwo-

rze, nie chcą jej puszczać, choć radaby się już stamtąd zabrała. Ale znów tu niedługo będzie — chce gospodarki doglądać. — Lecz Marcinowej chyba nie przekonał, bo zamruczała coś swojego pod nosem. Nie tak łatwo wywieść starą w pole.

XXII.

Wydawało się panu Wacławowi, że znalazł wreszcie rozwiązanie sprawy. Trudno się już lepiej urządzić. Hankę ma zawsze pod bokiem i — choć rzadko ją we dnie widuje — to czuje jednak jej niedaleką obecność. Wie, że krząta się po gospodarstwie między dziewczynami a drobiem i że nic jej od nikogo nie grozi. A wieczorem zawsze się mogą zobaczyć, gdy tylko tego zapragnie.

Nie podejrzewał jednak, że w obrębie izb służbowych, kuchni, pralni i mleczarni, sięgając aż do chlewów, kurników i obory, rozpościera się inny świat, dla niego niedostępny, kryjący swe tajemnice — świat babski, świat intryg i namiętności cichych i starannie tłumionych, które wybuchały jednak czasami z nieodpartą siłą. Nie przeczuwał, że kryją się tam rzeczy, mogące go blisko dotyczyć — a on nic o nich nie wie. Rzeczy przeróżnego autoramentu i rozmaitej kategorji — miłosne kabały, małostkowe intrygi, spiski wyszeptywane po kątach, zmowy i sprzysiężenia. A wszystko to na tle babskich gniewów, uprzedzeń, zrodzonych z powietrza i nocnych humo-

rów, z bezsilnej zazdrości nie wiedzieć o co i kogo. Małe przedpiekle z jadem i niekończącą się złością.

I gdy zaczęły przesiąkać do niego wiadomości z tego świata — był tem odkryciem zdziwiony. Zainteresowały go one, jak każda nowość, przysłuchiwał się im chętnie z pobłażającym uśmiechem. Najpierw szły za pośrednictwem Hanki. Coś o Wojtasce i jej zatargach ze stróżem, coś o romansach niefortunnej Janki. — żadnego chłopca utrzymać przy sobie nie może — litowała się nad nią Hanka. — Pewnie dlatego, że jest ich właśnie tylu — roztropnie zauważył pan Wacław. O innych mu też rzeczach mówiła, które się tam między babami zaplęgły. Kiwał nad niemi głową, jak mędrzec, ale wiedział, że Hanka niezawsze dzieli jego zdanie. — Czyż on się na tem zna, chociaż dziedzic? — Dla tych babskich spraw pańska mądrość jest bez żadnego użytku. Ot — wziąść ją tylko i postawić na półkę pomiędzy książki.

Lecz pewne pytania, jakie zadawał Hance, grzęzły bez wyraźnej, otwartej odpowiedzi. Coś się załamywało w jej głosie i spojrzeniu, gdy te pytania powtarzał. — Czyż ukrywała coś przed nim? Takby należało przypuszczać. Ale co? Pewnie jakieś rzeczy bez znaczenia, drobne sekrety, których nie wypada wydać przed dziedzicem. Ot i wszystko — tak to sobie pan Wacław tłumaczył. Lecz na dnie osiadało trochę niepokoju — małe kryształki podejrzeń.

Królową kabały i intrygi była w tamtym świecie Wojtaska. Ona to wzięła na siebie rolę stróża panieńskiej cnoty — przez nikogo o to nie proszona. A ileż to można wyhaftować na ten temat domysłów, plotek, przypuszczeń. Najwdzięczniejsza to dziedzina dla kogoś, kto, rozglądając się wokoło, widzi tylko arenę dla tych babskich pokątnych wyczynów. Napróżno przypominano jej własną młodość. — Już zapomniał wół, jak cieleńciem buł — mówiły jej nieraz dziewczyny, gdy im wypominała nocne schadzki. — Cóż oznacza ten dryblas syn, który ją czasami odwiedza, kiedy o mężu nikt nie słyszał? — Ale puszczała to mimo uszu i robiła swoje — a niejedne już pokrzyżowała konszachty. Małemi czarnemi oczkami z pomiędzy pożółkłych zmarszczek wpijała się w każdy szczegół, który mógłby ją wyprowadzić ne drogę niebezpiecznych i dwuznacznych dociekań.

Zdziwił się pan Wacław, gdy razu pewnego, niosąc przez podwórze wiadra na koromysłach, przystanęła, postawiła ciężar na ziemi i podeszła do niego z jakimś nieokreślonym zamiarem. Od pewnego czasu częściej zaglądał w te dziedziny, tak dotąd obce dla siebie — pomiędzy chlewami, kuchnią i kurnikiem. Przyczyną tego była zapewne Hanka. Ale nikt jeszcze nie usiłował wtajemniczać go w dokonywujące się tam misterja. Tymczasem Wojtaska zatrzymała się przed nim bliżej, niżby nakazywało uszanowanie i folwarczna etykieta. Miała mu coś do powiedzenia — to

było zupełnie widoczne. Słowa wisiały jej na wargach — chodziło tylko o to pierwsze, które niełatwo znaleźć, gdy się nie wie, jak będzie przyjęte. Przezwyciężyła jednak stojące w gardle zmięszanie i z gestem pełnym uniżoności przemówiła: — Źle się dzieje, panie dziedzicu. Gorzko mówić, ale źle się dzieje. — A że pan Wacław utkwił w niej zdziwione spojrzenie i przystanął, jakby czekając na ciąg dalszy, więc się nie zatrzymała na tem. Słowa wylatywały jej z ust urywane i okaleczone, obijając się o resztki zębów między dziąsłami. — Wielka rozpusta we dworze — ciągnęła dalej, oglądając się za siebie i obniżając głos do tonu tajemniczościł — Sodoma i Gomora. Oknami po nocy chodzą i wstydu żadnego nie mają. Niech pan dziedzic na to wglądnie, bo patrzeć już dłużej nie można — zakończyła piskliwym lamentem i potem cofnęła się nagle, jakby w obawie następstw, jakie mogły wywołać jej słowa. Ale następstwa były nikłe, prawie żadne. Pan Wacław zaniemówił, zaskoczony tem wystąpieniem. — Więc co? — pyta. — Co chcecie przez to powiedzieć? — Wojtasce trudno już było dokładniej precyzować swe myśli, powiedziała właściwie wszystko, co sobie umyśliła. A pod spojrzeniem dziedzica, w obliczu jego słów, nic nowego już jej nie przychodzi do głowy. — Źle się dzieje, panie dziedzicu — powtarza i milknie, do głębi zaaferowana, jakby w ziemię zapaść się chciała razem z tem wszystkiem, co jej się nieopatrznie wyrwało.

Pan Wacław nie nalegał i nie indagował, choć czuł się nieco poruszony. Przykry dreszczyk przebiegł mu po łopatkach, a wewnątrz osiadł nieokreślony niepokój. Zaczął powtarzać sobie usłyszane wyrazy, w kółko ciągle te same, bolesne i jątrzące, od których opędzić się nie mógł. Ciągle powracały, niosąc z sobą jadowitą gorycz, podkopującą trwogę. Nie chciał wzywać Wojtaski i żądać wyjaśnień, co znaczyły jej niedopowiedziane słowa, a od Hanki znowu nie spodziewał się czegoś dowiedzieć. A przecież sens słów był wyraźny i piekący — dawał szerokie pole do domysłów. I jakież to mogły być domysły? Czyż Hanka nie stawała się w nich najboleśniejszym punktem? — Tak, to spotkanie z Wojtaską popsuło panu Wacławowi humor i zachwiało jego równowagą.

Z Hanką musiał się tego wieczoru zobaczyć, choćby nawet unikała spotkania. Zawezwał ją do siebie, a że nie przychodziła dość długo, zapuścił się w ciemny korytarz, wiodący na służbowe skrzydło. Potrącał o jakieś przedmioty, niepotrzebnie tam rozstawione, o meble, sterczące z poza załamań korytarza — nim wreszcie dotarł do jej pokoju. Tam Hanka go przyjęła, jak zwykle —może nawet nieco serdeczniej. — Nie przyszła, bo taka była zmęczona — powtarzała swe zwykłe usprawiedliwienia. Pan Wacław chciał ją wybadać, co znaczyły słowa Wojtaski, ale dobrze nie wiedział, jak zabrać się do rzeczy. Można prowadzić podstępne indagacje, podchodzić okrężnemi

drogami, zastawiać pułapki i sidła. A można też odrazu rzucić najcięższe pytanie, ogłuszyć niem i obezwładnić. — Ale co lepsze będzie w tym wypadku, co najskuteczniejsze? — Trudno zgóry przesądzać tę kwestję, nie mając odpowiedniego wyczucia.

Zaczął więc tymczasem jakąś obojętną rozmowę, rozpytując o różne szczegóły z gospodarstwa — jak radę sobie daje, jak czuje się w Wadowicach? Hanka się nie skarżyła, ale i niezbyt była rozmowna tym razem. — Owszem, jest jej dobrze, niczego jej nie brakuje — mówiła, zbywając go byle czem, jakby chcąc się go pozbyć coprędzej. Ale nie był to tym razem sposób na pana Wacława. Coraz bliżej podchodził do pytań, które chciał jej zadać, coraz mocniej ją przypierał do muru. — A jak tam z Wojtaską? — pyta. — Czy to nie ma czasem do niej złości? — Piekielnica jest i plotkara, ale jeszcze się z sobą nie gniewają — odpowiada Hanka i widać, że w tejże chwili staje się podejrzliwa i czujna. — Ale czemu pan dziedzic o to pyta? Czyżby już naplotkowała na mnie? — Och nie, ale on, pan Wacław, wie to skądinąd, że się tu nie bardzo dobrze dzieje, a ona, Hanka, nic mu o tem dotychczas nie wspominała. — A cóż ma się dziać? — pyta niechętnie Hanka, odwracając głowę ku ścianie, gdzie przecież i tak dojrzeć nic nie mogła. — Co? — zaraz ci powiem — mówił pan Wacław. — Oknem po nocy tu chodzą i chciałbym wiedzieć,

kto taki? A jeszcze chciałbym wiedzieć, do kogo? — Ostatnie zdanie wypowiedział z naciskiem, chcąc mu nadać cały ciężar pytania, które nie może pozostać bez odpowiedzi. Teraz Hanka odwróciła głowę, lecz nie poto, by wprost odpowiadać. O, nie — sprobuje jeszcze tych wybiegów i chytrości, których ją nauczyło życie. Przecież nieraz dobrze się jej przysłużyły. — Więc już nagadali na mnie? — mówi niby to spokojnie, ale ze drżeniem w głosie. — I pan dziedzic w to wszystko wierzy? Trzeba będzie mi się już stąd zabierać, kiedy tak. — I, mówiąc to, wstaje z łóżka, na którem siedziała, i wychodzi na sam środek pokoju. — Czy tak zaraz po nocy? — pyta z mimowolną ironją pan Wacław. — Nie, ale jak się tylko rozwidni — odpowiada Hanka. — No, no, bardzo jesteś prędka do tego — pan Wacław chce sytuację łagodzić. — Przecież cię nie wypędzam i tylko pytam, byś mi odpowiedziała. Jakżeż jest z tem łażeniem przez okno? — Widać, że w tej chwili Hanka się na coś decyduje bo i pan Wacław upiera się przy swojem. Ale czy prawdę mówić będzie? — Więc powiem wszystko, jak jest — odzywa się, podnosi wzrok na dziedzica i stara się jakgdyby uśmiechnąć. Chce widocznie ująć znaczenia i powagi całej sprawie.

— Do Janki chodzi furmańczuk — ot i wszystko. — Ale przez twoje okno — czy nie tak? — A choćby przez moje — to co? Przecież nie do mnie chodzi. — I zaraz, by się usprawiedliwić,

opowiada całą historję. — On chce się z Janką żenić — napewno. Kiedyś, gdy przyszedł do niej wieczorem, Wojtaska na złość im drzwi wejściowe zamknęła i klucz schowała u siebie. Wiadomo — innego wyjścia niema, okna w kuchni i mleczarni okratowane, a w izbie służbowej stara się przyczaiła. Janka wtedy po ratunek do mnie: — Gosposiu, ratujcie! Wypuśćcie Jakóba przez okno.— Bardzo prosiła o to, zaklinała — nijako było odmawiać, tembardziej, że nieść chce na zapowiedzi. A potem, gdy raz już znalazł drogę, to częściej zaczął tędy chodzić i musiała go wpuszczać na randki. Ot i wszystko — o niczem więcej nie wie.

— Ba, gdybyż to wszystko było. Na to jeszcze przez palce patrzeć można — bo co go tam Janka obchodzi? Ale jak już jeden drogę przez okno znalazł, to tem łatwiej czyż drugi nie znajdzie? I wszyscy mieliby do tej Janki? — W tem tkwi właśnie sens niepokojów pana Wacława. Lecz z Hanki chyba już nic nie wydobędzie. A znowu, poprzestając na tem, czyż nie skazuje siebie na dręczącą ciągle niepewność? Probuje więc coś jeszcze z niej wydusić, ale idzie to coraz trudniej — jest podrażniona, czujna i podejrzliwa. Znowu chce się zabierać z Wadowic i znów ją uspokajać trzeba. Wygrywa wszystkie swe atuty, a pan Wacław nie chce jeszcze stawiać na ostatnią kartę. I czuje się całkiem bezbronny wobec tych kobiecych wybiegów, zagradzających mu drogę do świata babskich tajemnic.

XXIII.

Owe komplikacje mogły tylko zniechęcić pana Wacława — nic więcej. Nie był stworzony do walki o dobra doczesne, a czyż kobiety nie należy do nich zaliczyć? Tak — kobieta jest doczesnością i doczesność tę zmącić może jedno nic nie znaczące okno, otwierające się cicho po nocy. I nie pomoże tu czujność, przenikliwość, odwaga. Okno się będzie otwierać, bo takie jest jego przeznaczenie — tak, jak kiełkuje trawa, rośnie las.

Nie załamywał rąk, ale i nie wyciągał ich, by się bronić. O nie — spokój ceni ponad wszystko, bo w spokoju jest mądrość i największa radość życia. Godzina odchodzi za godziną, nigdzie się nie śpiesząc i nie wracając z drogi, bo niema do czego powracać. I ten równy nurt wiedzie najpewniej do celu, który jest dla wszystkich jednaki.

Inaczej było na Klątwach. Mikołaj chodził teraz do lasu z siekierą i rąbał smukłe grabczaki. Kupił ich kilka sztuk w chłopskim lesie — do dziedzica nie chciał się zwracać z tą sprawą—a zwieść je trzeba jeszcze w ciągu zimy, póki mróz trzyma

i sanna. I czemu do dziedzica z tem nie poszedł? Byłby taniej tam dostał, niż u chłopa. Ale coś go od tego wstrzymywało — jakby złość, jakby tajona uraza. Do lasu chodził pilnie od rana samego. Chce mieć trochę materjału pod ręką — tak nakazuje roztropność. Dyszel pęknąć może, drabiny się mogą połamać.

A czy nie wystruga przy okazji tęgiego kija, który dobrzeby do ręki pasował? Którym podeprzeć się można, a czasem i zamachnąć naodlew? Nie — jeszcze o tem nie myśli, przyjdzie to potem może, zajęty jest spuszczaniem drzew i ma z tem aż nadto roboty. Niewiele mu parobek w tem pomocny, mało się na rzeczy rozumie. Tymczasem więc tylko krzepną mu mięśnie u ramion i tężeje wola.

Czuł jak powoli, nieznacznie, z dnia na dzień rosło w nim samym coś, czego nie znał — jakby duma, jakby gniew, czy też krzyk, który wkrótce nie da się już powstrzymać. Nie wiedział, jak sobie z tem poradzić. Gniotło go to i niepokoiło, narastało wewnątrz, jak warstwa coraz grubszej pleśni. Zasłoni mu niedługo całkiem świat, oślepi i do reszty omota. Nie wiedział, czy ma się przed tem bronić, czy dać rosnąć temu uczuciu? Tymczasem więc szło sobie samopas, szło i rosło. A on co rano zanurzał się w las, pod gałęzie, pokryte szronem, między pnie pomarszczone i nagie, stężałe od bezruchu i mrozu.

Rozgrzewała mu się w ręku siekiera od cel-

nych, szerokich uderzeń. Białe drzazgi odskakiwały od pni, migocąc jak iskry w żółtem, zimowem słońcu. Hukał sobie dla ochoty przy każdym zamachu ramion i czuł, że mu sił nie ubywa, choć dzień ku wieczorowi uchodzi. Coraz głębiej wrzynał się w pień twardy, gdzie wszelkie życie zamarło — bujne z wiosną krążenie soków. Grab stał skostniały, nieczuły na śmierć bliską, na wielokrotne cięcia, jakie mu zadawał Mikołaj. Coraz głębsza, coraz bielsza stawała się szczerba, z której tryskały drzazgi, a coraz wątlejsze i słabsze wiązania, łączące go jeszcze z ziemią. I wreszcie zaczął drżeć, zaczął dygotać pod każdem uderzeniem. Czy się obudził, czy podmuch śmierci musnął go po gałęziach? A potem przyszło mu się już chylić — na jeden bok i ku ziemi, najpierw cicho, a potem z lekkim trzaskiem. To uchodziło zeń życie, które ocknąć się jeszcze mogło, pękały spojenia, drzewiaste ścięgna i żyły. I wreszcie zamachał gałęziami, jakby równowagę w powietrzu chciał uchwycić, jęknął głucho, podskoczył i runął.

Kładły się codzień te grabczaki na pokrytej śniegiem polanie, bo Mikołaj żadnego dnia nie przepuścił. Chodził w las, jak przedtem chodził w pole, zastygłe dziś i zamarłe na kamień, i w lesie tym znajdował robotę. Bo obyć się bez roboty nie mógł. Są ludzie, stworzeni do lenistwa, są do pracy — i tym potrzebniejsza ona, niż powietrze, woda i miłość.

A potem, gdy już czerwienią zachodu wieczór

przesiąkał w gęstwinę, wracał Mikołaj na Klątwy, do domu. Mróz brał tęższy, siniał po białych pagórkach i chrzęścił sucho pod nogami. Siekiera wydawała się cięższa niż zrana, gdy szedł w las, mocniej mu gniotła ramię, niż wtedy, gdy się słońce toczyło od wschodu. A śnieg był jakgdyby głębszy, mniej sypki i bardziej pętał mu kroki. Niema ludzi ze stali, nie jest nim nawet Mikołaj— czuł się zmęczony.

Ale takie zmęczenie było radosne samo przez się. Siła człowieka jest poto, by przelewać ją w siekierę, w cep, w kosę. Takie już jest jej przeznaczenie. Zaczyna się w samym człowieku, gdzieś pod sercem, a kończy na zimnem ostrzu, wrąbanem w twardy pień drzewa. Rodzi się z niczego i w niwecz sama obraca — i dlatego może taką radość zostawia za sobą. Podobnie jak burza, która przeszła i odświeżyła świat. Toteż, wracając, miło było myśleć o twardym zydlu, na którym przysiąść będzie można. O stole chropawym, gdzie się zjawi dymiąca misa. I wreszcie o tej pierzynie, której samemu nie trzeba będzie nagrzewać. O tem wszystkiem myśleć było miło. Ale Mikołaj miał też swoje własne myślenie i ono to mąciło mu radość. — Zydel, misa, pierzyna — owszem, wszystko to bardzo pięknie — ciepło w gardle i brzuchu, w przemarzłych plecach i nogach. Tylko że w tem czegoś jednak jeszcze brakuje. Czuł to dobrze, wchodząc do swojej chałupy, a najlepiej już to rozumiał, gdy mu Marcino-

wa wychodziła do sieni naprzeciw. — Czego się ta baba tu pęta? — myślał rozeźlony samym jej widokiem. A ona zaraz chce dowieść, jak to bardzo jest mu potrzebna, że się bez niej wcale obejść nie może. — Jużeście wrócili, Mikołaju — mówi — zaraz wam krupnik odgrzeję i świeżych kartofli nastawię. — I trudno nie uwierzyć w niezbędność tej starej baby, gdy ci pełną miskę pod nos sunie, na stołku sadza, dogadza i dolewa. Nie mógłby nikt jej zastąpić w tej chwili. Ale to tylko, dopóki się nie rozegrzał i głodu nie zaspokoił. Bo potem przychodzą inne refleksje. Nie samemi kartoflami żyje człowiek. — Co więcej mu ona dać może, jeśli zjadł już tę miskę krupniku? — Parę życzliwych słów, osłodzonych starczą zalotnością. — Pewnieście w lesie przemarzli, Mikołaju. Zaraz wam pierzynę pościelę. — Ot i wszystko — chyba nic więcej. Czy to może młodemu wystarczyć? I pomyśleć, że tamta we dworze siedzi i już z miesiąc tu nie zaglądała — cały miesiąc, który ma trzydzieści długich nocy. Czy to spać można spokojnie, myśląc o tem?

Toteż przewracał się Mikołaj na obydwa boki — tam i spowrotem, tam i spowrotem — aż łóżko pod nim trzeszczało i pierzyna zlatywała na ziemię. Tamta stara śpi w sąsiedniej izbie i pochrapuje przez sen na jakiś przykry, starczy sposób. Świszcze przez wypróchniałe zęby, zgrzyta gardłem, jakby nie powietrzem oddychała, a sadzą. Za ścianami obija się wiatr — idzie z blis-

kiego pola, z dalekiej łąki i jeszcze dalszego lasu. Ten z pola jest przyjacielski, spokojny, otrze się cicho o dom i idzie dalej. Ten z nad łąk jest zimny i gwałtowniejszy, mocno na ściany napiera i chłodem wdziera się do środka. A ten z lasu huczy już zdaleka, słychać, jak idzie z łoskotem, bo niesie z sobą skrzyp, gwałt i szum targanych drzew. Wali się na dach i wstrząsa całym domem, jakby chciał go zagarnąć i unieść.

Teraz Mikołaj na plecach leżeć probuje i rozmyśla. Ma o czem. — Czyżby pora brać się już do rzeczy? Potem z wiosną przyjdą roboty w polu — będzież to wtedy czas myśleć o sobie i o niej? A i też jeszcze pytanie — jakby to przeprowadzić? Iść tak wprost do dziedzica, powiedzieć, że ona mu tu potrzebna? — nie będzie miał chyba odwagi. I czy Hanka zgodzi się na to, dziedzic co na to powie? Strach go brał przed taką rozmową, kiedy będzie trzeba w cztery oczy stanąć z dziedzicem. — Jak tu zacząć, jakich słów użyć? — Wyobrażał sobie ten dwór wielki i pański, pokoje jasne, wysokie, dywanami miękko wyściełane. I jego prowadzą tamtędy, a on mały się czuje i słaby. Staje przed dziedzicem, rozmawiają. Ale ledwo usta otworzył, mówi mu dziedzic: — Bierz ją, zabieraj, bo mi już niepotrzebna. — Z dziedzicem więc poszło gładko, ludzki to człowiek — zrozumiał. Ale jak z samą Hanką? Teraz do niej właśnie idzie na służbowe skrzydło, choć oczy mu się zamykają i zaczyna go obracać

śpik. Oho, zastaje Hankę w kuchni, większej od wszystkich pałaców. Garnki po ścianach świecą, jak najpiękniejsze lampy, a pod płytą huczy ogień, że i w kuźni takiego nie znajdziesz. Odzywa się do niej: — Chodź, jużeś tu niepotrzebna.— Chce brać ją za rękę, by mu się już nie wymknęła, ale ona jak nie spojrzy na niego oczami bazyliszka, jak nie skoczy na sam środek kuchni, rękami nie zamacha. I potem zrywa garnki ze ściany, świecące i okrągłe jak kule, i ciska niemi pokolei prosto w Mikołaja. Musi umykać, bo go jeszcze na miejscu ubije. Umyka, a garnki rwą się z wielkim hukiem tuż za nim, całkiem jak granaty podczas pułkowych ćwiczeń, gdy jeszcze wojsko odsługiwał. Ocknął się, obrócił z pleców na bok. — Z Hanką poszło znacznie gorzej — nic nie wskórał.

Męczyły go takie sny, że aż pocić się od nich musiał. Innym razem to dziedzic zęby szczerzył, a Hanka była przymilna. Wszystko niby układało się dobrze, szła z nim na Klątwy, ale tu Marcinowa wychodzi z chlewów naprzeciw i przepędza ją wielkim krzykiem. Znowu się budził i znowu potem oblewał.

To też spokój miał we dnie, nie w nocy, gdy szedł w las rąbać drzewo, lub wywoził nawóz na pole. Oziminy pod śniegiem były zdrowe, z jesieni się dobrze rozkrzewiły, więc spokojnie mógł wiosny wyglądać. Lecz czy zmianę mu jaką przyniesie — na lepsze? Pasował się ze swą słabością Mikołaj, widząc, że i ona stanęła mu wpoprzek na drodze razem z dziedzicem i Hanką.

XXIV.

A w Wadowicach zaczęły się dziać rzeczy dziwne i dawno nieoglądane. Taki spokojny, taki solidny dwór! Nigdy jeszcze żadna gospodyni — a było ich przecież tyle, jak tylko ludzka pamięć sięga — nigdy jeszcze żadna nie dawała takich okazyj do plotek. Toteż dla niektórych było to używanie, dla innych zaś powód do zgorszenia. A co myślał o tem sam dziedzic? Wiedział zapewne o wszystkiem, lecz milczał.

Zaczęło się od pewnego okna, które cicho się otwierało po nocy. Nad ranem się zamykało, by ludzkich oczu nie razić. A choć noce bywają ciemne, to są jednak oczy, które widzą nawet w ciemności. Tak — wszystkiemu dała początek Janka i do niej to na randki furmańczuk Jakób przychodził. Właził przez okno i przez to samo powracał. Lecz prowadziło ono prosto do pokoju gospodyni — a przez jedno okno w ciągu nocy iluż to mężczyzn wejść i wyjść spowrotem może? Toteż niejedni podobno korzystali z takiej okazji — między innymi pan Brzózka, magazynier. Widziano,

jak się tamtędy zakradał, a potem wymykał ostrożnie. — Ten to już chyba nie do Janki. — Szedł cicho, rozglądał się dokoła, robił wszystko, aby go nikt nie spostrzegł — lecz niewiele mu to pomogło. Gdzieś w krzakach, albo za rogiem domu, albo może gdzieś w sąsiedniej szybie tkwiła para przenikliwych oczu, która dojrzała rzecz całą i wykryła. — Nie ulegało teraz wątpliwości: — sam Brzózka wyłaził przez wiadome okno.

Należało się zresztą spodziewać, że się tak skończy. Czyż nigdy ich nie przyłapano na rozmowie o nie wiedzieć czem i o najniestosowniejszej porze? Ona powinna być przy doju w oborze, on w stajni przy wydawaniu obroków — a zamiast tego stoją sobie i rozmawiają, jakby ludzi wyzywali — na samym środku dziedzińca. A jak troszczyła się o niego od pewnego czasu — i czy może to bez przyczyny? Nigdy jeszcze tak dobrze nie miał. Świeże masło, świeże bułeczki, śmietanka — wszystko szło przez ręce Janki, aby tylko zaspokoić apetyt i podniebienie pana Brzózki, magazyniera. To są wyraźne symptomy. Okno nie było niespodzianką dla tych, co tamto widzieli. Okno było tylko potwierdzeniem ich przypuszczeń: — Ano, tak się musiało skończyć — mówiono.

Stróż widział, widziała Wojtaska — ludzie, którzy patrzą tylko poto, by widzieć. A tego, co zobaczą, nie uważają za swoją wyłączną własność. O nie — wstępuje w nich wówczas chrześcijański

duch miłosierdzia. Dzielą się z każdym, bo w każdym widzą bliźniego, który uboższy jest od nich o tę jedną cenną wiadomość. Toteż wszyscy wiedzieli wkrótce o nocnych wizytach pana Brzózki. Mówiono o tem głośno i pocichu, i żartem i z powagą na twarzy — jak kogo to układało, jak kto to rozumiał czy odczuwał. — Więc oto macie gospodynię. Niewiele się ona zmieniła — od samej młodości była taka. — I już opowiadano między sobą, co kto wiedział o tej młodości, która przecież tak była niedawna, tak świeża u wszystkich w pamięci.

— A pamiętacie tego Wacka, co to potem do wojska poszedł? — przecież to był narzeczony. A ten czeladnik kowala, a ten bandoch. Czy myślicie, że już przedtem się nie spiknęła z tym Brzózką? — I dziedzica wspominali i rządcę Sielskiego, aż brakowało babom palców do liczenia tych wszystkich, z którymi się zadawała. — A taka to z każdym rokiem coraz gorsza, żebyście wiedzieli — mówiły doświadczeńsze.

Docierało to i do pana Wacława — nie bezpośrednio, nie jako stwierdzenie faktu, ale drogą okrężną, drogą tajemniczej infuzji, która sprawia, że człowiek nasiąka atmosferą, jaka go otacza, życiem, przepływającem obok niego, faktami, choć się dokonują poza obrębem jego świadomości. Domyślał się wielu rzeczy, choć nikt mu nie wspominał o nich. Zmieniły się uśmiechy Hanki, odpowiedzi na pytania. Zmienił się ton jej głosu,

a zwłaszcza rozszerzyła jego skala. Niektóre wyrazy wymawiała tak, jak dotąd nie robiła tego nigdy. Jakaś melodyjność zakradła się do jej gardła, jakgdyby ukołysać nią chciała jego czujność i podejrzliwość. Czyż nie miało to wzniecić w nim wątpliwości, nie miało przejąć niepokojem? A i w jej spojrzeniach odkrywał nowe błyski. Coś się tam żarzyło za siatkówką, czaiła jakaś ukryta myśl, czy zasadzka. Jeden Bóg ją wie, co naprawdę tkwiło tam na dnie. Nie mógł z nią mówić dłużej, by nie odczuć odrazu, że coś ukrywa przed nim, tai — co może być całym światem kłamstwa i przewrotności.

Nie starał się przenikać do tego świata i raczej odgraniczał się odeń szczelną zasłoną obojętności. Obojętność ta była ciągle jeszcze robiona — ale czy z czasem nie mogła stać się prawdziwą? I kto wie, czy pan Wacław celowo nie zmierzał w tę stronę? Była przecież przystanią, gdzie możnaby zawinąć i wypocząć. Jest pewien rodzaj biernej zazdrości, która zużywa się i pożera sama, jeśli jej nie podżegać czynną walką, jeśli pozwolić jej tlić i dogorywać bezczynnie. I pan Wacław na niej poprzestawał. Czy miał jeszcze raz walkę zaczynać? Czy nie lepiej już raz nazawsze uznać się za pokonanego?

To samo zresztą wypadło z pewnej rozmowy, jaką prowadził niedawno z panem Czołhańskim. Mędrzec potarł brodę ręką, jakby chcąc wywołać z niej wyładowanie elektryczne, a choć nie stanął

cały w iskrach i ogniu, to zato otoczył się tumanem mądrości.

— Ha, chciałby już pan zapewne z tem skończyć — wcale się nie dziwię. Wątpię, by mogło to panu dostarczyć jeszcze jakich emocyj. To rzecz już wyczerpana, chyli się ku końcowi. Jak postąpiłbym na miejscu pana? Ano, cóż — pozostawiłby sprawę własnemu jej biegowi. Wszystko skończyć się jakoś musi i ten koniec naturalny, który przychodzi sam z siebie bez naszej interwencji, bywa często najlepszem możliwem wyjściem. Na miejscu pana założyłbym ręce — i czekał.

I była to zdaje się decyzja, jaką powziął właśnie pan Wacław, niezupełnie zdając sobie z tego sprawę. Przestał się Hanką zajmować, choć gryzła go ciągle myśl o niej. Zapewne — chętniej jeszcze przestałby wogóle o niej myśleć, ale tymczasem nie udawało mu się to tak zupełnie. Lecz dojdzie chyba i do tego — należy tylko poczekać.

Toteż pan Wacław nie zachowywał się wcale, jak ktoś, kto ma sercowe przejścia. Nie zmienił trybu życia, robił to, co robił zawsze, a choć nie było to wiele, wypełnić jednak mogło dzień cały. W ten zimowy czas lubił zachłysnąć się mroźnem powietrzem i jeśli błąkał się po polach, to bynajmniej nie z nadmiaru melancholji. Bo robił to przecież co zimy — przypinał narty i kreślił niemi białe wzgórza i wyniosłości. Piął się pod górę i zjeżdżał wdół, jak wypadało z kolei rzeczy, któ-

re układały się różnie, ale zawsze dostarczając mu naprzemian — to upajającego trudu podchodzenia, to mdłej rozkoszy zjazdu.

Hanka zaczynała powoli opuszczać jego życie, jak marjonetka, schodząca ze sceny. Właściwie już się skierowywała ku wyjściu i brakowało tylko jeszcze paru słów, jakie na odchodnem powinny być powiedziane. Tak — paru słów, których może nawet słuchać nie warto? Bo cóż właściwie miałaby do powiedzenia? Ot, chyba tylko to, co mówią sobie ludzie, którzy kiedyś może się nawet kochali, ale teraz się zato rozchodzą, żadnej nie żywiąc pretensji i nic już nie czując do siebie. Zamiast ognia — chłód, zamiast pocałunków — zwyczajne dowidzenia. Jakby spotkali się na rozstaju dróg przy kamieniu, pogawędzili trochę — i każde rusza w swą stronę. I niewiadomo nawet, czy się które obejrzy za siebie?

Tak to rzecz cała miała się ku końcowi. Wygasała sama powoli, bo wszystko zgasnąć kiedyś musi, bo niema wiecznego ognia, ani zawsze trwającej wiosny, ani wiecznie świecących gwiazd. Jedno gaśnie, drugie się rozpala. I właśnie pośród tej ciszy, która kiełkować zaczęła, miał teraz przemówić Mikołaj.

XXV.

Przygotowywał się już dawno do tej chwili, zmagał w sobie, otrząsał i powstawał. I już niczego prawie nie brakowało — co najwyżej tych pierwszych słów, któremiby przemówił do dziedzica. A reszta była już gotowa. Poszedł nawet niedawno do lasu i wyciął dobrego kija, którym podpierać się będzie w ten wielki a bliski dzień. Takim kijem można się nawet zamachnąć.

Tak — wszystko już było gotowe i należało tylko dzień wyznaczyć. Bo jeden dzień drugiemu nie równy — jest ich aż siedem w tygodniu. Każdy zwie się inaczej, każdy ma w sobie inną moc i inne kryje możliwości. W piątek, naprzykład, lepiej niczego nie zaczynać.

Toteż zaniechał piątku i myślał o innych dniach tygodnia. Ale każdy miał jakąś swoją niewygodę. Czyżby czekać na ten ósmy dzień, który się nigdy nie pokaże? O nie — musi wreszcie Mikołaj postanowić, kiedy wyruszyć należy. Zwlekać już dłużej nie można, przecież to już wiosna za pasem.

Lecz mimo to niewiele wychodziło z tych decyzyj. Już raz nawet ruszył w stronę Wadowic, ale się wrócił z drogi. Zapomniał koniom siana za drabiny założyć — więc czyż mógł iść dalej? Parobek sam o tem nie pomyśli — a konie mająż to stać o głodzie? Zawrócił więc — i tyle wyszło tego dnia z całego postanowienia.

A potem znowu zwlekał, coś go nie układało, coś innego stanęło na przeszkodzie. Tych przeszkód jest tyle w ludzkiem życiu, że rady sobie dać nie można. Niejeden mocniejszy połamał sobie na nich zęby — a cóż dopiero on, Mikołaj, biedak, prosty chłop.

Ale o Hance, swej żonie, zaczął się dowiadywać różnych rzeczy. Podsłuchał kiedyś, jak sobie parobek z Marcinową szeptali. — A właśnie, ona tu wróci! Czy to niby jej tam źle? Czy to jej dziedzic nie dogadza? Czy to się z Brzózką nie spiknęła? — I tak dalej, ciągle w tym sensie. Prosto w oczy mu tego nie powiedzą — boją się. Ale tak po kątach to będą opowiadać, Hankę na językach obnosić, barwić i koronkować. Jakoś jednak w Brzózkę nie wierzył — ot, zwykłe babskie gadanie.

Kiedyś znów na jarmarku dowiedział się czegoś więcej, samych przyjemnych szczegółów. Podpił sobie taki jeden z drugim i nuż go zaraz serdecznie, po pijanemu uświadamiać, co też to jego Hanka we dworze wyrabia. — Że to, że owo — z dziedzicem się zadaje, Brzózkę przez okno wpu-

szcza — i czy jednego Brzózkę? — Bóg raczy wiedzieć. — Oho, więc to tak! — Mikołaj za wiadomość nie dziękował, ale mu się mocno przydała. Kto wie, czy bez tego wyszłoby co z jego postanowień? Bo jeśli już ludzie tak na jarmarku gadają, to prawda w tem musi być — to już nie babskie gadanie. że się z dziedzicem zadaje — to trudno, Boża wola, sam wiedział o tem. Ale kiedy już Brzózka w to wlazł — tego przepuścić nie może. Na pośmiewisko się wystawiać nie będzie, dopomni się o swoje — choćby tym wystruganym kijem. — żeby tak moja była — mówi mu jeden z drugim — sprałbym, a to i ubił.

Wracając z owego jarmarku, czuł, że go zlewają poty. Na dworze niby mróz, a w środku w nim samym aż grzeje. Wiedział, że teraz tamta godzina już bliska. — Oho, kto wie, czy jak w tym gniewie wytrzyma, nie pójdzie już jutro do dworu, kija nie zapomniawszy? — Kładł się spać, ale gniew nie przechodził i dusił go przez noc całą. Wstał rano, ale i teraz jeszcze ta sama złość w nim skwierczy. Ledwie cokolwiek przekąsił — i postanowił iść.

Mróz był i gruda, śnieg ledwo poprószył ziemię — bo było to po niedawnej odwilży. Dobrze podpierać się kijem na takiej ślizgawicy — i na to dziś jeszcze się przyda. Leży przed nim dziesięć wiorst gościńca i polnej drogi, a tam, na samym końcu — Wadowice z dworem, dziedzicem i Hanką. Ale nie boi się teraz jeszcze nikogo, może

dlatego, że tych wiorst wciąż jeszcze przed nim tyle. Trzyma wysoko głowę, jakby wszystkie wiejące wiatry chciał zagarnąć w płuca, i stąpa ostro, jak człowiek, który z drogi nie myśli zawracać. — Dziś dojdzie do końca samego, dziś wróci — i to nie z próżnemi rękami.

A Hanka — czy się go spodziewała? Czy go oknem wyglądała kiedy? Może — wszystko być może. Kto wie, czy nie chętniej widziałaby go teraz przy sobie, niż Brzózkę samego, choć w nocy zawsze jeszcze otwierała mu okno pocichu. A może przeczuwała coś nawet dnia tego, bo niespokojnie kręciła się od rana po swem gospodarstwie, kręciła się i szamotała, jakby całkiem straciła już głowę. Zaglądała to do chlewów, to do obory, ale robota jej nie szła, wszystko wychodziło naopak. Dzień ten zaczął się dla niej niedobrze — a jak się skończy?

Mikołaj tymczasem szedł po grudzie i wiorst ubywało przed nim. Zdawało mu się nawet, że są dziś jakieś krótsze, ściągliwe, że mu się kurczą w ręku, jak garbowana skóra. W płucach miał pełno wiatru, który uderzał mu w twarz, w oczach potrochu słońca, gdy się wynurzało z za chmury. Śnieg wisiał w powietrzu, już się pewnie gdzieś tam kłębił wysoko, ale ziemi nie dotykał jeszcze — jeżyła się więc grudą na drodze, czarnemi skibami po polach. A w środku — co niósł Mikołaj? Już mu gniew się wystudził na mrozie, ale pozostawił po sobie skrzepniętą, wyraźną wolę. Gdy

przeszedł już tyle drogi — to do końca samego dojdzie. I wracać popróżnu nie myśli — musi tam we dworze swoje wywojować, choćby Hanka z dziedzicem sprzysięgli się przeciw niemu. Nasuwał czapkę na czoło i szedł, nie ustając.

Dzień pana Wacława zaczynał się od tualety, która nigdy wiele nie zabierała mu czasu. Golenie, mycie, bielizna i jakiś skromny, powszedni garnitur na codzień. Potem śniadanie — herbata i trochę wędliny. Dobry humor od samego rana, bo Hanka już przestawała mu ciążyć. Kiedyś bywało inaczej, bywały dni, że wstawał gniewny i podniecony. Wychodzić musiał z domu, szukać jej po całym folwarku i nie odnajdywał spokoju, nim wreszcie jej gdzieś nie znalazł. Teraz z domu nie myślał się ruszać, bo i pogoda niepiękna — wiatr dmie, sypie śniegiem. Wziął się do przeglądania książek, które mu niedawno nadesłano z miasta.

Mikołaj jest już blisko — a pan Wacław nic o tem nie wie. Już schodzi z gościńca w aleję, która wiedzie prosto do dworu. Źle go widać wprawdzie, bo śnieg coraz obfitszy, i trudnoby poznać zdaleka jego zdobywczy krok. Bo takim przed siebie stąpa, im bliżej dworu, tem pewniej — nic go nie powstrzyma. Idzie, jakby na podbój — jakby nie po swoje już tylko, lecz i cudze. I oto zatrzymał się przed dworem, nie od frontu, lecz od bocznego skrzydła. Rozgląda się, czy go kto nie widzi, rozmyśla, jak tu o sobie dać znać.

i niczego się jeszcze nie lęka. — W tej właśnie chwili Hanka przekręca klucz w drzwiach śpiżarni, a dziedzic odwrócił setną którąś stronicę welinowego tomu.

Zdawałoby się — nic nie zaszło. Śnieg pada równo, bo wiatr ucichł, i ziemia od niego coraz bielsza. Słońce nie stanęło, choć go zza chmur nie widać. Firmament nie pękł pod ciężarem gwiazd — i w całej przyrodzie spokój. Ale przecież Mikołaj stanął pod drzwiami dworu i już stuka, już daje o sobie znać. Za chwilę mu otworzą, albo wejdzie sam, bo przecież drzwi w dzień nie zamknięte.

Pyta najpierw o dziedzica. — Jest, owszem. A czego to wam potrzeba? — Ano, taki mały interes. Chciałbym z dziedzicem pogadać. — W takim razie zaczekajcie — powiemy.

I Mikołaj czeka — wielkie ma zapasy cierpliwości. Nie uszczupli ich zbytnio nawet godzinnem czekaniem. Siadł w kredensie na wskazanej ławie, siadł skromnie, niewiele zabierając miejsca, i patrzy na kręcącą się służbę. Lokaj ze ścierką w kieszeni, pokojówki w czepeczkach na głowie — inny świat. — że też oni tak żyć potrafią, tak całkiem inaczej. — I czuje wtedy Mikołaj, że się we środku rozkleja, że słabnie. Za chwilę ma przed dziedzicem stanąć — gdzież jego odwaga? —Ano, dopóki szedł gościńcem była, czuł ją w sobie, a teraz się gdzieś rozlazła po kościach.

Na służbowem skrzydle już wiedzą, kto tu

w gościnę zawitał. — Oho, Mikołaj, mąż gosposi do dziedzica przyszedł z interesem — z tego coś musi wyjść. — Szepczą sobie po kątach i mało kto do swej roboty się bierze, bo i sama gospodyni, Hanka, widać jest zdarzeniem przejęta. Zamknęła się w swoim pokoju i nosa nie pokazuje.

A dziedzic się wcale nie śpieszy i odwraca welinowe stronice. Potem woła do siebie lokaja. — Niech Mikołaj w kancelarji zaczeka — zaraz przyjdę. — Sam czuje się też niewyraźnie. — O co mu chodzić może? — myśli. — Wyjdzie z tego nieprzyjemna rozmowa. Ale trudno — trzeba raz z tem skończyć. — Jest spokojny i opanowany.

Każą iść Mikołajowi przez korytarz — więc idzie. Robi wszystko, co mu tylko każą — i buty otrząsnął ze śniegu i czapkę w ręku trzyma. Wprowadzili go do pokoju, gdzie biurko stoi pod oknem, a na ścianie wisi Marszałek. Jest tam też jakaś mapa i duży ozdobny kalendarz — na mapie polityczna mozajka, kolorowe kraje, na kalendarzu wielki numer powszedniego dnia. Stanął przy progu i znów czeka.

Hanka tymczasem zamknęła się w swoim pokoju i rozmyśla. — A więc odważył się przyjść aż tutaj, by tylko ją dostać spowrotem, odważył się stanąć nawprost dziedzica oko w oko. O — niebyle jakiej trzeba do tego odwagi. Ona sama już nieraz to robiła, ale ma przecież swoje sposoby i środki, swoje resursy kobiece, na których jemu wszak zbywa. Jakże więc ta rozmowa wypadnie?

Co powie na to dziedzic? Czy go nie przepędzi? — Rozmyśla i waży to wszystko, a coraz głębiej włazi jej w głowę Mikołaj. — że się też odważył na rzecz taką — myśli. — Ho, ho — dzielny z niego chłop. Kto wie, czyby nie poszła z nim teraz, gdyby mocno się o nią upomniał. Możeby już wolała własną zagrodę z krowami, niż tę gospodarkę na cudzem? Cóż, kiedy na to dziedzic się nie zgodzi — napewno.

Doczekał się wreszcie Mikołaj. — Oto słyszy nadchodzące kroki. Idą zdaleka, z dziesiątego może pokoju, ale już coraz są bliższe, przystanęły u ostatnich drzwi. Odwagi już w nim ani śladu — sama słabość — co też uda mu się teraz tem zwojować? Mnie czapkę w ręku, boi się ruszyć od progu, w głowie czuje zamęt, jakby w niej huczała śnieżyca. I oto nagle stoi naprzeciw dziedzica, który do biurka podchodzi i teraz patrzy na niego. Nie słyszał nawet, kiedy się drzwi otworzyły.

— A więc co powiesz, Mikołaj? — pyta i na biurku przewraca jakieś papiery. Mikołaj się nie rusza od progu, przestępuje z nogi na nogę. — Masz jaką prośbę? Mów śmiało — mówi dziedzic i znów w jego stronę spogląda. — Prośbę? — tak — jąka Mikołaj, ale dalej już słów mu zabrakło. — Więc cóż takiego? — Dziedzic się już opanował, mówi głośniej, jest całkiem wyraźnie górą. Przeciwnik nie taki znów straszny. — Cóż słychać na twem gospodarstwie? — pyta. — A właśnie, źle

słychać — Mikołaj odzyskuje mowę. — W roli to jeszcze niezgorzej, ale zato w oborze i chlewach— bieda. — Czemu to? — pyta dziedzic całkiem łagodnie, żadnej groźby w jego głosie nie słychać.— Ano tak, z braku gospodyni. Niema kto chudoby doglądać. — I drapie się przytem w głowę, że też śmiał to wreszcie wykrztusić. — Hm, jakby tu temu zaradzić? — mruczy dziedzic. — Weź sobie jaką babę do pomocy. — Oho, już to zrobił — w Mikołaja wstępuje odwaga. — Ale kiedy co z tego? — tu nawet najlepsza nie poradzi. Potrzeba tam prawdziwej gospodyni. Każdy tylko na swojem dobrze rządzi, tylko swego pilnie dogląda — a na cudze zawsze zezem patrzy. Toteż krowom źle, świnie marnieją. — Hm, hm — pomrukuje dziedzic. — Całkiem jakbyś chciał Hankę spowrotem zabierać. — Mikołajowi krew uderzyła na te słowa do głowy. Dziedzic jakgdyby chciał mu całą sprawę ułatwić. — Właśnie, tak — przyszedłem prosić o to. — Mówi prędko, żeby się co nie zmieniło, i w głosie jego słychać już same łagodne tony — groźby ani śladu. Nastała chwila ciszy, poczem dziedzic: — Jeśli tak, to nie mam nic przeciw temu — nie jest tu już tak bardzo potrzebna. Jeśli tylko sama zechce iść — musisz ją spytać. — Mikołaj napół przytomny, coś mu oczy rzadką mgłą przesłania. — A jak żyjecie z sobą? — pyta dziedzic, nie wiedząc widocznie, co mówić. Ale trudno odpowiadać teraz, gdy się ma szum w głowie, gdy się ledwo stoi na nogach.

I zresztą — co za pytanie? — Jak żyją? Wcale nie żyją. Jedno tu, drugie ówdzie — cóż to za życie być może? Nie zdążyli do siebie przywyknąć. — Tak, pytanie to nie było na miejscu — rozumie to teraz sam dziedzic. — A więc idź z nią pogadać — mówi. — Ja jej zatrzymywać nie będę.

Mikołaj wychodzi szukać Hanki. Nic nie wie i nic nie rozumie. — Którędy to iść trzeba? Jaka to do niej droga? — Przystanął w korytarzu, chce się otrząsnąć — brak mu tu przestrzeni i powietrza, coś go dusi. Ale przecież nie słowa dziedzica — mówił z nim całkiem po ludzku — tylko coś innego, co mu samo podchodzi do gardła. — Idzie dalej, natrafia na służbę. — Chciałby widzieć się z żoną, z gospodynią. — Aha, dobrze — dziewczęta patrzą na niego ciekawie. — Pewnie jest w swoim pokoju.

Istotnie tak jest — tylko tam zastać ją można. Zamknęła się i nie wychodzi — pewnie wie już o przybyciu męża. Przeczuwa, że za chwilę stanie przed nią, że przemówi — a może i co gorszego? — Ale czego żądać od niej będzie? — Ano chyba, żeby wracała. — I co mu na to powiedzieć? Czy znowu zaczynać walkę? Niewiele tu zyskała przez to siedzenie we dworze i chętnieby się już zakrzątnęła około własnych krów. A przy tem wszystkiem radaby z Mikołajem pogadać, pogawędzić, jak z mężem, jak z bliskim człowiekiem, który nigdy jej nie był niemiły. — Niechno tu

przyjdzie tylko, a wszystko się jakoś ułoży. Byle tylko nie chciał brać jej gwałtem.

Mikołaj wszedł bez stukania — nie zna się na światowych ceregielach. Stanął przy progu, pozdrowił żonę i — o dziwo — wystrugany kij postawił z czapką pod piecem. Zamiary więc całkiem pokojowe — potrafi też być dyplomatą. Hanka zerwała się ze stołka, trochę przestraszona, trochę niepewna, ale podchodzi do niego z serdecznym odruchem radości. — Czyżby naprawdę? Mikołajowi nie chce się wierzyć spoczątku. Ale tak — mówi do niego, jak nigdy nie mówiła dotąd. — Dawnom cię nie widziała — mówi i podaje rękę. — Siądź sobie na tym stołku — pogadamy.

Nie było tam jeszcze żadnych czułości małżeńskich — na to może jeszcze zawcześnie. Ale Hanka jest nastrojona pojednawczo. — Więc mówisz, że Marcinowa partaczy? A, baba przeklęta, koło krów chodzić nie umie. I świnie, powiadasz, chude? Co to, brak wam osypki? Tu we dworze wytuczyłam z dziesięć karmników. — Nie może się nie pochwalić i opowiada zaraz, czego tu ona dokonała. — Co mi z tego — mówi żałośnie Mikołaj — kiedy u nas bieda. — Tak, tak, zamało doglądałam swojego — powiada ze skruchą Hanka. — A ty, biedaku, nie mogłeś wszystkiemu podołać.

I Mikołaj czuje, że jest górą — trzeba z okazji korzystać. — Żebyś tak wróciła — mówi. —

Hm, pomyślę nad tem, — powiada Hanka. — Tylko nie wiem, czy tak zaraz będę mogła. — Myślisz, że dziedzic nie puści? — zapytuje chytrze Mikołaj. Już puszcza się na takie sztuczki, widząc, że sprawa idzie gładko. — Ano pewnie — jestem tutaj bardzo potrzebna. — Tak, tak, bez ciebie się tu nie obędą — mąż żonie przypochlebia i żona nie dosłyszała tu jakoś żadnego śladu przedrwinek — nic nie podejrzewa. — Pójdę dziedzica zapytać — mówi. Ale teraz Mikołaj rzuca jej jakby od niechcenia, mimochodem: — To chyba już niepotrzebne, sam o tem mówiłem z dziedzicem. — Mówiłeś? — pyta zdziwiona. — No i co? — Ano nic. Wcale cię nie zatrzymuje.

Hanka siadła spowrotem na stołku, bo podniosła się już była, jakby chcąc zaraz iść na pańskie skrzydło. — Tak ci powiedział? Ano — to inna rzecz. — Siadła spowrotem, ale widać, jak ją to boleśnie obeszło. — Więc dziedzic nie dba już o nią? — Cała jej natura kobieca, pewność siebie, duma — odniosły dotkliwą ranę. — Tak ją sobie z rąk do rąk podają, jakby była tem głupiem bydlęciem. — Łzy zakręciły się jej w oczach, chwyciła za krawędź stołu i milczy. Zaciska usta, żeby zaraz głośno nie wybuchnąć — ale wkońcu nie wytrzymała. — Jak nie zechcę, to sama się stąd nie ruszę — żebyś wiedział! — Mikołaj rozumie, że sprawa psuć się zaczyna — chce rzecz łagodzić. — Dziedzic ciebie wcale nie wygania — mówi. — Sam powiedział, że pójdziesz, jeśli ze-

chcesz. — I właśnie chcę! Mam już dosyć tej dziedzicowej łaski. Chcę już raz być gospodynią na swojem. — Na tem stanęło. Mikołaj może wracać do domu — zrobił swoje.

Powrót ten zupełnie był inny — śnieg przestał padać, mróz wziął większy, a zachód zalał się czerwienią. I w samym Mikołaju było też całkiem inaczej. Nie ponosił go już teraz wiatr, dmąc mu w szerokie plecy, ale niosło go coś innego — jakaś siła nieznana i świeża. Tkwiła już teraz w nim samym, nabył ją w ciągu tego dnia, gasnącego tam na zachodzie. Wadowice są już teraz za nim, a dom własny idzie mu naprzeciw. Tam go czeka wieczorny obrządek, do którego śpieszyć się trzeba. Idzie więc, nie ustając, za siebie się nie ogląda — będzie miał dziś noc dobrą i spokojną, choć jeszcze nie przy boku Hanki.

XXVI.

Parobek i Marcinowa nie bardzo uwierzyli, gdy im oświadczył, że Hanka niedługo powraca. Będzie tu za parę dni spowrotem — powiedział jeszcze wieczorem, gdy tylko nadszedł z Wadowic. Popatrzyli na siebie i mrugnęli, jakby mówiąc: — Znamy się na takiem gadaniu. — Swemu głosowi Mikołaj starał się dodać obojętności, mówić tak, jakby komunikował zwykłą wiadomość z jarmarku, bo wewnątrz rozpierała go duma — a nie chciał się z nią zdradzić przed nimi. — Mogą wierzyć, albo nie wierzyć — sami się przekonają. — Było mu teraz obojętne, co myślą o nim, kiedy jego triumf tak blisko. Każdej godziny mógł się jej przyjazdu spodziewać.

I godziny nie dłużyły się zbytnio, bo miał dosyć pracy dla siebie. Nigdy nie brak dziur na gospodarstwie — zawsze trzeba coś tam zatykać i łatać. A teraz przed jej przyjazdem wszystko wydawało mu się mizerne i niedostateczne. Radby odwrócić cały świat, wszystkie miejsca, które tu na nią czekają, by tylko dojrzeć mogła ich nieza-

stąpione powaby. I by więcej się już stąd nie ruszała, by już tu pozostała na zawsze. I by obrzydły jej wreszcie te wszystkie wspaniałości we dworze.

Konie poczyścił starannie, a potem wziął się do krów. Marcinowa o to już nie dba — jeszcze dobrze, że je wydoi. Oblepione mają boki nawozem, ogony porządnie zszargane — teraz dopiero to widzi, przedtem nie dostrzegał niczego. Gnój trzeba wyrzucić z obory, oczyścić kurniki i chlewy. Zaprzągł do roboty parobka, bo sam może na czas nie nadążyć. Lada godzina trzeba się jej spodziewać na Klątwach — kto wie, czy w tej chwili z Wadowic już nie wyjeżdża?

Istotnie — tak się stało. Nadjechała tym razem bez turkotu, na saniach, zagrzebana w słomie po uszy. Z tyłu ten sam kuferek, dobrze umocowany sznurami, na głowie ciepła chustka w kraty, że nosa nawet nie widać. W nogach jakiś tobołek — pewnie przez ten czas jej coś niecoś przybyło, bo z jednym kufrem do Wadowic wtedy jechała. Nim się wygrzebała z dna sanek, Mikołaj już był przy niej, choć przedtem sobie układał, że się śpieszyć z witaniem nie będzie. — Jej pilno do domu nie było — więc cóż on ma jej wybiegać naprzeciw? Ale teraz stało się jakoś inaczej, nie wytrzymał — już jest przy niej, pomaga wysiadać. Marcinowa też z domu wygląda co się dzieje, a parobek z chlewów wysunął utetłaną głowę.

Mikołaj może teraz tryumfować. Powróciła niewierna żona — to coś znaczy. A drugi tryumf

ten, że mu dziedzic z drogi ustąpił — a więc razem podwójne zwycięstwo. Będzie to wielki dzień jego biednego życia — dzień, który zapamięta.

Czy i dla Hanki to dzień wielki? — Może. — Rozgląda się dokoła, patrzy — dawno już tu nie była. Ale niewiadomo, co mówią na to jej oczy i jakim świecą blaskiem, bo je zapodziała gdzieś między fałdami chustki. Wchodzą do domu, Marcinowa drzwi im otwiera. — Ano, dajcie jej co przekąsić — mówi Mikołaj — bo głodna i przeziębnięta. — Hanka pozwala usługiwać sobie na początek, jakby wcale tu gospodynią nie była, ale do kolacji sama się już zabierze, pokaże, czego ją tam we dworze nauczono. Rozkutała się tymczasem z chustki, chucha w zgrabiałe ręce i na stołku siada, a opodal niej niedaleko Mikołaj. Tak zaraz z mrozu rozmowa się im nie klei, więc mówią trochę bez związku, urywanie, ale potem, gdy Hankę rozgrzało ciepło — potoczyła się całkiem inaczej. I tematu już teraz im nie braknie, mają o czem pleść do późnej nocy. Przecież Hanka o wszystkiem wiedzieć musi, o najdrobniejszych zdarzeniach, bo po prawdzie drobnych zdarzeń w gospodarstwie niema, zwłaszcza w tem babskiem, gdzie wszystko jest drobnem zdarzeniem.

Różną koleją toczy się ta ich rozmowa, ale o rzeczy drażliwsze nie potrącają tymczasem — przez prostą przyzwoitość, przez wrodzone poczucie taktu, który w najprymitywniejszych naturach ma też swe odcienie i blaski. Jeszcze

przyjdzie czas, kiedy sobie wszystko wypomną po kolei — jak było i jak nie było — zarzucą się nawzajem pretensjami i obopólnym, jątrzącym się wiecznie żalem. — Ale nie przyszła jeszcze godzina na to wszystko. Mówią o życiu i gospodarstwie, które ich czeka. O oborze, kurniku i chlewach. Marcinowa coś od siebie dorzuca, bo wtajemniczona jest lepiej od nich obojga w te nigdy nie kończące się szczegóły. — Jedna krowa zrzuciła cielaka — jakaż może być temu przyczyna? — Pewnie niedogląd — myśli Hanka, ale nie chce wypominać tego Marcinowej odrazu w pierwszy dzień. Zdąży zrobić to kiedyindziej, okazja się jeszcze nadarzy. — Ta maciora dobrze karmi, ładne wydaje prosięta, ale ta druga djabła ma chyba w sobie, bo całe potomstwo swe zjada. — Ano, to się ją utuczy na sprzedaż — postanawia Hanka. — I tak potem przeszli do kur, lepiej się niosących i gorzej, do kartofli, co podgniwają w kopcach — przewiewu widać nie mają — do masła, które tak trudno ubijać teraz na mrozie. — Oho, byłoby dużo więcej jeszcze tego gadania, starczyłoby na długie godziny, gdyby wieczór chciał się nie kończyć, a noc gdyby chciała zaczekać. Ale nic z tego — wszystko dąży swoim porządkiem, więc trzeba już iść na spoczynek.

I życie ich od dnia następnego szło tak, jakby przeciągali tę rozmowę wciąż dalej, w nieskończoność, jakby kończyć się nigdy nie miała — wiecznie ostrożna i wymijająca. Oglądali się na siebie

bez ufności — on spode łba, gdy nie patrzyła na niego, ona niewyraźnym uśmiechem spotykając jego niemy wzrok. Nie wiedzieli dobrze oboje, czego mogą się po sobie spodziewać—byli dwiema zagadkami, które pragnęły rozwiązać się nawzajem. I dlatego ponad ich życiem na osadzie zawisł znak zapytania — wielki i tragiczny.

Często rozdrabniał się na wiele małych znaków, podobnie jak i samo życie, które dopiero w pewnej perspektywie nabiera właściwego patosu. Cały ich byt układały długie szeregi niewiele znaczących wydarzeń — sama drobnica, zwykły życiowy detal. Ale że z tego powstają rzeczy największe, więc niczego nie było wolno pomijać.

Czy krowy nie poprawiają się pod okiem Hanki? A chlew — czy nie czystszy, nie schludniejszy? żaden to magiczny wpływ, ani żadne czarodziejstwo — tylko gospodarski wgląd i skrzętna staranność w porę. A i sam Mikołaj nawet teraz lepiej wygląda, prościej się trzyma i jakiś czerstwiejszy na twarzy. Dobrze go widać odkarmiają i nie brak mu już tych rzeczy, których młodemu potrzeba.

A Hanka?— po kątach może jeszcze wzdycha, może nie wywietrzały jej tak całkiem te wszystkie dworskie wspaniałości? Lecz choćby nawet tak było, po sobie nie pokazuje tego — owszem, jak na początek wesoła jest i pogodna, z nikim nie szuka zwady. Nawet Marcinowej darowała niedbalstwo w oborze i chlewach, no a Mikołajowi

nie ma czego, po prawdzie, darowywać — chyba tylko to, że chciał ją tak mocno spowrotem, a takie rzeczy wybacza się łatwiej, niż cokolwiek. Powinna być z swego losu rada — ma gospodarstwo własne, męża, a i sama nie potrzebuje się babrać w najgorszem, bo przecież parobek i Marcinowa są na jej zawołanie. No i użyła sobie świata — nikt temu nie zaprzeczy. Kochała się przecież nie z jednym — ma co wspominać.

I kto wie, czy nie zaczynają jej truć te wspominki? Bo oto idzie już wiosna i ziemia tężeje powoli, cała spływając wodą, biegnącą z najbliższych wzgórz. Wszystko przemienia się i przeobraża — miałażby Hanka nie odmienić się choć trochę w sobie? Z czem łatwo pogodzić się zimą, to nie zawsze już na wiosnę wystarcza. Na świecie przecież zieloność zamiast ostrej grudy, a słońce wzbija się wyżej i grzeje. — Czyż owo ciepło nie mięsza się z naszą krwią, by ją burzyć? — To też Hanka ma w ciągu dnia swe godziny, kiedy znaleźć sobie miejsca nie może. Podwórze już dla niej za małe, za ciasne najbliższe pola. Wychodzi dalej, zstępuje ku zielonym łąkom, soczystym od nadmiaru wilgoci, i staje w słońcu, dając się muskać wiatrom. Czy nie zaraziło jej sobą czasami to wiosenne szaleństwo ziemi, niczem nie okiełznane, nie znające granic ni miary? Jest szalona w tej chwili, czasem na przeciąg całych godzin, błąka się po drogach polnych, szuka czegoś i nic nie znajduje. Zastać ją można siedzącą na zielenieją-

cej miedzy, gdy z głową zwieszoną rozmyśla. — O czem? — nie powie wam tego zapewne. Ale kto wie, czy nie doszło już do jej uszu, że we dworze przyjęli nową gospodynię. Jest podobno młoda i ładna — może nawet od niej, Hanki, młodsza i ładniejsza? W tem zapewne tkwi sedno całej sprawy, źródło troski i dziwnego szaleństwa. Ale takie rzeczy są uleczalne — mijają zazwyczaj z wiosną.

Mikołaj tymczasem w te pomylone dni nie jadał obiadu w porę. Wracał z pola, a że nie zastawał jej w domu, więc siadał na ławie i czekał. Mógł tak czekać długo—ale nawet gniewu nie czuł do niej za te dziwactwa. — Dobrze, że powróciła— myślał — i siedzi dotąd. Jakiś robak pewnie ją gryzie. — I w sposób podświadomy, niewyrozumowany zdawał rzecz całą na działanie czasu.

Gdy Hanka wracała, pytał ją tylko bez złości, gdzie była. Nie odpowiadała zbyt chętnie: — Ot w polu, bo w domu jej ciężko wysiedzieć. — Nie indagował dalej, choć było to wyraźne pomylenie, istna głupota, wałęsać się tak bez celu po drogach i przesiadywać na miedzach. Ale cóż — pogodzić się tymczasem z tem trzeba, dobrze, że nie jest gorzej. Trafiają się rzeczy groźniejsze. Mikołaj jest wyrozumiały i wiele Hance wybacza za to jedno, że przecież wróciła.

Minęła wiosna ze swem wyuzdanem szaleństwem i nadeszło spokojne, dojrzewające lato. A więc nowa przemiana, już nie gwałtowna tym

razem, nie spadająca na ziemię, jak drapieżny ptak — lecz cicha i wytrwała, uporczywa i pracowita. Odmieniło się coś i w Hance, bo zaprzestała swoich dalekich wycieczek. Już się więcej krząta po obejściu i obiad podaje na porę. Nie wygląda w pola, choć zboża poszły w górę, wykłosiły się i lada dzień okwitną. Widać obojętnieje jej świat, który pozostawiła poza obrębem zagrody, chyba zaczyna już jej wystarczać to życie, które można dosięgnąć ramieniem.

XXVII.

A teraz chodzi o zakończenie, o rozdział jedyny i ostatni. Skończyło się już wszystko właściwie, w sercach tych ludzi pozostały tylko jakieś gruzełki, które usunie sam czas — możnaby więc odwrócić się od nich, a zamyślić nad sobą samym. Cóż — kiedy żyją jeszcze w wyobraźni, kiedy pociągają ku sobie. Oto pan Wacław idzie teraz brzegiem żytniego pola, które faluje z wiatrem. Po prawem ręku ma łąkę i stawy, a lewą muska rozkołysane źdźbła, które się już niedługo wykłoszą. Tuż za nim stąpa mędrzec i myśliciel, łowca prawdy i niszczyciel komunałów — pan Czołhański. Stąpa lekko, bo waży tak niewiele, jakby go wysuszyły wciąż tlejące w nim fermenty mądrości. Mówią coś, przerzucając się słowami — więc jak tu za nimi nie iść, nie podsłuchać tej polnej rozmowy?

Pan Czołhański odważa wyrazy — nigdy nie starcza ich, by wypowiedzieć myśl całą — jest oszczędny. Pan Wacław zaś chętnie powierza swą myśl domyśnikom. Robi pauzy, które mają też

swoją wymowę. Rozgląda się po pejzażu, który z wiosennego staje się już letni, dojrzewa, jakby szukając w nim dowodów i uzasadnień. Rozmowa ta jest bowiem pewnego rodzaju debatą pod wolnem, rozłożystem niebem. Reżyseruje im scenerję nadchodzące lato, nie szczędząc nic ze swej obfitości, nurzając ich w szafirze, złocie i zieleni.

Pan Wacław zwierza się ze swych klęsk i triumfów, oddaje wszystko pod sąd mędrca, który się ze swym wyrokiem nie kwapi. — Bo czyż łatwo ocenić te rzeczy tak subtelne, wymykające się wszelkim kategorjom rozumu? Idą one przez życie każdego, zmieniając się — te klęski i te triumfy — jak odchodzące pory roku, słoneczne, to omotane mgłą. Bywa tych mgieł czasem więcej, a czasem więcej słońca. Ale jak je sądzić, co wyrokować o nich? Przyszły, a potem odeszły, nie trwając nigdy poza odmierzony im czas.

— Sąd w tych rzeczach może być tylko subjektywny, pan sam jest powołany do wydawania wyroku — mówi mędrzec. — Zależy, jak pan całą rzecz odczuwa i rozumie. Ile wyciągnął pan z tego wszystkiego i ile to pana kosztowało. Należałoby sporządzić bilans, zestawić aktywa i pasywa całej sprawy — a pana już będzie rzeczą, co do czego należy zaliczyć — co uznać za zysk, co za stratę.

Pan Czołhański poparł to oświadczenie gestem, którego zupełna bezradność tem jaskrawiej wystąpiła na tle odurzająco szerokiego pejzażu. —

Tak — cóż on może wobec sił, kierujących życiem i miłością, kiedy siły te sprawiają, że wszystko się kończy i znów zaczyna od początku? Cóż on może wobec nich, jeśli jego samego znosiły już nieraz z tej drogi, którą sobie wytyczył rozumem? — Rozkłada teraz ręce — jest bezsilny.

— A jednak — pan Wacław nie ustępuje. — A jednak da się przecież coś o tem powiedzieć. Coś nieobowiązującego. Jakaś impresja, jakiś paradoks. Owszem — wysłucha wszystkiego. Pragnie o tem mówić — o kończącej się zazdrości i miłości, której właściwie już niema. Właśnie dlatego, że jedna już odeszła, a druga odejdzie niedługo.

— Istotnie — potrzebna tu jest perspektywa — pan Czołhański zaczyna się ożywiać. — Łatwiej mówić o całości, niż o fragmentach. Tak — lecz w życiu wszystko się zawsze zazębia i nie wiadomo nigdy, gdzie jest czego początek, a gdzie koniec. Czy jest pan pewny, że nie odezwie się to jeszcze kiedyś w przyszłości?

— Pewności być nie może. Ale forma się zmieni napewno. Nie będzie to już nigdy namiętność.

— Czyżby? — znamy nawet takie wypadki. Bywają nawroty starych grzechów — jeśli grzechem nazwać to można — tem gorsze, że obarczone przeszłością, a z sobą nic już nowego nie niosą. Jest w nich rutyna i skostnienie — rzeczy najgorsze w życiu, bo zabijające uczucie

i wyobraźnię. Czy może być coś śmieszniejszego od starca, który chce kochać, jak młodzieniec, tylko dlatego, by nie zauważono, że się zestarzał? Sama miłość nigdy nie jest śmieszna — śmieszną ją robią ludzie.

Lekki wiatr powiał od łąki i przerzucił się zaraz na pole, kołysząc zieloną taflą zboża. Pan Wacław ożywił się w tej chwili.

— Nigdy nie ośmieszę miłości — rzekł.

— Daj Boże. Jest to jedna z większych krzywd, jaką może wyrządzić sobie człowiek. Jest to bezczeszczenie świętości — za to się odpowiada. A jednak bliski pan był tego.

— Kiedy? — zapytał pan Wacław, odwracając głowę w stronę mędrca, który zamyślił się w tej chwili głęboko, jakby miał odpowiedzieć na stokroć donioślejsze pytanie. I potem usłyszał odpowiedź, którą mu cedzono powoli, ciągle jeszcze w głębokiej zadumie.

— Wtedy chyba, gdy wydawało się panu możliwe pogodzić uczucie z ścisłem wyrachowaniem, gdy życie chciał pan ujarzmić kalkulacją. Był pan na krok od śmieszności — ale coś uchroniło pana od niej. I tem czemś jest zapewne niepowodzenie pańskich wyrachowań. Najśmieszniejsi są szczęśliwi rachmistrze, bo nie ratuje ich tragizm niepowodzenia. Pan stał się ofiarą, okupując tem swój błąd — wiele się więc panu wybacza.

Szli coraz dalej brzegiem pola. Wiatr to cichł, to znów nadbiegał od łąk, kołysząc zbożem

i unosząc wymawiane słowa. Było ich coraz mniej, bo pan Wacław pytać zaprzestał, a pan Czołhański nie miał już komu odpowiadać. Odchodzili coraz dalej i przestrzeń zamykała się za nimi, oddzielając ich od pola i łąk, którędy szli przed chwilą. Jeden wiatr tylko nadążał i nie zostawał w tyle, porywając im z ust niedomówione wyrazy, jak puch z przekwitających kwiatów.

KONIEC.